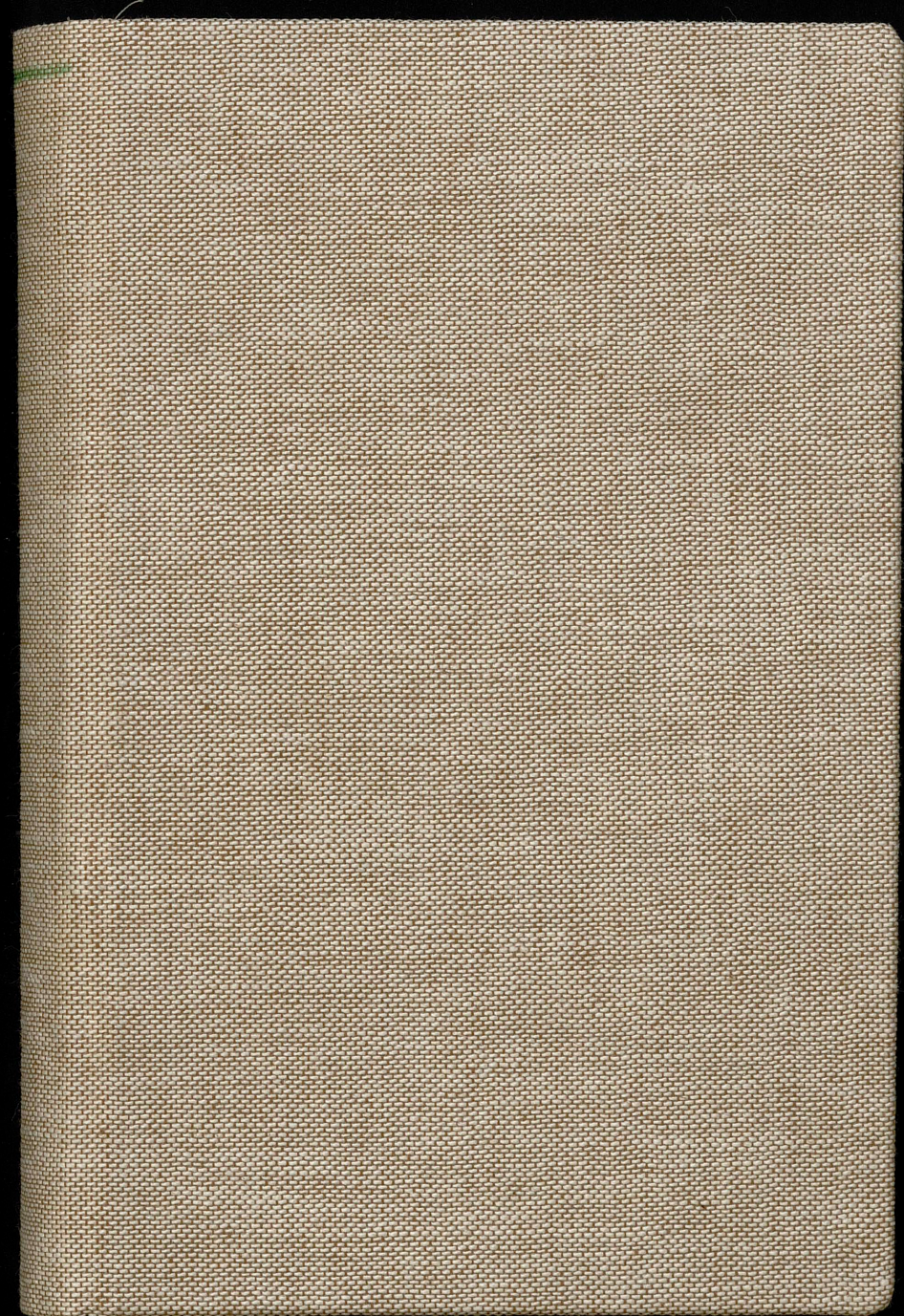
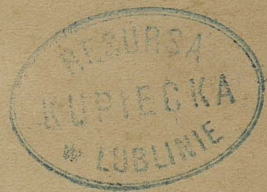




~~93~~ ~~III.~~ 102.



~~4436~~

~~1545.~~ 728

CZTERY NOWELE.



Ryt. J. Holewinski.

Marya Konopnicka.

Marya Konopnicka.

CZTERY NOWELE.

MICHAŁ DUNIAK.—WOJCIECH ZAPALA.—

ULTIMUS.—POD PRAWEM.



— Z portretem autorki. —

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Swiat 41.

1888.

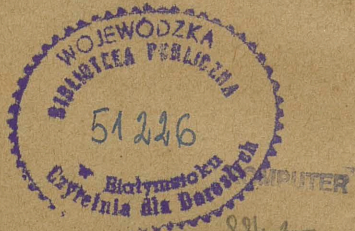
wp.
KSIĘGARNIA

Skład hurt i obrotowy

M. ARCTA

W LUBLINIE

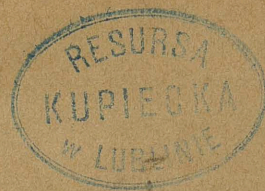
821.152.1-311.2



Дозволено Цензурою.

Варшава, 25 Июня 1837 года.

Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 1530 (26 nowy).



Pod miasteczkiem *** szeroko rozlewa się Warta. Kapryśna to rzeka! Wiosną, w srebrne, wielkie zwierciadła rozbita, zalewa groblę podmiejską i jasnemi, drżącemi strugami ucieka, nie pytając drogi, przez pola i łąki i, jak puhar kipiący, nigdy wód swoich nie może pomieścić w swych brzegach.

W pianach cała i bryzgach, jak ptak biały, zrywa się skrzydlata i pod mostem, wyniesionym wysoko, szumi i huczy tak niekarnie, jakby jarzma tego z drzewa a żelaza na hardym swym grzbiecie znosić nie mogła. Wody jej, zebrane z szerokich łęcznych rozlewów, jak hufiec rozbity wpadają w koryto, wspinając się jedne na drugie, i tak spiętrzone prą się nawalem na pale, trzeszczące pod ich naciskiem, byle prędkiej od przymusu uciec, i ponieść się w kaskadach na szersze spadki i podmiały, i mdleć u brzegu, niosąc resztę piany i błysków gniewnych w coraz słabiej pulsujących falach.

Po takim najściu wód wiosennych i most i groblę jak po Tatarach naprawiać trzeba. Połamane bale i wiązania znaczą ich pochód zwycięzki i nie jeden dąb krzepki głową nałożyć musi rozhukaną rzeki swawolę.

Ale też i w porze tej miasteczko wygląda prześlicznie w lazurowych ramach wód i wiosennego błękitu, z wynurzającą się z pod srebrnych fal wczesną zielenią łąk żyznych i szeregami wierzb, które tu sadybę ulubioną mają od wielu pokoleń.

Jedne z nich na grobli, krzesane siekierą częściej, z grubych огоłoconych pniów starych pędzą w górę latorózgi śmigłe, rozbujane wysoko. Inne, po leżnych kotlinach rozrosłe, gałęzmi umiatają ziemię, sięgając czołem wilgotnych oparów, dyszących tu w mgliste poranki. Inne jeszcze, spruchniałe, z resztą sterczącej korony, straszą pustem wnętrzem przechodnia, a wieczorami odzywają się głosem puszczyków i roją cichymi lotami nietoperzy.

Jeszcze inne, podszyte puszkciem srebrzystym, mienia się w delikatne wzory na tle żółtawego złotaku, który całymi kępami rzuca się po obu brzegach grobli i zapuszcza na łąki i mszary.

Ile tu ptastwa świegoce w poranek, ile fujarek odzywa się pod wieczór, trudnoby zliczyć! Osobną muzykę swoją mają oczerety takie, a pojedyncze głosy, szmery, nawoływania dalekie, zęstraja w pieśń uroków pełną potężny szum wezbranej rzeki.

W orkiestrze tej słowik jest pierwszym solistą, szmer liści na młodocianych gałązkach—harfą o rozlotnych tonach, fujarki pastusze—fletem, powiewy wiatru, niosące pieśń oddaloną flisów—wielonaczalą namiętną, a noc—słuchaczem. Mylę się, zdarza się nieraz, że koń na przednich nogach spętany, skubiący trawę zroszoną na burcie w grobli, nagle podniesie głowę, i zarzy, i stanie, jakby słuchał tych dźwięków ponocnych.

Zdarza się nieraz, że czajka, spłoszona niemi, zry-

wa się z oparzeliska, i bijąc niespokojnie skrzydłami, trwożliwie roznosi hasła.

Zdarza się, że spóźniony wędrowiec idzie, świszcząc piosenkę,—naraż wstrzymuje się, umilka i słucha ciszy tej, w sto chórów rozbitej i niosącej się z falami daleko. Ludzie tutejsi kochają tę rzekę swoją, lubo nie zdają sobie może sprawy z jej piękności majestatycznej, surowej.

Chociaż nie jeden stóg siana zabiera im corocznie, choć wilgoć jej sprowadza febry, trzęsące głodnych na przednowku,—tula się do niej chaty, stawiając niemal na szlakach jej wiosennych rozlewów i powierzając jej ufnie dobytek swój cały. Niedorostki już rwą się do flisów a trawę, i „ta droga, która sama idzie,” nie jednego już parobczaka porwała z rodzinnej chaty w świat nieznany, daleki... Fale wód po wszystkie czasy przykuwały do siebie urokiem szerszej przestrzeni i tajemniczych przygód, i były naturalnym ujściem dla niespokojnych tych duchów, którym ciasno w domu.

Wędrowiec, któryby z tej strony do miasteczka wjeżdżał wiosenną, księżycową nocą, miałby przed sobą jeden z najpiękniejszych krajobrazów, któryby mu zapomnieć pozwolił nie tylko o trudach przebytej drogi, ale ukołysałby duszę jego do cichych rozmyślań, błogości pełnych.

I zbudziłby się dopiero, przebywając most o nierównych, klekoczących pod kopytami koni balach, o poręczach wyniesionych wysoko ponad wodą, która tuż, z pod nóg prawie, rozbiega się na prawo i na lewo w dwa wielkie, drżące w miesięcznych blaskach skrzydła, jak ptak rwący się do lotu. Za mostem ujrzałby poprzeczną belkę szlabanu, a tuż przy nim budkę mi-

zerną, kilkoma stopniami schodków trzęsących wyniesioną nad poziom. Prawdopodobnie jest bardzo, że wędrowiec nasz huknąłby musiał nie raz, nie dwa: „otwieraj!” i nie jedną klątwę rzucić w ciche, wilgotne powietrze, zanimby go dosłyszał stary Hersz, żyd siwy, blady, zaschły, z długą, rozwianą brodą, modlący się jęklawie, jakby w ekstazie jakiejś, z wzniesionymi rękami i zwróconą do księżyca twarzą.

Ogłuszony własnym, drżącym i złamanym w skargi namiętne głosem, Hersz nierychło zwykle budził się z upojenia swego, a wędrowiec nasz mógłby przez długą chwilę słuchać biblijnego rapsodu, rozbitego w żalosne echa nad lecącą w szumach ponocnych rzeką.

Powoli dopiero upamiętywał się Hersz stary, zapalone modlitwą źrenice jego, zaczerwienione od wiatru i kurzu drożnego, a może i od łez przelanych, zwolna gasły; ramiona opadały na znoszony kamlotowy chałat; sine, cienkie wargi przestawały się trząść w psalmodyi namiętnej; przebliski księżycowe na czole jego i brodzie siwój zaćmiewały się, cała postać w oczach niemal kurczyła się i zwijała w sobie, a kiedy skrzypiący szlaban podnosił swoje ciężkie ramię, wędrowiec nasz miał przed sobą zgarbionego, kaszlącego żyda, którego drżące i sztywne palce zaledwie mogły utrzymać grosz celny.

Stary Hersz mieszkał sam. Żona jego, i synowie, i dzieci synów jego, legli już dawno na mogilkach przedmiejskich. Sam był, lecz samotności swój użyć mógł chyba w nocy, nie dosypiając, ile już stary i nawykły do snów przerywanych.

W dzień bowiem, w piątki zwłaszcza i wtorki, most, stojący na głównym trakcie, roił się od chłop-

skich wozów, wozików i szlacheckich bryczek, i dudniał pod ciężarem nie jednego korea pszenicy i żyta, a rzenie koni, ryk bydła i energiczne klątwy powożących brzmiały tam wtedy od świtu do zmierzchu.

Noc dopiero późna uciszała ten rozgwar targowy. Odrębność dźwięków zacierała się zwolna, głosy w oddaleniu gasły, a niewyraźne szmery roztapiały się w ogólną ciszę, wśród której słyhać już tylko było szum rzeki, pracę naprzód całą siłą wód swoich, i recitativa modlitewnego starego Hersza, falujące po całej gamie głosu tych zapadłych piersi, a w najwyższych swoich nutach zdające się być przenikliwym okrzykiem jakiejś czuwającej nad uspionym miastem strażnicy.

Otóż rzeka ta i jej brzegi były jedyną począ tego zakątka.

Wędrowiec nasz, przebywszy most, znajdował się odrazu w mizernej mieścinie, która zdawała sobie wprawdzie przypominać lepsze jakieś czasy i jako klejnot szlachecki ukazywała zamek po-biskupi, i kościół stary, i jakieś mury a wieże, ale w sercu swém pozwoiliła się rozsiaść kramikom brudnym, niechlujnym, domostwom nędznym, szyneczkom podejrzanym, i ulice swoich nie strzegła przed błotem, a na parkanach świeciła pstrociną porozwieszanej pościeli. Ot, zwyczajnie—ni wieś, ni miasto. Coś, co samo nie wie, jak mu się rozwijać dalej: czy przykupując rozległe grunta i sadowiąc się po włościańsku między zagonami warzywa i kartofli, czy ciskając się na rynek i legitymując prawa do swój nazwy kilkoma murowanemi kamienicami, które zdawały się wyrzekać wszelkiej wspólności z ulicznymi, rozbiegającymi się na prawo i na lewo,

nierzadko zakończonemi miedzą, dzielącą dwa półka sąsiedzkie.

Miasteczko *** było miastem, bo miało wszystko prawie, czego miastu trzeba. Więc burmistrza, burmistrzową i ich dwie córki, aptekarza, felczera, bańki i pijawki, księdza proboszcza, wikaryusza i handel winny, dwóch policyantów, z których jeden ograniczał swe funkcyje administracyjne do wyręczania kucharki burmistrza w skrobaniu kartofli i noszeniu wody,—drugi, człowiek stateczny, z nosem mocno zaczerwienionym i przybierającym w mrozy zimowe barwę dojrzewającej śliwki, nosił zwykle pod pachą „papiery,” jak się wyrażał. Coby to jednak były za papiery, mieszkańcy miasteczka nigdy dowiedzieć się nie mogli. Były jednak poszlaki, pozwalające się domyślać, że są to akta jakiś starój, spadłej z rejestru sprawy, z której policyant nasz, ex-woźny, nigdy się rozstać nie mógł, jako z zabytkiem minionej świetności losu.

Miasteczko nasze miało prócz tego sklep „galanteryjny,” w którym można było dostać szuwaksu, szczotek do butów, śledzi, starych obręczy, nafty i bawełnianych towarów; tudzież sklep korzenny, którego właściciel handlował zbożem z okoliczną szlachtą, fundując już sam butelczynę, ilekroć kupił „ze stratą,”—że już nie wspomnę o mniejszych kramach i kramikach, nierzadko składających się z kilku funtów mąki lub kilkunastu łokci tasiemek jaskrawych. Prócz tego, na czém zresztą, mówiąc nawiasem, niejedno miasteczko poprzestaćby już mogło, *** miało sikawkę i trzy zielone beczki, zatoczone majestatycznie przed balkon pani burmistrzowej,—pocztę wcale porządną, gdzie można było od czasu do czasu odebrać listy, no i gazety, jeśli

ich nie zagubiły dzieci pana adjunkta, będącego w ścisłej przyjaźni z pocztmistrzem. Ah, przepraszam! miało jeszcze restauratora, który był zarazem rzeźnikiem, a przyrządzał co targ i co jarmark wysmienite kotlety wieprzowe z różnych odpadków, kotlety tak pieprzne, że po nich najwstrzemięźliwszy szlachcic pił w handelku do wieczora. Wreszcie miało i szkółkę, w której dzieci miejskie uczyły się katechizmu, pieśni kościelnych, czytania, pisania i rachunków. To ostatnie podaję z zastrzeżeniem, wiedząc, że nauczyciel, człeczek zafukany, chuderlawy, mały, sam nawet nigdy jakoś pod wieczór wyrachować się nie mógł przed żoną z groszaków, gdy zbyt długo w podmiejskiej karczmie „na Maiku” siedział.

Otóż, z tego wszystkiego pokazuje się, że miasteczko nasze nie było jakas tam pierwszą lepszą osadą, ale wcale przyzwoitę miastem. Złudzenie to chciałbym ci, czytelniku, zachować jaknajdłużej. Tak mało wogóle mamy dziś złudzeń!

Cóż, kiedy z drugiej znów strony, miało ono w obrębie swoim proste, zwykle stodoły, w których cepy bębniły każddej jesieni, że daj Boże amen!—jak mawiał policyant numer 1,—miało obory z beczącemi bez ceremonii cielętami, ku wielkiemu zgorszeniu pani burmistrzowej, mającej to sobie za osobistą obrazę,—tudzież przybudówki mocno podejrzone, z których rozlegało się pod wieczór wcale niedwuznaczne krząkanie stworzeń, na widok których pani aptekarzowa z lekkiem, dystyngowanym okrzykiem cofała się w stronę spacerującego z nią kasyera, lubo zdawaćby się mogło profanom, że w aptekarzu pewniejszą pomoc w tak groźnej sytuacji znaleźćby powinna. Dalej, miasteczko

nasze miało całe tuziny ledwo odzianych dzieciąt, trzepoczących się jak wróble w kurzu ulicznym; miało mnóstwo kur z przyznanemi prawami obywatelstwa, rozgrzebujących poważnie śmiecie na środku rynku;— oraz całe procesye kaczek, pluszczących się w stojących tamże po każdym deszczu kałużach,—i wiele jeszcze innych, równie kompromitujących znamion znikczemnienia chłopskiego prawie i zaparcia się swój własnej miejskiej godności.

Czego zaś miasteczko nasze nie miało, nie będę tu wspominać dla dwóch przyczyn: pierwsza, że i stolica nasza wielu rzeczy niezbędnych miastu dotąd także nie ma, a powtóre, że ono samo nie obliczało się nigdy ze swemi brakami, sądząc, i słusznie, w prostocie ducha swojego, że wiatr rozniesie wreszcie każdą kupę śmiecia, że słońce wysuszy każdą kałużę i, co nawet jest dowodem wysokości moralności jego, że ludzie wieczorem powinni siedzieć w domu, a nie rozbijać nosów, włączając się po ciemnych ulicach.

Otóż, przyjąwszy raz tę zasadę, zgodną najzupełniej z prawami natury i etyki, władza administracyjna naszego miasteczka spała dobrze, trawiła jeszcze lepiej, a co najważniejsza, nie „wysadzała” żadnych komisyj i, co za tém idzie, miała mniej rozczarowań a więcój spokoju.

Otóż w tym to błogosławionym zakątku, który nie miał nic wspólnego z burzliwemi teoryjami rozwoju, na jednej z uliczek, wybiegających już w pole, bujnym obsiane owsem, na samym brzegu rzeki, która tutaj rozlewa się po piaszczystym odsepie i bywa płytką o wiośnie nawet, stało ubogie domostwo, chata prawie.

Dach, gontami pobity, latany był i mchem pora-

stał. Nizko nad ziemią zapadłe okienka zasnuły się pajęczyną na pordzewiałych zawiasach; jedno z nich deskami było zabite, drugie przez otwór czarny ukazywało wewnątrz izby pustej, z napół rozwalonym kominem.

Drzwi, zaparte kolkiem, krzywo wisały na oderwanej zawiasie, a płot, rozebrany prawie do szczętu, resztkami połamanych żeber osłaniał ślady drobnych pod okienkiem grządek, na których świeciło kilka zdziczałych jaskrów, zabytek dawnego ogródka.

Domostwo to pustką stało.

Przed wielu laty, ostatni właściciel jego, Paweł Duniak, rybak stary, wstał z progu o brzasku bladego dnia zimowego, wziął sieć, kij, torbę płócienną, nasunął czapkę na siwą głowę tak głęboko, jakby nie chciał, żeby go wschodzące widziało słońce, obejrzał się, drzwi kolkiem zaparł, na psa świsnął i poszedł drogą.

Od owiej pory nikt tu nie mieszkał. Duniak krewnych nie miał, do dziedzictwa mizernego nikt się nie kwapił; może też ludziska spodziewali się powrotu starego Pawła, dość, że chata została bezpańską i poczęto ją zwać „Dunianką,” jak po umarłym. Za chatą rozciągał się kawałek nieobsianego pola, na którym bujnie wyrastały dziewanny kiściaste i piolun rzucał się kępkami zieleni bladej, chorowitej, zgorzkniałej.

W chacie gospodarzyły nietoperze i myszy; półka obsiewał wiatr naniesioném ziarnem mietlicy srebrzystej i czerwonego szczawiku, rosa podlewała zapuszczone grzędy w ogródku, a słońko pilnowało obejsia od świtu do zmierzchu.

W najbliższém sąsiedztwie chaty owiej, kiedy jeszcze Paweł stary w niej mieszkał, nieco tylko wyżej

w górę rzeki, stała farbiarnia z należącą do niej obszerną szopą. Sztylby zastępowały kolorowe pasma wełny, kusząc oczy przechodzących niewiast i dziewczek.

Co też to za farbiarz był ten stary Joś Goebell? Wełny w takich kolorach nie widziałeś na trzy mile wkoło. Kiedy pons, to już taki, że się sam śmiał do człowieka. Kiedy zielony, to jak ruta w wianku. Kiedy modry, to jak niebo.

Sławną też była farbiarnia Goebela na okolicę; nigdzie kolor złocisty nie był tak jaskrawy, nigdzie granat tak czysty.

Śmiały się do nich oczy dziewcząt, chodzących po wodę do rzeki, ale najbardziej — siwe oczy Kasi Duniaczki, która siadywała na przelazku, łączącym obie zagrody, czekając, rychło ojciec powróci.

O tych oczach Kasi dużo było w miasteczku gadania. Wielkie, podługie i znacznie od oprawy swojej jaśniejsze, były jakby powtórzeniem fali rzecznej, ocienionej zarastającą brzegi wierzbina, fali, w którą matka dziewczyny, przed urodzeniem jej jeszcze, wpatrywała się rankiem i wieczorem, czekając, aż się we mgłach sinych ukazą czarniawe tratwy, na których Paweł Duniak flisował podówczas.

Miały też te oczy wszystkie właściwości tajemniczej głęбини rzecznej. Jak ona odbijały rankiem promyki słońca, które się w nich dwoiły, niby złote strzałki, wymierzone prosto w serce tych, co nieopatrznie nadto się do Kasi zbliżyli; jak ona pełne były ruchomych światł i cieni, odbijając najulotniejsze duszy wrażenia; jak ona, w chwilach niepokoju lub gniewu, stawały się czarne prawie, przepaściste, wzburzone. Jak ona wreszcie przyciągały i odpychały zarazem,

a gdyś się w nie zapatrzył, widziałeś jasno, że ich zadumane spojrzenia lecą gdzieś w dal nieznaną, w nieskończoną, w mglistą. Całkiem, jak rzeka. Oczy te, pomimo, a może właśnie dla piękności swojej, smutnej używały sławy.

Prostu mówiono, że były „uroczne.”

Stara Mikulina wiedziała nawet, dlaczego były takimi. A ot, jak się rzecz miała.

Kiedy żona Pawła Duniaka przestała karmić piersią małą swoją Kasie, — dziecko, nędznie żywione, poczęło marnieć tak, że w parę tygodni wyglądało „jak pasyjka.” Krowy nie było kupić za co, na mleko też nie codziennie grosz jaki się znalazł. Osowiała dziecina żyć musiała kartoflami i przygrzewaną polewką. Małenstwo płakało a płakało; mówiono, że było przełamane.

Mierzyła je tedy stara Mikulina, dociągając lewy łokietek do prawego kolanka i lewe kolanko do prawego łokietka, a gdy i to nie pomogło, matka poczęła zawodzić, a kumoszki zbiegły się z pociechą. Jedna radziła wyskrobać trzy niecki, z ciasta tego ugotować trzy kluski i dać je naczeczko dziecku; druga radziła mierzyc je nicią dziewięciorką nakrzyż; inna, ryzykowniejsza, doradzała kąpać je w „hebdzie,” które to ziele taką ma własność, że dziecko słabe albo zaraz umrze, jeśli mu nie na życie, albo też wnet wyzdrowieje. Pawłowa popatrywała dziwnie na mówiącą, a potem machnęła ręką i rzekła: „niech ono tam!” co zapewne znaczyć miało: „kocham je i tak, to blade biedactwo moje... nie przykrzy mi się!” — i znów oczy zakryła fartuchem.

Gdy się sąsiadki rozeszły, a dziecko płakać zaczęło, matka, instynktem jakimś wiedzioną, przycisnęła

je do piersi, w której źródło pokarmu niecałkiem wyschło jeszcze. Usta dzieciny chciwie ją chwyciły.

W parę tygodni potem dziecka poznać było trudno. Żółta, pomarszczona twarzyczka wypełniła się i wybielała dziwnie, oczęta patrzyły wesoło, rączki igrały to z pulchnymi paluszkami nóżek różowych, to z koralami na matczynej szyi.

— A widzicie, nie mówiłam, że się dziewięcioraka nie nada! — rzekła raz Błażkowa.

Duniaczka się zaśmiała.

— Ot, nadało się, że dziewucha ssie znowu.

Okrzyknęła się głośno Błażkowa:

— A cóżeście wy najlepszego zrobili! a toćże dziewczyna będzie miała uroczne oczy!

— A niech je tam ma zdrowa! — odrzekła z filozoficznym spokojem matka, ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich sąsiadek, które się zbiegły przypatrywać przyszłemu wyrodkowi natury. Stały, kiwały głowami, pomrukiwały zeicha, a wyrodek natury ssał tymczasem pełną buzią, a jego oczy, owe przyszłe „uroczne,” śmiały się do matki.

Niedługo jednak Duniaczka cieszyła się swoim pięknem, tak heroicznie uratowanym dzieckiem. Czy to, że szczupłą i wątłą kobietę zmęczyło przedłużone karmienie Kasi, czy też zbyt ostry wiatr przeciągał nad rzeką, gdy młoda żona flisaka wypatrywała Pawła swojego we mgłach jesiennych poranków, dość, że pod zimę zaczęła chudnąć, kasłać, niedomagać czegoś, i nie doczekawszy Zielonych Świąt wiosennych, umarła, osierocając trzyletnią dziecinę. Paweł od rozumu z żalu odchodził. Kochał on bardzo tę niebogę swoją, do której po kilka miesięcy nieraz tęsknić musiał na

tratwach. Tęsknota też owa wplotła w tę miłość jego dziwnie poetyczny żywioł. Wartując przy ognisku w wiosenne miesięczne noce, słuchiwał wiatru, wiejącego od swojej chaty, i śpiewywał piosenki o Zoście swojej, o modrookiiej, i wzdychał. A kiedy wracał, serce mu się tłukło w piersiach pod sukmaną siwą, jak ptak spłoszony, i obejmował ognistym wzrokiem i uściskiem żonę młodą, płoniącą mu się, jako krasny mak, w ramionach.

Otóż gdy mu to kochanie jego umarło, kumoszki mówiły, że od żalości w głowie mu się popsuło. Z cechowemi wódki ni miodu nie chciał pić, koral z szyi nieboszczki zdjąć nie dał, jakby w domu córki nie było, nocą przy ciele sam został, a gdy dzwony poczęły bić, a kościelny z krzyżem ku mogiłkom ruszył, podniósł się z ławy bez łzy jednej, bez jęku, ściskając jeno pięści, aż kości trzeszczały. I tak w milczeniu na ementarz szedł, a z ementarla wprost do lasu, nie zaglądając nawet do chaty, do dziecka.

Trzy dni sumował w lesie, tłukąc głowę o sosny, o zielone, i piersią padając na ziemię, na czarną. Las szumiał i dziwował się, że w piersi ludzkiej takie wichry jęków zrywać się mogły, a rosa dziwiła się, że nim padła na mchy, już one mokre były i splakane.

Czwartego dnia wrócił Paweł do chaty błądy i postarzały, jakby po ciężkiej niemocy. Kumoszkom, które się opiekowały Kasią, „Bóg zapłać” powiedział, nawiazał sieci i, porzuciwszy tratwy i żywot flisaczy, rybakiem został.

Tak minęło lat kilka. W sierociej chacie Dunia nie było gospodyni nowej. Paweł, zawsze posepny, milczący, odstraszał nawet najbardziej zaciekle w swata-

niu kumoszki. Pólko swoje obsiewał prosem, obsadzał ziemniakami, dziecko pielegnował troskliwie, ryby łowił i do miasta nosił.

Tak przechodziła większa część roku. Ale kiedy na wiosnę ruszyły wody i flisacze pieśni się rozległy, do Pawła „coś przystępowało,” jak mawiali jego sąsiedzi. Dniami i nocami włóczył się nad rzeką, zapominając ponostawiać sieci i podrywki, chwycił powietrze głęboko unosząc się piersią, jakby mu oddechu brakło, a w oczach błyszczał mu ogień dawny. Aż gdy usłyszał głos Kasi, lub spojrzął na mogiłki zielone, wzdychał, opuszczał głowę i chmurny wracał do chaty.

Kasia tymczasem rosła, jak trzcina, a oczy jej nie rzucały dotychczas żadnych innych uroków, prócz uroku wiosennej swobody. Aż oto drobny wypadek przypomniał je kumoszkom i podał w podejrzenie mocne.

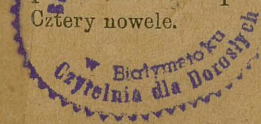
Pod kowalową strzechą jaskółka ulepiła gniazdko, a wkrótce na brzeżku jego gładkim, okrągłym, miękko wytłoczonym piersią matczyną, ukazały się trzy żółte, roztwarte dziobki, przedmiot podziwu chłopców od szewca, którzy przystawali, przypatrując im się, ilekroć bez niebezpieczeństwa oberwania pocięglem po grzbiecie udało im się obrócić drogę na kuźnię. Stara jaskółka bywała wtedy niespokojna bardzo i z głośnym krzykiem padała piersią na gniazdko, otulając je dwojgiem skrzydeł czarnych przed pożądlwym wzrokiem adeptów kunsztu szewkiego, którzy, niezadowoleni z takiej przerwy ciekawego widowiska, starali się spłoszyć biedną ptaszynę klaskaniem, gwizdaniem

i rzucaniem mniej lub więcej szczęśliwem grudką ziemi i błota.

Trafiona jaskółka zrywała się wówczas, a opisawszy w powietrzu błyskawiczne kółko, padała znów cała drżąca, bez tchu prawie na gniazdko; otworzywszy zaś dziobek czarny, zwracała się do napastników, szcząc i trzepiąc skrzydłami. To rozdrażnienie bezbronnej ptaszyny wywoływało zwykle głośnie wybuchy śmiechu pomiędzy chłopcami i pobudzało ich do nowych napaści. Otóż, zdarzyło się, że Kasia, przechodząc koło kuźni, zatrzymała się w pośród gromadki dzieci i przypatrywać się poczęła téj nierównej ze wszech miar walce; ale zaledwie wlepiła w gniazdko siwe swoje oczy, powiał wiatr niespodziany i przeniósł je na ziemię z pod strzechy. Chłopcy od szewca rzucili się na zdobycz, tak, jak ludzie zwykli się rzucać na każdą rzecz upadłą, bez litości, ze śmiechem, z hałasem. A gdy przeminał zachwyt posiadania trzech, bardzo brzydkich, nagich jeszcze, z ogromnemi głowami piskląt, przypomniano sobie Kasię i osądzono, że to jej oczy uroczne spowodowały upadek gniazdeczka.

— Popatrzyła, i już! — mówili chłopaki, obchodząc ją dookoła ciekawie i trwożnie; i każdy z nich poniósł z sobą do domu wrażenie przypadku, który w opowiadaniu nabrał wszystkich cech cudownych wydarzeń i żywo przypominał starszym proroctwo przepowiednie Błażkowój.

Ktoś z sąsiadów wspominał o tém Pawłowi; ale rybak splunął w garść i spojrzął na mówiącego tak, że tamten, zornawszy się dyplomatycznie, oparł się dopiero u własnego płotu. Odtąd jednakże dzieci z miasteczka, przestrzeżone zapewne przez trwożliwe matki, poczęły nowe.



częły unikać Kasi; a gdy dziewczeczka pytała, czemu z nią bawić się nie chcą, rówieśnica jej, zezowata stolarzanka odpowiedziała z przekąsem:

— Matusia powiadają, że ty masz złe oczy.

Kasia zawstydzila się i, zaczerwieniwszy się mocno, spuściła ku ziemi sliczne swoje, długimi rzęsami ocienione żrenice, a postawszy tak chwilę i czując napływające do nich łzy gorące, zwróciła się i z wolna poszła ku domowi. A za nią leciał szydarczy, niemilosierny śmiech dzieci.

Dnia tego wieczorem Kasia zapytała ojca:

— Powiedzcie mi, tatuńciu, co to są złe oczy?

Rybak przypomniał sobie zaczepkę sąsiada.

— Kto ci to powiedział?—krzyknął, zrywając się w ognistych łunach cały.

— A to dzieci powiadają, że ja mam złe oczy.

Paweł wstrząsnął dziewczynę za ramię.

— To jest kłamstwo! słyszysz, to jest kłamstwo!—zawołał wściekły;—a ty mi do dzieci obcych nie chodź, przy domu siedź, rozumiesz?

Kasi z bólu i ze strachu łzy po twarzyczce pobiegły; otarłszy je ukradkiem, ojca za nogi chwyciła, dziękując, a potem cichutko w kąt poszła i, łykając łzy nieproszone, zabrała się do skrobania ziemniaków na wieczerzę. Paweł z pode łba poglądał na nią, siedząc zadumany na ławie. A gdy powieczertzali i dziewczyna spać się już układała, zbliżył się do niej, śpiącą w oczy lekko pocałował, a otarłszy rękawem łzę gorzką, westchnął zcicha: „Oj, biednaż ty, biedna sierota!”

Tak tedy Kasi, odepchniętej przez dziatwę miasteczka, pozostał tylko jeden towarzysz zabaw, kudłaty Burek, z którym dziewczyna dzieliła obiad swój i wie-

czereż. Zabawy te jednak ograniczały się z konieczności na bieganiu po podwórku lub po izbie. Gdy ojciec na rzece był, lub zadumał się smutnie, jak to zwyczajem mu się stawało, Kasia nie miała do kogo przemówić słowa.

Jakże chętnie byłaby pogadała nieraz z Urielem, synem farbiarza Goebła, który był jedyną istotą ludzką, nieprześladującą jej nigdy.

Nie śmiała jednak jakoś go zaczepić.

Chłopiec był piękny, parę lat zaledwie od niej starszy, lecz milczący i smutny, jak nieraz bywają dzieci tego ludu w najpierwszej młodości swojej, póki im życie nie obudzi duszy, śniącej w jakiejś bezwiednej zadumie o niedolach wiekowych wzgardzonego plemienia swojego.

Z chajdery, którą ukończył świeżo, wyniósł myśl zamgloną, skłonną do marzeń, rozręskioną prorocztwami do jakiejś nieznannej przyszłości, i nawyknięcie do śpiewnej, zawodzącej jakoby mowy. W domu jedynakiem był, nienaganiany do pracy żadnej, a wychowany przez matkę, która go osierociła wcześniej, lgnął do ludzi sercem, potrzebującym cieplejszego uczucia i otoczenia, niż je znajdował w farbiarni, gdzie stary Goebel, cały oddany faskom swoim i cebrzykom, potrzeby takiej ani sam doznawał, ani ją u syna pojmował.

Uriel lubił cichą, spokojną dziewczeczkę rybaka.

Prostota sere i samotność przyciągała ich wzajemnie; nie było nikogo, kto by rozdmuchiwał w ich młodych piersiach te wstręty i nienawiści rasowe, które w takich właśnie społecznych nizinach, gdzie ich nie łagodzi żadna wspólność pojęć, dążeń i celów, występują zwykle w najbardziej szorstkich, odpychających

się wzajemnie przejawach. Ot, poprostu, nie było pomiędzy nimi nikogo, ktoby im mówił: Nie gadaj do niego, bo to żyd; nie patrz na nią, bo to córka goja.

Morze łez i krwi, dzielące ludy i rasy, nie istniało dla nich.

Zrazu siadywali sobie cicho, każde na swoim progu, słuchając w milczeniu, jak huczał młyn na Czeka-ju, jak las szumiał na Majdanach za rzeką, jak przewoźnicy nawoływali się z promów, jak psy szczekały, lub bocian klekotał.

Wkrótce jednak Kasia, ośmieliwszy się, zagadała do chłopca raz i drugi, a że im szum rzeki przeszkadzał w rozmowie, zeszli się u przełazka, przy płocie, łączącym obie zagrody.

Tutaj to dziewczyna opowiedziała Urielowi, jako jój tatuńcio do dzieci chodzić nie da; jako i dzieci bawić się z nią nie chcą i mówią, że ona ma złe oczy.

— Może to ono tak i jest!—dodała, zamyśliwszy się smutnie.

W istocie, te oczy, które, lubo dziecięce jeszcze, tyle już łez wylać musiały, jój samój wydawały się nieraz już „złemi.”

— Może tak jest... — powtórzyła, podnosząc na chłopca trwożliwe, jakby spłoszone, niezwyklej piękności żrenice.

Uriel popatrzył w nie długo—i jemu wydały się czegoś straszne te głębokie, przejrzyste jak rzeka oczy. Nie odrzekł jednak nic, żeby dziewczyny nie martwić. Zagadał o czém inném, rozśmiał się i dziewczę poweselało jakoś. Odtąd jednakże ciągnęła go do niej dziwna ciekawość. Czuł się podrażnionym tém niebezpieczeństwem tajemniczym, nieznaném, które mu

groziło tak zblizka, a które on miał dość odwagi wyzywać niejako. Przychodził do przełazka wzruszony, niespokojny, i patrzył, patrzył, patrzył i napatrzeć się oczu tych nie mógł. Dziewczyna, szezebiocząc z nim, grządkę swoje pella, króliki karmiła, ziemniaki skrobała, a wszystko szło rażniej jakoś i weselój. Nie była już samą. Burek tylko, widząc się zaniedbanym teraz, warczał za zbliżeniem się chłopca, póki go Kasia nie uciszyła, głaszcząc po łbie kudłatym śniadą swoją, opaloną rączką.

Tak minęły dwa lata, dwie zimy—i znów przyszła wiosna. Kasia, piętnastoletnia już wówczas dziewczyna, wyrosła i rozkwitła pięknością niezwykłą, jak dziki kwiat leśny. I chociaż śliczne jój włosy okrywała tylko mizerna chusteczka, chociaż na święto miała jedyną, spłowiałą, perkalową sukienczynę, a na codzien lichy modraczek, to jednak, kiedy otworzyła świeże, czerwone usta, na których uśmiech, jak motyl złoty, siadywał; kiedy podniosła oczy swoje przejrzyste i zawiodła jedną z tych piosnek, które na polach naszych skowronki gubią w przelocie,—Kasia była tak piękną, tak wiosennie powabną, że patrząc na nią, mimowoli przypomnieć było można zasłyszane kiedyś baśnie o zaklętój królownie. Uriel po dawnemu patrzył na nią z dziwem, a gdy znikła w progu chaty, stał jeszcze i widział ją przed sobą, migającą mu, jak mgielka w błękitném, wiosenném powietrzu. Żrenice jego nauczyły się, chodząc za nią ciągle, odtwarzać obraz jój, gdy jój już nie było. Widocznie urok rzuciła na niego.

Pewnego czerwcowego wieczora, Kasia, piorąc chusty, stała u rzeki na kamieniu, w krótkiej spódni-

czynie, bijąc z całych sił swoich kijanką grubą odzież rybaczą starego Pawła.

Wtém, na przeciwległym brzegu rozległa się chrypliwa piosenka stelmacha Kałużnego, znanego pijaka, który pod wieczór korbelki na raki zastawiał.

Dziewczyna podniosła głowę i słuchała, przedstawszy uderzać kijanką. Że jednak uderzenia te stelmachowi taktu dodawały, spostrzegł wnet przerwę i spojrział w stronę, z kąd dolatywały go poprzecznie. Ujrawszy Kasię, splunął z gniewem i rzekł:

— Na psa urok! a czegożes się ty na mnie tak wpatrzyła, wiédźmo ty jakaś? Dyabli nadali! Nie już z moich raków nie będzie!

Mówiąc to, szarpnął się gniewnie; a że już pod zwykłą swoją miarę w głowie miał, tak nieszczęśliwie się zatoczył, że w wodę wpadł i tonąć począł.

Krzyknęła przenikliwie strwożona Kasia; ludzie się zbiegli ratować i wkrótce wydobyto Kałużnego, który, przyszedłszy nieco do siebie, zbielałe oczy podniósł na brzeg przeciwny, gdzie struchlała Kasia stała, załamawszy ręce, i począł belkotać gniewnie:

— A to ta przekłeta dziewczka Duniaka wypatrzyła mi ten trafunek temi swemi powietrznemi oczami...

Przed szumem rzeki Kasia słów tych dosłyszeć nie mogła; lecz zobaczywszy kilka wzniesionych, grożących jój pięści, rzuciła się z krzykiem do chaty, drzwi na skobelek zaparła i gorzko płakać zaczęła, przytuliwszy się w kącie.

Ojca nie było podtenczas w chacie.

Skuloną tak i płaczącą zastał ją Uriel, który z miasteczka wracał, a nie widząc dziewczęcia ani u rze-

ki, gdzie ją zostawił, ani na podwórku, niespokojny do okienka szedł patrzeć, co się z nią stało.

Zobaczywszy go, dziewczyna szybko otarła oczy.

— Czego ty płaczesz, Kasia?—zapytał chłopiec.

— A czegożbym płakała, jak nie téj złej doli mojej z temi oczami... Kałużny do wody wpadł, i tyle... a teraz się odgrażają... bić może będą!.. a tatuńcia niema!

Chłopiec, słysząc to, zafrasował się mocno. A jednak, wyznać trzeba, że uczuł pewne zadowolenie na myśl, że może mu dziewczyny bronić wypadnie.

Od okna przeszedł do drzwi, obejrzał skobelek, zamknął, zastawił ławą; sam zaś, ująwszy kij starego Pawła, przy oknie stanął, czekając napaści. Kasi tymczasem polecił siedzieć na zapiecku, w najbezpieczniej-szym, jak mu się zdawało, miejscu.

Podczas tych przygotowań do obrony mówili z sobą półsłówkami, zeicha, jak mówią ci, którym za graża wielkie i blizkie niebezpieczeństwo. Kasia płakać przestała, Uriel oczekiwał napastników z bijącym od zmieszanych wzruszeń sercem. Była tam i obawa, i duma, i budząca się w nim bujność zuchwała, młodzieńcza. Tak minęła godzina, mniej może. Heroiczne to jednak usposobienie bohaterów naszych na nie się tym razem nie zdało, gromadka bowiem ratujących rozeszła się powoli do domów, a ci, co najzawzięciej Kasi wygrażali, razem z Kałużnym pociągnęli do narożnego szyneczku na rozgrzewkę. Gdy znikli, Uriel westchnął głęboko. Było to może odetchnienie ulgi pełne dla ściśnionych niepokojem piersi, a może westchnienie żalu, że nie mógł okazać, jaki to on mocny,

jak to on niczego się nie boi, jak to on Kasię obronić potrafi.

— Odeszli — szepnął, zawiedziony jakby, dziewczynie.

Kasia zeskoczyła z zapiecka, niespokojna o chusty swoje.

Otworzyli drzwi, popatrzyli—nie było nikogo.

Uriel jednak dziewczyny samęj puścić nie chciał, do rzeki ją podprowadził, a gdy Kasia, zabrawszy grube ojca koszule, do chaty wróciła, na płocie siadł i nieprędzej ze stanowiska obranego zeszedł, aż ujrzał podrywającego z siećmi Pawła Duniaka.

Rybak stary powrócił zły czegoś, zgryziony—i dlatego to zapewne Kasia o całym owym zajściu nie wspomniała nie, a tajemnica ta wspólna ściślej jeszcze połączyła dwie młode istoty, tak wyjątkowo zbliżone do siebie osamotnieniem i jakby fatalnością jakąś.

Zażyłość z musu stała się wkrótce zażyłością z wyboru.

Tak przeszło kilka miesięcy.

Tymczasem farbiarnia się rozwijała tak pomyślnie, że stary Joś Goebel, nie mogąc robocie nadażyć sam, a nie chcąc przymusu czynić jednemu, którego zajęcie to nie pociągało jakoś, przyjął na gody parobka, rudego Franka z Czekaja, który, lubo szpetny jak szatan, kosooki i przez osę podziobany jak sito, do roboty tego się brał i nie robił sobie z tego skrupułu, że „u żyda służy,” co w miasteczku uważanem było dotychczas za coś jakby wgardliwego.

Owóż Frankowi temu śliczna Kasia Duniaczka odrazu w oko wpadła. Słyszał on tam coś o tych „urokach,” ale, że już nie z jednego pieca chleb jadł

i po świetle rozglądał się z małą, liberynem potrosze był i nie dowierzał przygadywkom kumoszek. Ot, poprostu głowę stracił.

Drogę jej zabiegał, wiadro ze studzienki wyciągał, drewka znosić pomagał i już tylko o tym myślał, jakby tę jagodę, tę malinę, przywabić do siebie.

Nielatwo to było. Dziewczyna, harda z natury, spłoszona złem ludzi obejściem, dziką była, a Franka rudego bała się poprostu—tak szpetnym zdał się ten ospowaty, czarniawy człowiek jej oczom, przywykłym do pięknej, pogodnej, delikatnej twarzy Uriela.

Spostrzegł niebawem rudy aspirant, że drogą tą nie zajdzie daleko, to też chwycił się po niej jakimś czasem całkiem inną taktiką. Ilekroć wrócił z miasteczka, przynosił Kasi jakąś wieść drażniącą, powtarzając, co tam o oczach tych jej mówiono, jak ją nazywano wiedźmą, jak się odgrażano na nią; dziewczyna trula się tym i plakiwała po kątach, a rudy Franek oczekiwał tylko, aż dziewczę poznawszy, jak bardzo jest wzgardzoną, i straciwszy wszelką nadzieję szczęśliwszej losu odmiany, powie sobie wreszcie: „Jaki on pocziwy ten Franek, że patrzy na mnie, jak na każdą inną, z prawem oczami dziewczynę!” Niestety jednak dla planów swoich, przybył Franek na farbiarnię za późno; Kasia nadto już przywykła pocieszać się w utrapieniach swoich słodką życzliwością Uriela. Nie była już samotną; miała się przed kim użalić, wypłakać; wiedziała też, że chłopcu miła była, jak siostrze, a proste jej serce nie pragnęło więcej. Franek jednak nie był jednym z tych, co łatwo porzucają zamiary swoje. Obojętność i wstręt, jaki mu okazywała piękna dziewczyna, drażniły go coraz bardziej.

Na domiar złego, rzucając dokoła kosemi swemi oczami, spostrzegł, że Kasia mile patrzy na farbiarzonego syna. Przy pierwszej więc sposobności do Duniaka zaszedłszy, bąknął coś o tém staremu. Rybak zatrzęsł się, za kark go pochwycił i, podniósłszy wysoko, przez płot do farbiarni rzucił, a potem splunął, ręce w połę wytarł, jakby po dotknięciu padliny, i siadł dumać na ławie, oddychając gniewnie i głośno. Czy wierzył, czy nie wierzył — trudno było wiedzieć; dziewczynie jednak swojej nie rzekł i słowa; czas tylko jakiś patrzył pilnie na jej bladawą, dziecinną jeszcze twarzyczkę i ciężko wzdychał. Rudy Franek długo w pokrzywach pod płotem leżał, jak garnek rozbity, nareszcie pod wieczór, pozbierawszy się jakoś, klnąc i stękając, na farbiarnię wrócił, z sercem kipiącem nienawiścią i zemstą dla hardego starca i jego pięknej córki.

Odtąd, ilekroć do miasteczka zaszedł, dziwy opowiadał o „urocznej” dziewczynie Duniaka, która się pokochała w żydzie i na „katolika” (tu pięścią uderzał w chude, zapadłe piersi) patrzeć nawet nie chce.

Zgorszenie było powszechne; kumoszki głowami kiwały, wzdychając; dziewczęta chichotały szyderczo; chłopcy się odgrażali, słowem, wszystko aż wrzało przeciw biednej Kasi, jak w poruszoném mrowisku.

Nadszedł dzień Bożego Ciała. Ustawiono w rynku ołtarze. Dziewczęta z miasteczka szły w bieli i w kwiatach, niosąc chorągwie złociste i jaskrawo malowane obrazy. Jedna tylko Kasia Duniaczka nie śmiała iść z niemi, i wtedy dopiero, kiedy procesya do kościoła weszła, przypadła biedna dziewczyna na progu kruchty, łącząc swój głos, łzami nabrany, z płaczem

śpiewającego ludu. Przez drzwi otworzone szeroko widać było ołtarz wśród jarzących światła i chwiejące się po obu stronach nawy chorągwie rozwiane.

Naraz, zrobiła się cisza. Siwy kapłan wznosił w obu rękach monstrancję złocistą, obwieszoną wianuszkami z ziół pachnących, i zwrócił się do ludu, by mu błogosławić. Uderzyły rozgłośnie dzwony, dymy kadzideł obłóczkiem sinym w górę się poniosły, tłum padł twarzą na ziemię, a w powietrzu zabrzmiało uroczyste *Salvum fac*.

Uniesiona wzruszeniem tajemniczym, Kasia podniosła w górę piękne oczy swoje, podniosła — i krzyknęła...

Ołtarz, obwieszony jedwabiami, które się od wysoko ustawionych świec zajęły, palił się na najwyższych gzemsach swoich, jak Tabor ukoronowany płomieniem.

W kościele cisza była; drżący głos starca, wznośzącego „święte świętych,” zwiastował pokój i zbawienie ludowi.

Przenikliwy krzyk Kasi zatrzepotał się, jak ptak, pod kamienném sklepieniem świątyni i znikł w majestatycznym chórze organów, które kapłanowi odpowiedziały: „Amen.”

Ołtarz gorzał...

Dziewczyna, jak urzeczona, wpatrzyła się weń szeroko roztwartemi z przerażenia oczami.

Kapłan błogosławił wschodowi i zachodowi słońca, zakreślając krzyż, złocistych blasków pełen, nad ukorzonem tłumem. Błogosławił południowi i północy...

Naraz rozległo się wołanie: „gore!”

Na krzyk ten, zerwała się Kasia i, jak obłąkana, biedz w stronę rzeki poczęła...

Powstało zamieszanie okropne, ludzie rzucili się jedni ratować, inni uciekać. Ci właśnie spostrzegli Kasię. Ktoś krzyknął: „czarownica!” a na to hasło, tłum rozjątrzony rzucił się za nią w pogoń, miotając kamienie, obelgi i błoto, co kto miał.

Bez tchu leciała dziewczyna, jak wichrem niesiona; jasne jej długie włosy rozplotły się w biegu; mizerna chusteczka, związana na piersiach, szeleściła jak skrzydła ptaka... Już, już dopaść miała chaty ojca swego, gdy przebiegającą mimo farbiarni kamień trafnie rzucony uderzył w głowę tak silnie, że dziewczyna bez pamięci na ziemię upadła. Krew polala się z rozciętej skroni, tłum roznamietniony coraz był bliżej i byłby ją rozszarpał niechybnie, gdy w progu farbiarni ukazał się Uriel, dziewczynę ranioną pochwycił na ręce i drzwi zaparł. Napastnicy, ujrzawszy strugę krwi czerwonej, ostygli jakoś w zaciętości swojej i, powybijawszy tylko szyby w farbiarni, do pożaru w miasteczku wrócili. Tymczasem nadbiegł Paweł, który z garstką odważnych ratował kościół od ognia; w drodze dowiedział on się o zajściu pod farbiarnią i biegł oszalały prawie z bólu i wściekłości. Gdy do izby wszedł i obaczył krwawe na podłodze ślady, zatrząsł się cały, a chwyciwszy się obiema rękami za włosy siwe, ryknął, jak zwierzę ranione, i padł na ziemię przy ławie, na której złożono Kasię, tamując naprędce krew, obficie spływającą na bladą jej twarzyczkę. Chwilę tak leżał z zaciśniętymi pięściami i chrapliwym oddechem, a łzy grube, ciężkie spadały mu po zoraną troską twarz.

Wreszcie opamiętał się jakoś, dziewczynę na ręce wziął i do chaty swojej niósł, chwiejąc się cały, jak człowiek, który dźwiga ciężar nad siły. Długo leżała w gorączce Kasia biedna, rzucając się i krzycząc po nocach ratunku; długo potem, z sił wyczerpana, leżała nieruchoma, z zamkniętymi oczami. Nareszcie młodość przemogła chorobę, rana zblizniła się, a blada dziewczyna wstała z ubogiego tapczana na życie dalszej niedoli.

Uriel dopiero w czasie choroby Kasi poznał, jak drogą mu była. Tęsknił bez niej, marniał, sechł, jak kwiat bez rosy; a kiedy dziewczę pierwszy raz stanęło w blaskach dnia jesiennego na progu swojej chaty, rzucił się do niej i poczuł, że kocha.

Dziewczyna też na widok jego pięknej, pobladłej twarzy, zmieszała się dziwnie, a w uszach jej zabrzmiał echem głos złowieszczy ścigającego ją tłumu, który ją i tego żydowskiego chłopca w jednym łączył przekleństwie.

Zadrżała. Zdawało jej się, że ten tłum wyjący pędzi tuż, tuż za nią, że ją napiera, popychając nad brzeg przepaści straszliwej, na dnie której, w płomieniach cały, Uriel wyciąga do niej ramiona.

Chwyciła się odzwierka, żeby nie upaść, i przymknęła oczy olśnione.

Było jej miło i straszno czegoś. Oprzytomniawszy, poruszyła ustami, chcąc się uśmiechnąć do patrzącego w nią, jak w obraz, chłopca, ale uśmiech ten zagasiły dwie łzy, jasne i wielkie, któremi przemówiły bez słów „uroczne” jej oczy.

Odtąd uczucie, łączące Uriela i Kasię, nabrało jakiejś gorącej barwy, podobnie, jak rozwijające się

kwiaty, które słońce maluje w coraz to żywsze kolory.

Chłopiec zapomnieć nie mógł, jak ją przytuloną do piersi swoich niósł; dziewczyna słyszała ciągle ten głos nieszczęsny, który razem z obelgą rzucił jej jakby wyrok losu nieodmienny. Mówili z sobą mało, milkli nagle, spoglądając na siebie długo, dziewczyna zadumywała się czegoś. Uriel płonął, a potem większa jeszcze bladeńść osiadała na jego namiętnej, pokrywającej się puchem młodzieńczym twarzy.

Przychodził do przelazka wzruszony, drżący i przemawiał do Kasi zeicha, gorąco, chociaż treść rozmowy prostą była, powszednią, a mówiąc, pochylał się ku niej i oczyma pił jej spojrzenie. O! teraz i on był pewnym, że dziewczyna ma oczy „uroczne.” Jasność ich błękitną czuł w piersiach, jak świt nieznanego dotychczas, tajemniczego słońca, które budziło do życia wszystkie jego władze.

Dziwna jakaś nieśmiałość zastąpiła dawne poufne obejście. Widywali się rzadziej, witali stęsknieni, rozchodzili smutni. Pogodna jesień długo tego roku chodziła w błękitnych mgłach i srebrnych tkankach pajęczych po ziemi usypanej różnobarwnym liściem, zapalając purpurą winograpy dzikie i potrząsając złotem brzozy i wierzy płaczące nad rzeką. Jaskółki i bociany wahały się z odlotem, wiśnie tu i owdzie w sadach podmiejskich zakwitły spóźnionym kwiatem.

Dla Uriela i Kasi była to jakby druga wiosna, owszem nawet, jakby pierwsza w ich życiu.

Tymczasem rudy Franek raz jeszcze zmienił swe plany. Z właściwą sobie chytrą przebiegłością zrozumiał, że Kasię tylko po jakiejś ostatecznej katastrofie

posiąść będzie mógł. Zapragnął tedy kwiat ten dziki, który świeży, biały swój kielich odwracał od niego, widzieć jaknajprędzej zerwanym, rzuconym na ziemię, zdeptanym. Przestał więc prześladować Kasię, i natomiast, niechcący jakoby, ułatwiał widywanie się z nią Urielowi, drażnił chłopca za nieśmiałość jego, dziewczęcą prawie. Pilno mu było widzieć dziewczynę w przepaści hańby, obarczoną przekleństwem ojca i wzgardą ludzi, gdyż mówił sobie: „wtedy musi moją być!”

Nie na rękę mu była niewinność ich dziewczyna, niecierpliwił się, kłął, radby w Uriela przelać własne swoje żary. To znowu, widząc ich razem, burzył się i za włosy darł, i znieść nie mógł świeżego głosu dziewczyny, gdy wiatr poniósł jej piosenkę od rzeki.

A tymczasem płomień, rozdmuchiwany przez niego, ogarniał dwie te fatalnie zbliżone z sobą istoty, koniecznie, bez ratunku, na zgubę.

Gwiazda wieczorna, która długo nad ich głowami złote roztaczała blaski, zakryła oczy mgłą srebrną, jako rąbkiem białym. Zaszumiał las na Majdanach, zerwał się wichur z za rzeki, zatrzęsł chatą Duniaka i rozwiął się po polach w poświstach długich, jęczących. Szron na okienku Kasi topniał od jej oddechu, a śnieg na ścieżce do okienka tego topniał od śladów Uriela.

Minęła zima. W czerwcu ławicą szły jesiotry pod wodę. Stary Duniak całe noce spędzał na rzece z sieciami, to ryby łowiąc, to nasłuchując pieśni fiaszacych. Rankiem dopiero powracał i znużony usypiał na ławie, ledwo spojrzawszy na córkę.

Kasia bywała blada, mileżąca, roztargniona czegoś, niechętnie zabierała się do roboty i nieraz polewka nie była gotową, gdy ojciec świtanem powrócił.

Poblażał jednak Paweł jedynacze swoją,—była sierotą, nie miał serca jej łajać, folgował.

Dziwno mu tylko było, że Kasia nie posiała w ogródku swoim krasnych maczków, ni lawendy, ni ostróżek modrych, i że mu się nie wiesz na szyi, prosząc o paciorki lub wstążkę, jak owo dawniej bywało.

— Ot, sumuje czegoś! zwyczajnie sierota, bez matki!

I wzdychał.

Tak przeszło lato, burzliwe w tym roku, pełne piorunów, nawalnie, chmur czarnych jak noc i oślepiających błysków. Ziemia była rozpalona; parne powietrze wrzało. Burze były plony ziemi; do rzeki, która się niosła z szumem ogromnym, przystęp był trudny, sieci trzeba było nastawiać z mazołem wielkim.

Stary Goebel dopadkami tylko suszył piękne, jaskrawe pasma wełny swojej; parobek jego chodził chmurny, z zaiskrzonemi, jak wilk, oczyma.

W powszechniej trosce o chleb codzienny zapomniano jakoś o Kasi. Naraz, w jesieni, ludzie, przechodzący około chaty Duniaka, posłyszeli głośny, zawodzący płacz kobiecy i krzyk ogromny drżącego, męskiego głosu, i klątwy, i jęki. A w chwilę ucichło wszystko nagle, snadź opanował się ten gniew wielki i zdusił nadludzką siłą woli wpół wybuchu.

Ludzie postali, pogadali i rozeszli się zwolna.

Nazajutrz jednak Kasia nie wyszła z chaty, jak zwykle co rano, po wodę i odtąd nie widywano jej wcale. Chorą była, mówiono; na pewne jednak nie wiadano nic zgola,—stary nie puszczał do chaty niko-go, na pytania nie odpowiadał.

Ryby łowił tylko na wędkę, tuż przy domu, drzwi na zaszczipkę zatknawszy, i to tyle tylko, ile sam zjeść mógł, bo na sprzedaż nie nosił ich do miasta.

Po wodę do studni sam chodził, sam kartofle dobierał i skrobał, sam warzył wiecezrę i obiad, sam chusty prał. Obca noga w chacie nie powstała.

Ludziska różnie o tém gadali. Stare kumoszki zwłaszcza w głowę zachodziły, co to ma znaczyć.

Podglądały, podpatrywały,—wszystko napróżno, chata była tak szczelnie zamknięta, że para z niej nie wyszła.

Do kościoła nawet Duniak chodzić przestał. On, co dawniej, chorągiew niosąc cechową, najtęższym basem śpiewał: „Witaj Królowo!” tak, że aż sklepienia drżały, dziś, jakby zapomniał pacierza, w niedzielne ranki siadywał na progu mileżący.

Rudy Franek też ludzi unikać zaczął.

Bywało—podejdzie wieczorem pod chatę Duniaka i patrzy i słucha, ale gdy raz i drugi stary pięście ścisnął i warknął, jak rozjątrzony brytan, i podniósł się z progu, kosooki parobek odchodził w milezeniu, łyskając nieprzyjemnie oczami.

Odpychały się wzajemnie ta duma i ta zawziętość.

Uriela nie było w domu. W przeddzień owego wybuchu w Duniaka chacie, wyjechał z polecenia ojca do wuja swego, mieszkającego w mieście poblizkiem.

Cztery nowele.

Żegnając Kasię, mówił jęj, że za trzy dni wróci; oddalał się niechętnie,—każda godzina bez nięj straconą mu była. Tymczasem nie wracał, a Kasia nie wyglądała go nawet okienkiem; chata Duniaka jak grób zamkniętą była.

Aż jakoś po godzinach drzwi jęj otwarły się nagle.

W progu stał proboszcz sędziwy, który tu w nocy, widać, wezwanym być musiał. Stał i oczy ocierał z łez, czy z mgły porannęj, patrząc na wschodzące słońce. Poza nim wysunęła się z chaty stara jakaś, nieznana kobieta i, otulona w chustę, poszła ku Majdanom leśnym. Stado wron zerwało się z krzykiem, łopocąc ciężko skrzydłami. Domostwa się otwierały, ludzie stawali na progach, sine dymy wiły się gdzieniegdzie z kominów. Proboszcz szeptał modlitwę, potem odwrócił się raz jeszcze, zrobił znak krzyża i opuścił chatę.

W izbie, na tapezanie, pod ścianą, leżał trup pięknej Kasi, z dwoma wielkimi, niezastygłemi jeszcze łzami u spuszczonej rzes ciemnych.

Duniak stał nad tapezaniem osłupiały, nieprzytomny, śniady jakiś dziwnie na twarzy, z załamanemi kościstemi rękami, niepatrzący na ludzi, co się tłoczyło poczęli do izby tłumnie, wynagradzając sobie tak długo powstrzymaną ciekawość.

Zdawało im się, że tu ujrzą dziw jakiś,—tymczasem nic niezwykłego w izbie nie było. Śmierć i boleść nie są przecież rzeczą niezwykłą na ziemi.

Popatrzyli, pomodlili się, ten i ów westchnął i odeszli do pracy codziennęj. Ojciec ten zmartwiał, milezący, został sam z trupem jedynaczki swojęj. Słońce tylko ulitowało się tego siwego sieroty i przy-

szło mu świecić do izby ciemnęj i zimnęj jednym z tych promieni, które w końcu lutego zapowiadają już wiosnę.

Pogrzeb Kasi odbył się cicho i śpiesznie. Ojciec nie dał jęj tknąć nikomu: sam w trumience ułożył ją, jak dziecko; sam ubrał, sam zaplótł warkocze, sam powiózł na cmentarz. A gdy powrócił, chusty i tapezan spalił; stółek pchnął nogą, aż się rozleciał, a potem, noc całą przesiedziawszy na progu, wstał rankiem, otrząsnął się, przetrął oczy i, przybrawszy się niewiele do drogi, chatę, jakieśmy mówili, zaparł i w świat precz poszedł.

*

*

*

Na farbiarni cicho było tymczasem. Jesienią jeszcze, zaraz po owym w chacie wybuchu, zaszedł był stary Duniak do Goebła, którego zastał przy robocie w półkożuszk, w klapiących łapciach, z krótką fajeczką w zębach, przed progiem.

— Gdzie syn wasz? — ochryplym zagadnął głosem.

— Nu! gdzie ma być?... w mieście jest...

Duniakowi twarz gniewem zaszła.

— Nie sądzono mu... — mruknął gwałtownie przez zaciśnięte zęby; a potem chwycił Goebła za kołnierz i wrzucił go niemal do izby; sam za nim wszedł i drzwiami trzasnął. Co mówili z sobą—nikt nie wie. Słychać tylko było stłumiony, wściekłością rwący się w piersi głos starego rybaka i jękliwe „o weh mir!... o weh mir!...” żyda.

I wówczas nawet, gdy Duniak wyszedł w płomieniach cały, z zaciśniętymi pięściami i ostatnią na ustach kłatwą, farbiarz nie przestawał jęczeć i wyrzekać, i targać się za pejsy i brodę, kiwając się w tył i naprzód, a lamentując głośno.

Dopiero nocą już prawie wywłókł się z izby, zaszwargotał z parobkiem, pomagając mu śpiesznie konia do wózka zakładać, wdział na siebie chałat pikowany, a usiadłszy w głębi wózka na worku z obrokiem, nerwowym ruchem targnął lejce, wysoko wywijając batem, skreślił w stronę najbliższego miasta.

Kurzawa podniosła się na drodze i zakryła wózek; długo jednak jeszcze parobek, patrzący za nim z wykrzywioną brzydkim uśmiechem twarzą, słyszał jękliwy głos w cieniach nocy i skargi spazmatyczne starego Goebela.

Pod samém miastem dopiero, u celu już drogi swój, uciszył się farbiarz.

Poprawił jarmułkę, bat przełożył w drugą rękę, splunął i z pozornym spokojem zajechał do szwagra, u którego Uriel w odwiedzinach od dwu dni bawił.

Młody chłopiec, zobaczywszy ojca i szkapę zziąjaną, poczerwieniał, otworzył usta, chciał pytać się o coś, ale nie śmiał.

Stary powitał go spokojnie, w oczy mu jednak nie patrząc, konia mu oddał, napoić kazał i obrok zasytać, a sam ze szwagrem, który tu bławatny sklep trzymał, do alkierza szedł na rozmowę.

Do świtu prawie słyhać było zapalczywy szept dwóch głosów, zachłystujących się i przemagających kolejno.

Urielowi, który w obocznej izbie na ławie zasnął

próbował, zdawało się, że odróżnia chrzęst rozwiązywanego trzosa i liczenie pieniędzy.

Potém ucichło jakoś, a z alkierza wyszedł kupiec bławatny, pas gładząc. Przymrużonemi oczyma spojrział na Uriela z uśmiechem, odchylającym piękne, wypukłe wargi, i przeszedł dyskretnie mimo ławy na palcach, skrzypiąc świecącemi butami.

Za nim wysunął się stary Goebel, z zafrasowaném obliczem; syna zbudził i, zaprzaglwszy z nim szkapę, pożegnał go uściskiem długim, gorączkowym jakimś i, siadłszy na wózek, jechał precz do domu.

Uriel, wytrzymać już dłużej nie mogąc, rzucił się z pytaniami do wuja... Przeczuiwał niebezpieczeństwo jakieś dla siebie, było mu tak, jakby w wodę szedł, nie wiedząc jak głęboka.

Wuj atoli długo nań drwiąco jakoś w milczeniu patrzył, aż naglony, rzekł:

— Nu! co ma być? stary tobie żonę wyszukał.

Chłopiec głowę spuścił, oczy mu zasły jakąś mgłą wilgotną, w gardle mu zaschło, przełknął ślinę, zachłystnął się i milczał.

Wuj téż, czy ulitował się nad zmieszaniem jego, czy rad był choć krótkiemu jeszcze spoczynkowi w betach, usłanych wysoko, rozmowy nie przedłużał i, kołyszac lekko swoją okazałą postać, z powagą do alkierza szedł.

Chłopiec czas jakiś stał jak martwy. Aż gdy turkot wózka ucichł na drodze, a z alkierza dolatywać poczęło lekkie, nosowe chrapanie kupca bławatnego, uczuł się nagle tak samotnym, tak opuszczonym, że za ojcem biedz chciał i, u progu dopiero opamiętawszy się, zawrócił, na ławę padł z załamanemi nad głową rękami

i, w poczuciu bezsilności swojej, gorzko zapłakał, jak dziecko, lkając cicho i żałośnie.

Tymczasem stary Goebel do farbiarni wrócił i pracy się gorączkowo chwycił, jakby dla zagłuszenia się. Był niezmordowanym, od roboty rąk nie odejmował, grzbietu nie prostował, oczu nie podnosił, ust nie otwierał.

Czasem tylko, gdy spojrzał na zamkniętą chatę Duniaka, który okienko wychodzące na farbiarnię deskami zabił, a w progu siadywał sam, zagradzając do niej wejście szerokimi swemi barami, Goebel trząść się poczynął, z rąk puszczał cebrzyki swoje i, chwytając się za siwą głowę, jęczał zcicha: „o weh mir!”

Dopiero pod wiosnę uciszył się jakoś, po owym pogrzebie Kasi, gdy stary Duniak z oczu mu zeszedł, precz w świat idąc.

Odkąd chata rybacza, kółkiem zaparta, zupełnie osamotnioną została, zdało się, że farbiarzowi ciężar jakiś spadł z serca.

Raźniejszy już, pojechał na wesele jedynaka swego, który dostał pannę z bogatego domu i ze znacznej, jak mówiono, rodziny.

Przeszłość zdawała się coraz dalej i dalej uchodzić. Cień jej zaledwo majaczył w wiosennej nocy nad zapadniętą mogilką Kasi i opuszczoną chatą rybaka.

Czasem tylko przeszłość ta rzucała długie spojrzenie swych zamglonych oczu w serca tych, co przez nią żyli, czuli, radowali się i cierpieli.

Wszystko zdawało się obracać na dobre; farbiarnia przynosiła coraz większe zyski.

Kosooki, rudy Franek tegim był pomocnikiem, i choć od śmierci Kasi pić począł, choć po nocach wło-

czył się, nie wiadomo gdzie i po co, rankiem przecież stawał do roboty pilno, nie dając nigdy wołać jakoś na siebie.

Przy farbiarni się trzymał i choć mu indziej większe obiecywano zasługi, trwał tu, jakby wyczekując czegoś.

Goeblowi miłym był ten towarzysz milczący, chmurny, dyskretny.

Nie wytrzymałby pewno z oczajduszą jakim, choćby na muzykę latał, za dziewczętami patrzył i plótł co ślina przyniesie.

Jego boleść, zabliźniona zaledwie, potrzebowała tego otoczenia ciszy, choćby to była cisza przed burzą.

Raz do roku syna odwiedzał, zabawił dzień, dwa i wracał sam do swoich motków z wełną.

Tak przeszło lat cztery.

Pod wiosnę jakoś stary farbiarz niedomagać począł. Wysechł, pozołkł, zadychiwał się częściej coraz, postarzał i w oczach nikł prawie. Wreszcie nie podniósł się już wcale z postania. Do konającego zlecieli się krewni.

Uriel przybiegł najpierwszy, żonę w domu zostawiając i od zmysłów niemal odchodząc z żalu.

Kochał on ojca, a przytém czuł się może względem niego winnym... któż to wie?

To pewna, że od czasu owego widzenia się w domu wuja i owych łez przelanych na ławie twardej podczas szarego brzasku dnia jesienno, Uriel, jakby sam osądził się i skazał, tak cichym był, tak powolnym dla wszystkich, tak bezwładnym niemal. Jakaś apatya zlamiała tę namiętną, lecz nieposiadającą żadnego hartu duszę. Do rodziców wybranej panny bez oporu za-

wieźć się dał, obracał się i mówił, jak mu kazano, i chociaż na weselu błądy był i drżący tak, jakby to każna godzina była, ani jednym słówkiem nie przerwał długich obrzędów i nie zdradził swojej niechęci.

Po weselu zamieszkał w domu teścia i oddał się pracy, cichy, powolny, milczący, rozczarowany jakby. Czy był lubionym, trudno to powiedzieć,—obojętnym był i obojętność też wywoływał może. Mało go zresztą znać było w tym domu. Zadumywał się często, po kątach siadał. Teść jego kiwał głową, lecz milczał. Żona za to rzucała mu błyskawice niecierpliwych spojrzeń, rozrządzając nim, jakby martwą rzeczą jaką.

Największe łaski miał u teściowej; ta jedno mu tylko miała do zarzucenia: Cztery lata mijaly już od hucznego wesela Hany, a przecież nie była ona do tychezas matką.

Mimo to jednak Uriel był dla stariej teściowej Beniaminkiem jakby.

Tłumaczyła go nawet nieraz w tej drażliwej kwestyi, nad którą bolała sama przed sąsiadkami swojemi.

— Takie delikatne...—mawiała z przymrużeniem małych swych, siwych oczu i z pewnem znaczącem skrzywieniem ust, które ję się zdawało dystygownem bardzo.

Otóż, kiedy po pogrzebie ojca, Uriel odprawił bósiny we łzach i poście, jak na pokutnika przystało, wywabiony szumem wezbranych wód wiosennych, na progu farbiarni stanął i spojrzał przed siebie.

Chata Duniaka stała tam, w miesięcznych blaskach, jak grób cicha, pusta, zaparta...

Uriel zakrył oczy rękami.

Zdawało mu się, że ujrzał widmo białe, milczące, a jednak pełne wymowy namiętnej.

I zdawało mu się, że widzi Kasię, świegocącą na przełazku, jak ptak, i jak ptak zraniony spadającą z połamanymi skrzydłami, głęboko pod ziemię...

Echo przyniosło piosenkę jakąś z za rzeki.

Zasłuchał się, wspomnienia poczynaly go chwytając potężną siłą. Nie czuł, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Przeszłość lat czterech minęła dla niego jak sen, zdawało mu się, że lada chwila ujrzy pstrokatą sukienkę Kasi i jej długie, miękkie warkocze, na ramiona niedbale spuszczone.

Wstrzymał oddech, żeby jej nie spłoszyć; zapatrzył się, jakby olśniony, w przestrzeń daleką.

Naraz drgnął. Szybkie, czające się kroki w pobliżu wyrwały go z zadumy tej, czarów pełnej.

Spojrzał—przed nim stała stara, zgarbiona wieśniaczka, przebierając suchymi palcami, jakby w zakłopotaniu jakimś.

Stała i milczała, nie wiedząc, jak go na razie pozdrowić.

Zwykle mawiała ona do ludzi: „pochwalony”—to był żyd jednak, nie godziło się.

Milczała więc chwilę, nareszcie podeszła bliżej i, odchrząknawszy, zapytała znizonym głosem:

— Wyście syn farbiarza?

— Ja. A bo co?

— Dawno się już czaje do was, a no przy ludziach, w dzień, nijako, w nocy znów psa się boje, a tu malec jeść chce, a niema mu kto dać; ja, stara, nie za-

robię. Póki farbiarz żył, dawał potrosze na chleb, na krupy; teraz go brakło, brakło i chleba. Tamten stary poganin, Duniak, córkę uśmiercił prawie, taj w świat poszedł. Wam dziecko blizkie, radźcież co.

Uriel słuchał olśniony, wzruszony, drżący. Za rękę chwycił starą.

— To dziecko żyje?

— Tać żyje, krzywdy mu nie było, Bóg świadkiem! chłopiec jak iskra, jak orzeszek...

Uriel oddychał z trudnością, twarz mu pobladła, oczy mgłą zachodziły. Ruszył się i chciał iść przodem, ale długi post i nagłe wzruszenie odebrały mu siły, — jak pijany zatoczył się i wesprzeć musiał.

Po chwili dopiero opamiętawszy się jakoś, do izby wszedł, za czapkę chwycił i śpiesznie miał się do drogi.

— Chodźmy! — szepnął starój, — chodźmy.

Stara wskazała ręką ku leśnym Majdanom.

— Ano, łęgiem chyba... pod Pławkami, a potem koło młyna... najbliżej to, ale topiele, aż strach!

Uriel ruszył, wyprzedzając starą. W oczach mu migotały jeszcze czarne, to świecące płatki, szedł jednak, śpiesząc; gdyby mógł, ptakiem by leciał.

W milczeniu szli. Stara zadychiwała się i kaszlała ciężko, kijem macając pewniejszego przejścia po mokradłach łąnych, po kępkach, gdzie rzucało się sitowie ostre i kostka. Jój chude, w łachmany owinięte stopy, przywykłe snadź do drogi takiej, nie więcej znajdowały tu trudności, niż nogi czapli, żórawia lub bociana. Od chwili do chwili pomrukiwała zcicha; było to przywyknienie jój samotności.

Uriel szedł, nie oglądając się na nią. Powiew no-

cy rozrzucił mu poły długiego chałata i przynosił szum oddalony, z którym łączyła się jakby modlitwa.

Był to, zwykły o wiosennym nowiu, duet rzeki, wezbranój całą pełnią wód swoich, i starego Hersza, który dziwnie, przenikliwie wzywał dziś Jehowy o dotrzymanie dawno uczynionych obietnic, obietnic, danych ojcom ojców jego.

Gwiazdy już poczynaly gasnąć, kiedy stanęły u chatynki nędznej, przytulonej pod lasem, schowanej prawie pod gałęziami, jak gniazdo ptasie.

Przy chacie téj nie było nic zgoła. Ni grządkki, ni płotka, ni studziennego żórawia, ni obórki jakiej, ni chlewika. Stała sama pod lasem, dumająca, zgarbiona, podporą pod lewy bok ujęta, z roztrzęsionym dachem, i widoczném było po jój rozmiarach, że jedną tylko izbę mieściła w sobie. Ot, nędza — i tyle.

Opodał, gdzie rzedniał brzeg lasu, widać było bielejące chaty duże, szeregiem między kwitnącemi sadami stojące; to były Majdany leśne.

Psy trwożliwie oszczeknęły się ztamtąd na podróżnych naszych, gorliwsze na drogę wybiegły, ale przycichły wkrótce; pod las nie poszedł żaden.

— Wejdziesz — mówiła stara, chatę otwierając z zaszczepki, gdy Uriel bez tchu prawie oparł się ciężko o pierwszy sośniak z brzegu, — wejdziesz, chłopiec spi pewno.

Jakoż spał.

Uriel, potknąwszy się zrazu w ciemności, ujrzał przy rozdmuchaném przez starą łuczywie najprzód chustę grubą, na ziemi przed kominkiem zwiniętą, a później śpiącego na niej chłopczykę. Rzuciło mu się w piersiach serce, jakby ukropem oblane... starój z rąk

kaganek chwycił i chłopcu przypatrywać się począł chciwie.

Dziecko było drobne, niezwykle piękne, z twarzą bladą, ściągłą, na którą ciemne rzęsy u spuszczonej powiek rzucały jakiś cień żałobny, sierocy. Brudne było, zaniedbane, głodne może. Bosa nożyna zimna była, twarzyczka szczupła bardzo, oczęta jakby nabrzmiała po niedawnym płaczu.

Uriel poruszył ustami niewyraźnie, jakby mówił, czy całować; nagle schylił się, chwycił dziecko w ramiona, chałatem go swoim okrył, a rzuciwszy starą pieniądze, jakie miał, wybiegł z chaty, nie oglądając się nawet.

W pierwszej tej chwili nie obliczał się z niczym. To drobne ciałko dziecięce, przytulone do jego odkrytej piersi, senne, oddane mu zupełnie, przejmowało go dreszczem nieznanej dotychczas rozkoszy.

Olśniony jakby, nie patrząc drogi, biegł, i dopiero przed samą farbiarnią oprzytomniał nieco, usłyszawszy głośnie chrapanie parobka pod szopą.

Przyszło mu na myśl, co ludziom powie?

Do dziecka tego, bądź-co-bądź, głośno przyznać się nie mógł; miał żonę, krewnych.

Lecz wyrzec się go—było też już teraz nad siły jego. Przed kilkoma godzinami wprawdzie nie wiedział o jego istnieniu, lecz teraz, gdy je tak długo, tak gorąco tulił w ramionach, gdy czuł oddech jego, równy, leciuchny oddech, muskający mu twarz pałającą, teraz kochał je.

Uścisk jeden zbliżył te dwie istoty, rozdzielone wszystkimi prawami świata.

Pod oczyma Boga, w ciszy tej samotnej nocy, Uriel uczuł je swoim; nie mógł go już oddać nikomu.

Wszedł ostrożnie do izby; dziecko na posłaniu złożył i, przypadłszy twarzą do poduszek, łkał namiętnie, oddany na pastwę wspomnień, pragnień i beznaściejnych żalów.

Chłopczyna rzucił się w śnie, a na piersiach, niezakrytych grubą koszuliną, błysnął mały mosiężny krzyżyk. Dziecko było chrześcianinem.

Nazajutrz kosooki parobek jął złośliwie przypatrywać się chłopcu.

— A wam zkąd ten chuchrak?

— Sierota.

Nie kłamał; dziecko to było strasliwym sierotą; sierotą bez praw, bez opieki, bez imienia.

Franek nie poprzestał na tém.

— Toż i sieroty nie rosną jak grzyby po deszczu, a deszczu dziś w nocy nawet i nie było.

Uriel zmilezał. Zbroił się w cierpliwość, czuł, że to pierwsza dopiero zaczepka, że więcej takich odpierać mu przyjdzie, i postanowił sobie bronić się tém jedynym słowem: sierota.

Chłopczyna tymczasem otworzył wielkie swoje czarne oczy i, przypatrując się obcym, skrzywił do płaczu usteczka, powtarzając żałośnie:

— Babusia! babusia! ja chcę do babusi!

Rudy Franek nie odstępował od dziecka. Trochę się domyślał, trochę przypominał; złośliwym też był tak, że i bez widoków żadnych dręczyć lubił a drażnić.

— A gdzie babusia twoja?—pytał chłopczyny.

— A w lesie.

— Ii... to pewno jaka stara sowa.

— Nie sowa, nie! ino babusia!
— A gdzież matusia twoja?
— Niema matusi, ino babusia.
— A tatuś?
— Niema tatusia...
Dziecko płakało.
— Głupis, patrz ino dobrze, to zobaczysz tatusia.
Chłopczyzna spoglądał wokoło i silniej płakać zaczął.

— A jak ci na imię, pędraku?
— Michalek—odpowiadał malec.
— A może tobie Mosiek? — dogadywał Franek z brzydkim uśmiechem.

Uriela drażniło to niezmiernie.

Myślał, przemyślał, jakaby tu obronę chłopcu dać—i nie wymyśleć nie mógł.

Bądź-co-bądź, postanowił, że z dzieckiem nie rozstanie się nigdy.

Liczył na to, że z czasem ludzie przyzwyczają się widzieć tego sierotę pod jego dachem; milczeniem i cierpliwością najzaciętszych przejednać się spodziewał. Tak minęło dni kilka.

Chłopczyzna coraz rzadziej płakał, wspominając babusię, coraz częściej uśmiechał się do tego bladego mężczyzny, który go na ręce brał, huśtał, piernikami i mlekiem karmił i tak gorąco całował. Było mu tu lepiej, cieplej niż w lesie, nie bywał głodny, a do zabawy miał kłębek kolorowej wełny, którym ciskał po izbie dzień cały, śmiejąc się i szczebiocząc jak wróbel.

Gdy Uriel do umierającego ojca pośpieszał, nie był pewnym, czy pozostanie tu już i obejmie farbiarnię na siebie, czy też sprzeda ją i powróci do rodziców żony.

Odszukanie chłopca rozstrzygnęło tę wątpliwość. Śmielszym, silniejszym czuł się Uriel tu, gdzie miał dziedzictwo własne.

Postanowił pozostać.

Przygarnąć dziecinę tę, opiekę jej dać—mógł tylko tutaj. Trzeba jednak było rozmówić się z teściami i sprowadzić żonę. Pomyślał, że im prędzej to zrobi, tym lepiej się stanie. Pilno mu teraz było wyjść z dotychczasowej apatyj i stawić czoło burzy, jaka go prawdopodobnie czekała.

Z wieczora też zaraz zawołał Franka, zbierając się do drogi.

— Jadę na noc, domu mi tu pilnuj i dziecka — rzekł krótko.

Frankowi nie podobały się te polecenia.

— Wilk go nie porwie, a jeśli się boicie, to je weźcie z sobą, pokażecie żonie—mówił drwiąco.

Urielowi oczy błysnęły; chwycił go gniew. Przemógł się jednak, w milczeniu na wózek wsiadł i ruszył tą samą drogą, którą niegdyś stary Goebel, lamentując wśród nocnej ciszy, przebywał.

*

*

*

W kilka dni potem gwarno było przed farbiarnią. Uriel przywiózł żonę.

Była to kobieta starsza od niego, niepiękna, śniada, z szybko biegającymi czarnymi oczami, które zdradzały wiele chciwości i sprytu.

Mówiła dużo, z gestykulacją zapalczywą, w której znać było nawyknięcia kramu, gdzie przez lat kil-

ka wyręczała matkę, ujadając się o każdy grosz z kupującymi.

Mowa jój posiadała dziwną obfitość określników, improwizowanych naprędce, chwytyanych w powietrzu, któremi zasypywała męża, furmana i parobka, wydając polecenia różne.

Od chwili, kiedy postawiła dużą swą, płaską nogę na progu domu tego, znać było, że obejmie go w posiadanie wyłączone, że będzie tu panią.

Uriel, ze swoją postawą szczupłą i pochyloną cokolwiek, z twarzą bladą i nieruchomą, jak cień snuł się w milczeniu. Przy tej kobiecie, zbudowanej silnie i rozwiniętej okazałe, wyglądał na wyrostka niemal.

Znoszono kufry, przestawiano sprzęty; nowa gospodyn timerowała rzecz każdą.

Nawinął się Michałek.

— Czyje to?—rzuciła Hana.

Franek uśmiechnął się.

— Nie wiem, majster wiedzą.

— Sierota—pochwycił Uriel.

— Jaka sierota?

— Z drogi podjąłem; podziac się nie ma gdzie.

— Nu, ludziom go dać.

— Bułkę się na dzień wyżywi, pod szopą sypia... smutno tak samym.

Hana błysnęła okiem.

— Jakto samym? co to samym? czemu to ma być samym? co to takie rzeczy gadać?

Mówiła, oddychając szybko; snadź kwestya ta wprawiała ją w rozdrażnienie.

Uriel spuścił głowę, czuł się winowajcą, milczał.

Hanę rozbroiła pokora męża; zawołała chłopca i dała mu obwarzanek.

— Jak tobie imię?—spytała.

— Michałek.

— Wie?

Uriel stał jak na rozpalonych węglach.

Hana otworzyła usta, nabierając tchu do jakiegoś gwałtownego zarzutu, gdy wtém z samego wierzchołka wysoko wyladowanej bryki spadło ogromne pudło, a z niego posypały się czepece z kwiatami i jaskrawymi wstęgami.

— Herr Got!—krzyknęła Hana, uderzając w obie dłonie, i jednym skokiem rzuciła się na ratunek drogocennych strojów, których przeznaczeniem było przypisać o zazdrość wszystkie elegantki miejscowe.

Burza chwilowo zażegnana była; zdawało się, że wszystko ułoży się szczęśliwie.

Hana, zajęta rozpakowaniem swoich rupieci, nie zapytała już o Michałka, którego też Uriel przezornie usunął jój z oczu, uspiwszy wcześniej pod szopą na sianie.

Nazajutrz, w gorączce instalacyi, młoda pani mniej zważała na płaczące się koło domu chłopię, raz nawet zagadnęła je laskawie, pytając, czy nie głodne.

Uriel spojrział i znalazł ją w tej chwili piękną prawie.

Wieczorem zakłopotana się Hana o dziecko, gdzie spać będzie?

— Pod szopą.

— W stancyi miejsca dość, na kufrze spaćby mógł. Uriel zarumienił się mocno.

Noc poprzednia przeszła mu bezsennie. Tonąc Cztery nowe.

w betach, pod sufit niemal wysłanych, myślał o tém chłopięciu, śpiącym pod szopą, i przewracał się z boku na bok. Na piersiach by je tulić rad i na rękach do snu kołysać.

To też przed świtem jeszcze zerwał się, tłumacząc żonie, że do koni zajrzy. Pobiegł do szopy. Chłopczyna spał. Uriel pochylił się nad nim i gorącym pocałunkiem zamknął jego piękne, w pół otwarte usta, przypominające usta matki.

Potém stanął i zamyślił się.

— Do chedery go nie poszlę—szepnął.— Jeśli mu tu źle będzie, jemu i mnie, to wezmę go i w świat pójde—szepnął znowu.

Była to jakby obietnica, dana niewidzialnej istocie jakiegś, czuwającej nad sierotą. Ileż bowiem był z chłopcem sam, zdawało mu się, że czuje jej obecność. Przejmowała go wtedy niewymowna słodycz tajemniczego porozumienia we troje. Twarz mu się ożywiała, oczy nabierały wyrazu łagodności niezmierniej, po ustach błdziły uśmiechy i urywane słowa.

Lecz gdy posłyszał głos Hany, gasnął niejako sam w sobie i powracał do powszedniości oblicza.

Gdy zamęt pierwszych dni po przybyciu Hany przeminął, na farbiarni rozpoczęło się życie pracowite, pełne zabiegów, w które żona Uriela całą swą wkładała duszę.

Od rana do nocy można ją było widzieć kręcącą się to po miasteczku, gdzie wełnę zamawiała, odnosiła, sprzedawała,—to po domu, gdzie zwijała pasma jaskrawe na wielkiem motowidle, lub warzyła posiłek. Do dziecka przywykła jakoś. Kilka jeszcze razy zapytywała

o nie męża, ale młody człowiek miał na ustach tę jedną tylko odpowiedź: sierota.

Zabiegi Hany nie były daremne, farbiarnia rozwijała się widocznie, a w wielkiej skrzyni, stojącej w głowach małżeńskiego łóża, nie jeden srebrny talar leżał, czekając dziedzica.

Dziedzie jednak nie przybywał.

Jedyném też zmartwieniem Hany było to, że dzieci nie miała.

Tak przeszło lat sześć.

W miasteczku, w miarę jak chłopiec rósł, zaczęło się przejawiać pewne zaciekawienie się nim.

To dziecko ochrzczone, które przebywało w żydowskiej rodzinie, nie dawało spać kumoszkom.

Widywano chłopca w kościele, to prawda, ale wiedziano także, iż razem z opiekunami swoimi obchodził szabas. To było dziwne, potworne, oburzające.

Szepty, ciche zrazu, zaczęły krążyć śmieliej, głośniej, zuchwałiej coraz... niejedno słówko dobiegło aż do uszu Hany, w której zaczęła się budzić jakaś skryta niechęć dla tego chrześcijańskiego sieroty, który miał przejryste, podługne oczy jej męża.

A kiedy chłopiec doszedł lat dziesięciu i gdy wczesnie ustalające się rysy jego żywo przypomnially piękną Kasję, szepty zmieniły się w urągania głośne, a chłopca zwać zaczęto: Michał Duniak.

Ile w tém wszystkiém było roboty tajemnej Franka, trudno było orzec. Parobek w dzień pracował, a wieczorem znikał z farbiarni i nieraz świtem dopiero powracał. Widywano go w miasteczku w brudnych szynkowniach, gdzie nierozłącznym towarzyszem jego był od jakiegoś czasu Mowsza.

Kto to był Mowsza? czém się trudnił? z czego żył? niełatwo byłoby nam odpowiedzieć na to.

Wiedzano powszechnie, że Mowsza ze szwarcownikami za rzeką się schodził, że po ustronnych karczmach z włóczęgami się zmałwał, że konszachty jakieś prowadził.

Uczciwi żydzi w miasteczku jawną mu okazywali wzgardę, zarzucano mu czyny haniebne, w synagodze pokazać się nie śmiał.

Sama już powierzchowność jego złą była dla niego rekomendacją.

Twarz jego, brudnej i niezdrowej cery, nadzwyczaj była ruchliwa. Raz zdawała się czaić, jak zwierzę, zwinięta w tysiąc zmarszczek, skrzyżowanych na niej burzliwie i maskujących jej rysy, to znów występowała wypukło, beczelnie, z świecącymi się policzkami, rozlana jakaś, pełna moralnego nieładu. Ręce jego długie, haczykowane, drżące, podrzucane gestykulacją ohydłą, zdawały się czyhać na coś, jak szpony drapieżnego ptaka. Człowiek ten wewnątrz swoje na wierzchu nosił i sprawiał wrażenie nad wyraz wstrętne.

Franek jednak, czy potrzebował go, czy też nie był zdolnym do subtelniejszych wrażeń, przyłgwał jakos do Mowszy, trawiąc z nim co dnia prawie długie godziny w brudnym jakim zaułku i szeptem a gestem porozumiewając się z nowym przyjacielem.

Tymczasem kahał miasteczka niemniej poruszony był sprawą Michałka. Domyślano się wiele, pewnego jednak nie było nic. Uriel, zaczepiany, podnosił ramiona i odpowiadał krótko: sierota.

Tu jednak ciekawość całkiem inny przybrała charakter.

Kumoszki szeptały, uśmiechały się złośliwie, gorczyły, ale niemniej za serce je chwytala ta ojcowska opieka, jaką farbiarz otaczał chłopca.

W kahale, przeciwnie, ciekawość ta przeradzała się, w miarę zyskiwania podstaw, w jakąś inkwizytorską zaciętość. W tém zagorzałem, fanatyczném groonie fakt istnienia Michałka uważany był za jakąś osobliwą zbrodnię, za jakąś anomalie potworną, którą należało, bądź-co-bądź, zgładzić, zniszczyć, zatrzeć bez śladu.

Zaczęły się tedy napastliwe wycieczki przeciw Urielowi. Farbiarz znosił je cierpliwie. Miłość jego dla chłopca tak wielką była, że rozkosz jej opłacała mu sownie doznawane przykrości i zniewagi.

Czuł jednak, że ta siła, która przeciw niemu i chłopcu powstaje, potężną jest — i drżał na myśl, że zgnieść może dziecko. Zaczęły się dla niego dnie niespokojne i noce bezsenne. Myślał, jakby tę burzę zażegnać, nie rozłączając się z chłopcem. W domu też, cichym dotąd, zaczęły się swary, wymówki, podejrzenia...

Hana, jakby ulegając jakimś podmuchom nienawiści, patrzeć nie mogła na sierotę. Mściła się na nim za smutną zadumę, z jaką Uriel poglądał w dal, jakby w przeszłość zamgloną, za milczenie, które go odosobniało od niej, za to może nawet, że dzieci dotąd nie miała. Chłopiec zdawał jej się być żywą zaporą pomiędzy nią a mężem. Zaczęła go też prześladować z całą zaciętością kobiety zazdrosnej, namiętniej.

Dziecko pomizerniało, pobladło, zrobiło się milczące, dzikie. Uriel ukradkiem chwytal je w ramiona i całował i pieścił, bolało go to jednak niezmiernie, że

taić się musiał. Oczy jego zapadły, postać pochyliła się, postarzał. Widoczném było, że całe to, tak naprężone położenie doprowadzić musi do rychłego wybuchu. Drżał i chwycił się za głowę, patrząc poważnym wzrokiem na zapadłą chatę Duniaka, z której w miesięczne noce zdawały się dolatywać skargi jakieś i płacze.

Tymczasem wytężona uwaga kahału zwróciła się od farbiarni w inną całkiem stronę.

Do miasteczka przybywał nowy rabin, który miał sławę cudotwórczej niemal świętości.

Żydzi od zmysłów prawie odchodzili z uwielbienia; mężczyźni gromadami chodzili po ulicach w odświętnych chałatach, jakby na uroczystość jaką; kobiety warzyły rybę i makaron, jak na szabas.

Chorzy, kalecy, nędzarze, procesyą obiegli drzwi uczonego rabina, szukając porady i pomocy.

Rabin mało kogo do siebie dopuszczał i całe dnie modlił się w milczeniu i w poście, a od drzwi jego chorzy i smutni odchodzili, błogosławiąc go, wskrzeszeni na duchu, ufni, pełni nadziei.

Wiara uzdrawiała tu jeszcze całą swą potęgą.

Wieści o uczonej rabinie wstrząsnęły duszą Hany, dawne nadzieje w niej ożyły—ona pójdzie i prosić go będzie o modlitwę za sobą, a Bóg da jej synów i córki, któreby chować i wyposażyć mogła.

Wierzyła, iż się tak stać musi, bo i dlaczegóż staćby się nie miało? Większe, dziwniejsze cuda opowiadano sobie z powodu nowego rabina.

Uriel, któremu Hana powierzyła te myśli swoje, nie zdawał się być uniesiony w tym samym stopniu, co żona jego; nie odradzał atoli i milczeniem przyzwalał.

Przybrawszy się tedy w jedwabną, szeleszczącą suknię i w czepiec z żółtymi wstęgami, ruszyła Hana do miasteczka, pełna najświetniejszych nadziei.

W miarę jednak, jak się zbliżała do celu swęj drogi, ogarniało ją zakłopotanie jakieś; przeczuwała zapytania drażliwe, na które wolałaby nie odpowiadać. Przede drzwiami już samemi zawahała się niemal, i kto wie, jaki wycieczka ta miałaby koniec, gdyby nie zjawienie się Mendla Szajnermana, starszego z kahału, który też do rabina szedł.

Mendel otworzył drzwi i Hanę przed sobą puścił.

— Do rabina?—zapytał zeicha.

Hana skinęła głową.

Mendel dyskretnym był; pierwszą stancję w milczeniu przeszedł i już miał Hanie drzwi drugie otworzyć, gdy nagle przypomniał coś sobie, za rękę chwycił ją, wstrzymując, i sam poszedł przodem.

Bawił długą dość chwilę. Gdy wyszedł wreszcie i Hanę wpuścił, rabin, nie czekając jej odezwy, rzekł:

— Sierotę macie u siebie?

— Nu, tak—odpowiedziała Hana.

— Chłopiec to chrześcijański jest—dodał rabin,—a ty nie będziesz mieć dzieci, póki on w domu.

Hana klasnęła w ręce. Przeczucia jej nie były więc daremne.

Zdawna nienawidziła chłopca tego, instynktem czując w nim przeskodę do szczęścia swego. I oto wszystko się sprawdziło.

Tyle lat, tyle lat straconych! Mogłaby już mieć z tuzin mniejszych lub większych bachorków. Och!

Myśli te błyskawicą przez mózg jej przemknęły,

stała zafrasowana przy progu, czekając jeszcze, spodziewając się rady.

Lecz siwy, zeschły starzec ten, który nad wielką rozłożoną księgą pochylił głowę na obu białych, delikatnych dłoniach, zapomniał już może nawet o obecności kobiety.

Postawszy więc chwilę jeszcze i widząc go tak zadumanym głęboko, na palcach wyszła i nieprędkiej, aż znalazłszy się w ulicy, frasunkowi swemu ulżyła ciężkiem westchnieniem. Usunąć chłopca z domu—wydało jej się rzeczą łatwą bardzo, i nie nad tém też myślała bynajmniej; lecz te stracone lata, te dzieci, które przedstawiała sobie tak żywo i uważała prawie za odebrane, za wydarte sobie,—to wszystko burzyło ją niezmiernie.

To też wróciwszy do farbiarni, rozplynęła się w wymówkach, we łzach, w narzekaniach.

Uriel słuchał zrazu, nie rozumiejąc, gdy wreszcie pojął, o co chodzi, porwał się i wybiegł z izby.

Stało się więc to, czego się tak bardzo obawiał.

Odbiorą mu dziecko jego! dziecko jego mu odbiorą!

Za głowę się chwytał i chodził jak obłąkany. Michałka nie było w domu.

Razem z innymi chłopcami z miasteczka pobiegł on przypatrywać się tratwom, które, zaskoczone nagłym mrozem, u brzegów stały, nie mogąc wyruszyć srebrną swoją drogą.

Widok rzeki był smutny, gnębiący jakiś.

Nie zdążyła ona uciszyć, wygładzić wód swoich jesiennych, do których długie deszcze niejedną mętną czarę dolały, gdy niespodzianie mróz silny ściał lodem

wszystkie bruzdy jej zachmurzonego oblicza i brudne piany, noszące się przy brzegach, jak zdarte łachmany.

Nie była to lustrzana szyba, któraby mogła odbić promienie zimowego słońca, ale nierówna, chropowata, wichrami zorana przestrzeń, której zmaczone wody, jak szły, tak porażone mrozem stanęły,—podobne do oblicza gwałtowną śmiercią zmarłego człowieka, które w osłupieniu śmiertelném zachowało ślady ostatniej walki bytu z nicością.

Wiatr ostry, północny, niósł się ponad rzeką, kłębiąc w powietrzu śnieżne chmury, któremi zawłókł się horyzont cały.

Tratwy tuliły się na prawym brzegu rzeki. Było ich kilka. Zdaleka wyglądały jak ptastwo w sidła schwytane. Nad rzeką gwarno było i ludno. Nawet policyant Nr 2 „z papierami” stanął, przyglądając się tratwom. Ludzie mają w sobie coś, co ich popycha do przypatrywania się szkodzie lub przykrości cudzej. Otóż i tutaj nie brak było publiki, która całemi godzinami przysłuchiwała się kłátwom i złorzeczeniom Niemca, posyłającego do wszystkich dyabłów tę przekłętą rzekę, która jego drzewo bez procentu trzymać zechce może całą, długą, polską zimę.

Rzeka jednak głuchą była na te kłatwy. Wody jej murem stanęły, jakby broniąc tych dębów i sosen, które kędyś na brzegach jej wzrosły.

Niemiec, pomimo mrozu, pocił się, drepcząc na krótkich swych nogach; była to pierwsza spekulacya jego w tym kraju i pierwsze niepowodzenie. Przypatrywał się chmurom, rzece téj, palił krótką fajeczkę i kłął w przestankach, spluwając.

Kilku flisaków krzątało się po tratwach, paląc

w budkach ogniska; inni pili po szynkowniach podmiejskich; byli i tacy, co w miasteczku rodzinę mieli.

Otóż do tratów tych właśnie pobiegł Michałek. Niezmiernie nęciły go flisacze pieśni i nawoływania się, którym odhukiwał ciemny las jodłowy, szumiąc nad Majdanami daleko, wysoko.

Chłopiec w naturze swój miał coś, co go ciągnęło do wrażeń żywych, niezwykłych. We dnie zamyslał się, patrząc w las ciemny albo w głębię rzeki; nocą zaśłuchiwał się w ciszy tak, jakby ona opowiadała mu cudowne jakieś powieści.

Późno już było, gdy wrócił do domu, zziębnięty, ze śladami rozmarzenia w wielkich czarnych oczach.

Uriel czekał na niego przed progiem. Milcząc, chłopca za rękę chwycił i pociągnął za sobą ku chacie Duniaka.

Przeraźliwą była ta pustka zmierzchem zimowym. Żaden kwiat dziki nie zakrywał śmiertelnego jej opuszczenia; żaden świegot ptaszy nie przerywał posępnej ciszy; żaden promyk słońca nie ożywiał tych ścian zapadłych, zczerniałych, gdzie nieszczęście i spustoszenie siedzi bę swą miakę.

Wiatr miotał zapartemi drzwiami, które na jednej tylko zgrzytającej trzymały się zawiasie; okienko drżało, szczękając jakby z zimna resztkami okucia; rozwalony komin przepuszczał mroźne, świszczące podmuchy, które jękiem i skargą napępniały izbę w czasie długich, burzliwych nocy.

Uriel siedł w milczeniu, konwulsyjnie ściskając za rękę dziecko, które dreptało obok niego, zatrwożone czegoś i smutne.

Gdy wreszcie u chaty stanęli, farbiarz pociągnął

chłopca ku sobie i rękę mu na głowie położył. Blady był bardzo, usta mu drżały, na słowo zebrać się nie mógł.

Po chwili jednak wzruszenie swoje przemógł i głosem dziwnie miękkim rzekł:

— Nie miałeś ty krzywdy u mnie? Nie był ja dla ciebie zły?

Michałek przytulił się do niego, w oczy mu patrząc.

Westchnął głęboko farbiarz i mówił dalej:

— Odejść ode mnie musisz... do ludzi obcych cię dam...

Chłopcu łzy błysnęły w oczach.

— Nie chcę do obcych... nie chcę!... — zawołał przerażony niemal.

Farbiarz pochylił się do niego.

— Trzeba — mówił głosem wzruszonym, głębokim; — ja nie rad dam cię... ale trzeba. Nu, a będziesz ty mnie pamiętał?

I nagle dziecko w ramiona chwyciwszy, uniósł je i o pierś swą oparł, a okrywając pobjadłą jego twarzyczkę pocałunkami, szeptał namiętnie:

— Ojcem ci chciałem być... nazwij mnie ty ojcem...

Była chwila milczenia, w której można było słyszeć głośnie, wyteżone bicie serca i przerywany oddech farbiarza.

Michałek rączyny koło szyi mu zarzucił, głowę mu na ramieniu sparł i, jakby ulegając potrzebie sierotego serca, przemówił zcichą:

— Ojczel

Zaniósł się łkaniem żyd, dziecko na ziemi posta-

wił, a podniósłszy twarz bladą ku zachmurzonym niebiosom, poruszał ustami, jakoby w modlitwie.

Po chwili opamiętał się, chłopca na rękę wziął i do farbiarni zwolna powracał.

Gdy ich tak razem idących obaczyła Hana, która, na progu stojąc, wyglądała męża, zatrzęsł nią gniew wielki, żrenice jój błysnęły żółtém, fosforyczném światłem, usta wąskie drgnęły, nozdrza poruszyły się gwałtownie. Narazie jednak opanowała się jakoś, w chwilę dopiero później, razem z wieczszą rzuciła chłopcu przez ostre, białe zęby swoje kolący wyraz: „znajdek.” Tęj zemsty nie mogła sobie odmówić. Dosłyszał go Uriel, płomienie przeleciały mu po twarzy, łyżkę, którą już do ust niósł, precz odrzucił, wstał, odsuwając gwałtownie stołek, i wyszedł z izby nieprzytomny prawie. Widoczném było, że chłopiec musi ustąpić z domu. Walka nie mogła przeciągać się dłużej.

Większą część nocy chodził nad rzeką Uriel zadumany, Hana zaś niespokojnie przewracała się na łóżku; dziecko tylko, zmęczone i splakane, usnęło snem cichym, głębokim.

Nazajutrz farbiarz rzekł pierwszy:

— Namysliłem się, chłopca do ślusarza oddam, uczciwy to człowiek, krzywdy mu nie zrobi.

Hana w milczeniu i obojętnie napozór wiadomość tę przyjęła. Z gorączkowym jednak pośpiechem zaczęła zbierać manatki chłopca, wiążąc je w węzelek, jakby jój pilno było wyprawić go choćby natychmiast.

— Niechno jój zejdzie z oczu ten goj przeklęty — myślała, — a wkrótce potem przyjdą jój dzieci, jój własne, małe i duże dzieci.

I rozplywała się w sobie słodyczą niezmierną tej nadziei życia swego.

Tymczasem, wolnym, poważnym krokiem szedł do farbiarni starszy kahału, Mendel Szajnerman.

Był to gość tak niezwykle, że na widok jego Hana krzyknęła głośno; Uriel skinął głową, dotknięty przykrém uczuciem zbliżającej się katastrofy.

— Przychodzę wedle waszego chłopca — rzekł Szajnerman po kilku wstępnych wyrazach, — sieroty — dodał z uśmiechem wzgardliwym.

Hana zamigotała oczami, ścierając fartuchem najbliższe krzesło dla gościa.

— Ja we Wrocławiu mam znajomego felczera — mówił dalej starszy kahału, siadając na podaném krzesle, — nu, tak on rychtyk potrzebuje takiego chłopca jak wasz.

— Na drogę pieniądze się znajdują, niech jedzie.

Uriel wargę przygryzł i milczał. W propozycyi tej poczuł chłodne ostrze niecofnionego wyroku, tak właśnie, jak nieszczęsny seraskier czuje śmiertelny węzeł na obnażonej szyi, gdy mu z uprzejmém pozdrowieniem i życzeniami szczęścia sułtan przysła sznurek jedwabny.

Zdobyl się jednak biedny człowiek na energię obrony i rzekł:

— Nie, nie chcę, żeby do Wrocławia jechał i u felczera był. Oddam go tu w mieście do ślusarza.

— Co? tu? — zdziwił się Szajnerman; — ja ze starszymi kahału gadał, i z rabinem gadał, i oni powiedzieli, co chłopiec daleko jechać ma.

— Trzymać go u siebie nie będę — odrzekł farbiarz, — ale gdzieś między obcych nie dam go też.

— Goebel — rzekł tonem napomnienia Szajnerman, — ty z kahałem wojny nie zaczynaj, ty Bogu dziękuj, że się to tak skończy, a chłopca oddaj.

Uriel poczerwieniał, ta groźba dotknęła go do żywego.

— Co mi tam kahał! — zawołał namiętnie. — Wycierpiałem tyle, wycierpię i więcej, a chłopca na stracenie nie dam.

— Jakie stracenie? co za stracenie? — począł szybko Szajnerman. — Co to gadać takie głupstwa?

A widząc, że farbiarz padł wyczerpany na stół i milczy, dyplomatycznie zwrócił się do Hany i rzekł:

— Nu, niech się mąż namysli, ja przyjdę jutro.

I skinąwszy głową, wyszedł, z powagą wielką przez podwórze krocząc.

Kiedy przechodził koło szopy, ujrzał Mowszę, rozmawiającego z parobkiem farbiarza. Nagła myśl jakaś zaświeciła mu w oczach. Skinął na wzgardzonego żyda i szedł z nim, już nie w stronę miasteczka, ale wzdłuż rzeki, po samotnej drożyni, żywymi gestami porozumiewając się w długiej i cichej rozmowie.

W izbie tymczasem wybuchnęła Hana potokiem wymówek, łez i narzekań. Uriel, wsparłszy głowę na rękę, jak ogłuszony za stołem siedział. Wszystko więc skończyło się dla niego. Jedyne promyk jego życia zagasa. Odtąd stanie się on własnością wyłączną tej kobiety niekochanej, która w tej chwili odrazę w nim prawie budziła; dusza jego nie będzie miała gdzie uciec, przytulić się, wypocząć. Wszystko się skończyło!

W goryczy cierpienia zdało mu się, jakoby słyszał głos jakiś stary, drżący, złamany, który go po przepaściach wieczności przeklina. I zdało mu się, ja-

koby słyszał głos drugi, słodki, niewieści, błagający o przebaczenie dla niego. I dusza mdlała mu w piersi, a z oczu przez palce trysnęły łzy — i tak w rozmyślnych boleści pełnych trwał aż do zmierzchu. Dopiero wieczorna cisza zbudziła go z zadumy.

Nazajutrz, wczesnym rankiem Szajnerman na farbiarnię powrócił. Twarz jego jednak nie miała w sobie tej powagi, spokoju, co wczoraj. Przelatywały po niej jakieś nagle cienie i błyski, oczy jego rzucały się szybko z przedmiotu na przedmiot, usta zmuszały się do uśmiechu. Wczoraj przyszedł z czołem wzniesionem wysoko, dziś skradał się niemal. Zdawało się, że długa rozmowa z Mowszą zostawiła jakiś ślad brudny na jego czole.

Zmieszany był, ale przyjacielski bardzo.

— Nu — zawołał od progu zaraz, — dzisiaj zgodzimy się pewno. Ja trochę ustąpię i wy też trochę ustąpicie. Byłem u rabina — tu zająknął się; — chłopiec w mieście może zostać, ale nie u ślusarza. Niech nie będzie ani mnie, ani tobie, jak ten powiada...

Odsapnął kilka razy głośno i przy stole usiadł.

— Ja wam co powiem — rzekł. — Stary Hersz na szlabanie potrzebuje chłopca takiego; głuchy jest, ludzie wołać muszą i stać, robota łatwa i we dnie tylko, bo nocą mało kto teraz jeździ. Jeśli chcecie teraz zgodę zrobić, tam go dajcie, choćby dziś.

Uriel po walce, jaką przeżył sam z sobą, czuł się zupełnie przybitym, złamanym, energia jego wyczerpaną była. Propozycji tej nowej słuchał w milczeniu.

Hersza starego znał, iż uczciwym człowiekiem był; warunek oddalenia, który mu najcięższym się zdawał, w tej kombinacji miejsca już nie miał. Zresztą,

jeśli tęsknota zbyt silną będzie, on może sam farbiarnię tę rzuci, chłopca swojego weźmie i w świat z nim pójdzie. Ze szlabanu łatwiej to jeszcze, niż z kądkolwiek.

Pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Niech będzie!

I zamilkł, wpadając znowu w ponurą zadumę.

Szajnerman, który z wytężeniem na odpowiedź czekał, odetchnął głęboko i za chłopcem się po izbie obejrzał.

Spostrzegła to Hana i zawołała Michalka, który w sieni motowidło strugał.

Chłopczyzna wszedł i piękne swoje oczy na gościa podniósł.

Uriel spojrzał na niego i z stłumionym jękiem ręce załamał.

Starszy kahału otworzył usta, zachłysnął się, słinę przelknął i oczami błysnął kilka razy, jakby tego ufne go dziecięcego wejrzenia znieść nie mógł. Przytąpił wreszcie do niego, a gładząc go po głowie swoją dużą, białą ręką, rzekł:

— Michalek, a chcesz ty do szlabanu iść?

Chłopiec na farbiarza spojrzał, a widząc go tak bladym i stroskanym, rzekł zeicha:

— Czy to ja już koniecznie mam ztąd iść?

Uriel głosem zagasłym powtórzył jak echo:

— Koniecznie!

Chłopczyzna zawahał się, a potem rzekł:

— Kiedy tak, to mi wszystko jedno gdzie, pójdę do szlabanu.

— A kluger Bube! — szepnął Szajnerman z przykrym uśmiechem.

Hana krzątała się po izbie, ukrywając swą radość

z tego pomyslnego obrotu sprawy; była tak uszczęśliwiona, że stojącemu przy drzwiach chłopcu dała kawalek piernika, przygotowanego dla gościa.

Szajnerman chwilę jeszcze bawił, przedstawiając szczegóły swego projektu.

Stało na tém, że farbiarz dziś jeszcze odprowadzi Herszowi chłopca i że nieczęściej jak raz w tydzień widywać go będzie.

Zaczęła się tedy dla biednego naszego chłopczyzny druga faza sieroctwa, cięższa stokroć i smutniejsza niż dotąd.

Wygnańcem się czuł i opuszczonym — i pierwszą gorycz lez tutaj poznał. Dzieckiem był jeszcze drobnym, potrzebował rozwijać się w cieple uczucia, jak pisklę w puchu.

A tu wyrzucono go zimą z gniazda jego i pozostawiono z tym już wpółzastygłym starcem, który dnie całe milczał, drzemiał, a wieczorem rozpoczynał swoje żałobne, rozdzierające duszę modlitwy, przy odgłosie których sierota zasypiał snem gorączkowym, niespokojnym, męczącym.

Przyroda nie dawała mu teraz pociechy żadnej. Jesienne wichry przestały huczeć nad Majdanami leśnymi. Czarny bór stał niemy i martwy, ostrą linią odcięty od śnieżnej płaszczyzny. Obumarła rzeka nie porywała już oczu ciemną głębią wód swoich, pusto na niej było i cicho, żadnego szumu, żadnego plusnięcia, ni wiosła, ni rybki, ni skrzydeł jaskółczych.

Chłopcu zdawało się, że mu dusza kona wraz z tém błędem, stygnącym słońcem, które, rozproszywszy chmury, zaczynało się ukazywać na kilka chwil znikomych.

Jedyną rozrywką jego oczu były konie i tratwy stojące u brzegu.

Konie lubił bardzo. W domu jeszcze stara szkap Uriela była przedmiotem jego tkliwych starań, chociaż boki jej zapadłe nigdy się jakoś wygładzić nie mogły, a dychawiczny kaszel nie opuszczał jej ni zimą, ni latem. Teraz widział piękniejsze, głośno parskające, rzeźkie koniki, a jednak tęsknił do biednego, zapracowanego zwierzęcia, któremu niejeden pokos trawy drobne jego ręce podał.

— Ona jest w domu! — myślał z zazdrością niemal.

Tratwy przestały już być przedmiotem ciekawości miasta. Niemiec, przekląwszy polską zimą, dawno odjechał, zostawiając pisarza, który wprawdzie za szkodę w drzewie odpowiedzialnym był, ale chętnie wyręczał się wartownikiem, sam w miasteczku bawiąc, gdzie organiście na harmonii rad wygrywał. Flisacy, rozproszeni, rzadko tu zaglądali; wrony gospodarzyły dzień cały, napelniając krzykiem powietrze; nocą ciemność padła głęboka, odbita od ogniska, które wartownik rozpałał z wieczora.

Chłopiec patrzył na tratwy—i dziwny smutek przejmował mu duszę. Czuł się tu przykutym jakby urokiem jakimś tajemnym.

Uriel przybiegał wprawdzie wieczorami, wbrew umowie swojej ze starszym kahału, ale cóż to znaczy wobec całych dni tęsknoty! Kilka zmieszanych pytań i odpowiedzi, kilka pocałunków, kilka łez—i to już wszystko!

Zresztą, dwa czy cztery razy napotkał na drodze swojej Mowszę, który po tratwach się snuł, flisów wód-

ką częstując,—mógł go widzieć z chłopcem... trzeba się było strzedz i uściśnieniom dziecka wyrwać niemal.

Tak przeszły dwa długie tygodnie.

W farbiarni tymczasem, wbrew nadziejom Hany, nie prawie nie zmieniło się na lepsze.

Uriel zdawał się nie widzieć zabiegów i przysilań, któremi go otaczała żona. Milczący był i zamknięty w sobie, robotę zdał prawie zupełnie na parobka, a wieczorami włóczył się koło domu jak struty, miejsc sobie znaleźć nie mogąc.

Próżno Hana kupowała najpiękniejsze ryby, próżno zagniała z najbielszej maki makaron,—Uriel do stołu niechętnie siadał, a popatrzwszy na miejsce, zajmowane dawniej przez chłopca, talerz i łyżkę odsuwał, podpierał głowę na rękę i zapadał w głęboką zadumę.

W początku trzeciego tygodnia, we wtorek wieczorem, zjawił się w farbiarni Szajnerman, który od czasu wydalenia chłopca wielką jakoby przyjaźń dla farbiarza powziął, a widząc go tak smutnym i posępny, proponował grę w karty.

Hana swiegotliwie poczęła namawiać męża do téj zabawy, stawiając na stole butelkę miodu i pierniki swego pieczywa.

Dał się pociągnąć Uriel naleganiom, machinalnie karty wziął i gra się zaczęła.

Szajnerman okazał się bardziej jeszcze roztargnionym niżeli farbiarz, przegrywał ciągle, karty wyrzucał nie w porę, pozwalał bić się, zapominał, ręce mu drżały, odkrywał grę, pogwizdywał i raz po raz patrzył niespokojnym wzrokiem w okno, przez które zaglądała noc gwiaździsta, pierwsza noc pogodna téj zimy.

Do szopy tymczasem, gdzie leżał rudy Franek, kopiąc krótką fajeczkę, podszedł skradającym się krokiem Mowsza.

— No i cóż? — rzucił się parobek zapalczywie i zerwał się ze słomy.

— Wird fertig! — odpowiedział krótko Mowsza, dodając do słów tych gest ohydny.

— Dzis? — zapytał Franek, a ręce trząść mu się poczęły.

— Nu, nu! — odrzekł, zachłystując się, Mowsza, jakby mu w gardle zaschło, — śpieszta się ino.

Franek schylił się, wygrzebał ze słomy worek, przerzucił go przez plecy i wyszedł w milczeniu z przybyłym.

Gdy minęli podwórze, Franek rzekł:

— Chłopca sprowadzę, ale ręki w tém maczać nie chcę. Pomsty mojej i tak dosyć. Cóż dają?

— Nu, co oni mają dawać, kiedy jeszcze nie niema?

— Pamiętaj, żydzie, jeśli mnie oszukasz, w kajdanach zginiiesz.

— Owa! z wami, czy bez was?

— Czy ze mną, czy nie ze mną, to ci już zarówno! Ty patrz, żebyś dzielił uczciwie.

— Nu, nu! — szepnął, oblizując się, Mowsza, i zamilkł nagle, gdyż właśnie doszli do mostu.

Tutaj dwaj towarzysze rozłączyli się. Franek przez most do szlabanu szedł, Mowsza zaś po lodzie ku tratwom, wprost tam, gdzie wartownik rozniecił ognisko.

Wartownikiem w dniu tym był Szymon Dopa-

dnik, chłop młody, przystojny, zwiezły, niewielkiego wzrostu, lecz dziwnie kształtnej budowy.

Miedzy wszystkimi flisakami odznaczał się on serdeczną nienawiścią do Niemców i nieugaszoném pragnieniem, które go razwraz do karczmy ciągnęło.

I teraz właśnie, tylko co wróciwszy z „Maika,” gdzie w tańcu od południa rej wodził, napół pijany, ognisko rozpalil, na drzewie przy niém się układał i śpiewał piosenki, które mu wraz z piszczącą nutą katorynki po głowie się snuły.

Mowsza do leżącego podszedł; pies warknął i, stuliwszy ogon pod siebie, w drugi koniec tratwy się powlókł.

— Dobry wieczór, Szymonie — rzekł żyd.

— A co ty, żydzie, psiawiaro, przyszedłeś mnie okraść, czy zabić? — odrzekł Szymek żartobliwym tonem.

— Nu — odpowiedział z uśmiechem Mowsza, — ja z wami, Szymonie, przyszedłem wódki się napić.

— Toś trafił! — zawołał Szymek, — a co to ja szynkarz z Maika, żebym wódkę z wody robił?

— Nu, ja przyniosł swoje pejsówkę.

— Toś mi zuch! — okrzyknął się Szymek; — a mocna?

— Spróbujta — rzekł żyd, nalewając z faszki, którą pod pachą miał, sporą pękata lampkę, a maczając w nię usta, dodał — w ręce wasze.

Szymek haustem jednym wychylił, przełknąwszy jednak, słowa przemówić nie mógł, otwarł usta, oczy zbiełały mu jak u ryby.

Po chwili dopiero rzekł:

— Czort nie wódka! ty zkąd taką wziął?

— Co to wziął? z kąd ja miał ją wziąć? od szabasu u mnie została.

— Oj! oj! żeby ja taką wódkę na szabas pijał, dopieroby to ja majufes śpiewał! to mi wódka! choroba z tym szynkarzem z Maika! szczerą wodę daje.

— Nu, na rozgrzewkę! — rzekł Mowsza, nalewając drugą lampkę.

Szymek rękę po nią wyciągnął.

— Albo nie? — rzekł. — Bodaj z piekła nie wyrzwał ten po psie miemiec, co nas tu na rzece jak raki zimuje. Pan pisarz, wielka figura! inoby sobie na organkach grał, a fartuchy babom przysiadł, a ty, chłopie chamie, waruj, jak pies na łańcuchu! ani zjedzenia, ani wyspania, ani nijakiej wygody. Dawaj jeszcze, żydzie, téj pejsówkil!

— Pijta na zdrowie! — rzekł Mowsza.

— Oj! oj! na zdrowie!... a tu człowiek nie wie, co go za bieda czeka. Miałem ci ja chałupę; ino że to nie była chałupa sama po sobie, ale była izba; miałem i roli trzy pręty, ano byłem gospodarzem i juści; komornego nie odrabiałem, na zarobek nie chodziłem. Co miałem chodzić, kiej był grunt... aż tu dyabli perki wzięli, rób co chcesz! Ni ja chleba, ni ja soli, ni ja okrasy. Wziąłem krowę za rogi, taj sprzedałem... Dopóki było, to się jadło. Aż tu się miemiec do wsi przypłatak, i na flisa ludzi zmawiał, i zadatek na rękę dawał. Hej! hej! myślę ja sobie, wziąć nie wziąć? Gruntu nie było czém obsiać, ni czém zaorać; w karczmie téż tam człek trochę krzyw był, tak i wziąłem! Wciorności nadali!

— Pijta, pijta — mówił, nalewając wódkę, Mowsza, — w gardle wam już zaschło... na frasunek.

— To się wiel! A bodajże go tu zaraz grób ogarnął tego miemca! wymanił mnie ze wsi i tyle!

— Nu! jego i tak dyabli wezmą — rzekł Mowsza.

Szymek nagle rozweselił się.

— Hu, ha! — huknął i zaczął śpiewać:

A wiem ci ja ptaszka w lesie,
Malowane jajka niesie,
Jedno bure, drugie siare,
A w Zalesiu dziewczki stare.

— A pójdziesz! — krzyknął raptem na psa, który, zwróciwszy oczy na księżyc, nagle przeraźliwie wyć zaczął.

Ale pies był ciągle, coraz to żałośniej.

Zerwał się Szymek, chcąc mu dać dosadniejsze jakieś napomnienie, ale w impecie tym równowagę stracił i potoczył się na żyda.

Potoczył się, na ramionach mu ręce wsparł, przyniatając go prawie do ziemi ciężarem swym, i stał tak chwilę, schyliwszy głowę z opadniętymi na czoło włosami, kiwając się w tył i na przód, jakby paść miał.

Naraz wyprostował się, stanął pewniej jakoś na nogach, ręce z ramion Mowszy zdjął i w biodra sobie wparł, a krzyknawszy głośno: słuchaj, żydzie! śpiewał dalej:

A we Wólce młodzusiенkie,
Mają gęby słodziуsiенkie...
Jeden ci ją pocałował,
Trzy lata się oblizował...

— Hui ha!—huknął, zarzucając jak do tańca połą na prawą rękę. Byłby niechybnie żyda porwał w płasy, ale mu się nogi splątały, zaklął siarczyście i runął na ziemię, bełkocząc już niewyraźnie.

Mowsza popatrzył na leżącego z uragliwym uśmiechem, a gdy Szymek głośno chrapać zaczął, popehnał go nogą i odwrócił się.

Od szlabanu tymczasem szedł Franek, a przy nim biegł prawie, nadążając mu kroku, Michałek.

W ciszy nocnej słychać było rozmowę idących.

— Jak zaświecić łuczywem, to się i złapie...

— I duża?

— Ha, jak przyjdzie duża, to się i duża złapie, do światła każda pójdzie.

— A przerembel?

— To się zrobi z tratwy już; nad brzegiem woda miałka, ryb niema... Cóż tam Hersz stary?

— Hersz się modli... tak śpiewa, tak śpiewa, że to jakby płakał!

— Głupie żydzisko...

Zbliżyli się do tratwy.

— Czekaj tu—rzekł parobek,—pójdę ja zobaczyć, czy wartownik siekierę ma.

Chłopczyna został sam. Na brzegu stanął i rozglądał się niespokojnie.

Pierwsza to była jego tajemna ze szlabanu wyścieczka. Drżał czegoś... strach jakiś mrozem po kościach mu chodził, rad byłby uciec ztąd, ale się wstydział trochę... przytém zaciekawiało go to łowienie ryb przy łuczywie, które obiecał mu Franek.

Po kilku chwilach tego trwożnego oczekiwania parobek powrócił i rzekł:

— Wartownik śpi, ale siekiera jest.

Wziął dziecko za rękę, chłopczyna uczuł zimny i sztywny uścisk jakby żelaznych kleszczy.

— Pójdź!—rzekł parobek krótko.

Zeszli ostrożnie po wiazaniach tratew, aż do miejsc, gdzie ognisko wartownika czerwonymi językami pełzało po smolnych polanach. Mowsza stał przy ognisku z miną obojętną, znudzoną; gdy Franek z chłopcem nadszedł, zwrócił się do nich i rzekł:

— Kanalia ten Szymek! spił się, zamiast ognia pilnować. Winien mi rubla, umyślnie przyszedłem...

Mówiąc to, butem kopnął źle ułożone ognisko, które w trzeszczących rozsypawszy się główniach, przygasać zaczęło.

— Czego ten pies tak wyje? — zapytał chłopiec zcicha. — Franek! wróćmy lepiej na szlaban... Mnie strach czegoś.

— A coś ty, baba?—zawołał grubym, zmienionym głosem parobek. — A bodajżeś zdechł!—dodał, rzucając zapaleczywie kawałkiem drewna na psa, który zaskomlał załóżnie i do nóg leżącego Szymka przypadł.

Mowsza miał minę zafrasowaną i w głowę się drapał.

— Sam nie wiem, iść, czy czekać—bąknął.

— Czekajcie za mną—rzekł Franek, z gorączkowym pośpiechem siekierę chwycił i odszedł na brzeg najdalej ku środkowi rzeki posuniętej tratwy. W chwilę potem rozległ się głuchy trzask pękającego lodu.

Chłopiec, który do żyda zdawna instynktowny wstręt uczuwał, nie chciał pozostać przy ognisku, ale z parobkiem poszedł przypatrywać się robocie. Myśl, że półów zaraz się zacznie, uspokoiła go nieco; nie

drżał już, tylko mu smutno czegoś było bardzo. Spojrzał ku farbiarni, z kąda widać było żywo bijące światło, i westchnął. Potem zwrócił oczy ku niebu.

Parobek, nie podnosząc głowy, wyrębywał dalej przerembel.

— Gwiazda spadła — przemówił chłopczyna cichym, słodkim głosem, jakim dzieci mówią o rzeczach, które je tajemnie wzruszają.

Parobek spojrzał na niego i rzekł.

— Mówiłeś ty pacierz?

— Nie jeszcze!... zmówię później, jak wrócę.

— Zmów teraz — rzekł Franek posepnie.

Chłopcu rozporządzenie to nie wydało się dziwnym, — w istocie, była to pora, w której zwykle się modlił.

Z prostotą ukłęknał, złożył drobne ręce i zaczął głośno mówić swój pacierz wieczorny.

Franek na toporzysku się wsparł i w milczeniu słuchał.

Dopiero gdy chłopczyna, uderzając się w piersi zaciśniętą ręką, powtórzył po trzykroć: „Boże, bądź miłościw duszy mojej!” parobek wstrząsł się, w garść splunął i, chwyciwszy siekiere, dalej rąbać zaczął.

Krótką ta chwila nie uszła baczości Mowszy. Zbliżył się na brzeg tratwy niespokojny i z zaiskrzonym wzrokiem szepnął coś parobkowi do ucha.

Franek, siekiere rzuciwszy, rzekł: dosyć będzie! — i po łuczywo do ogniska poszedł. Gdy wrócił, siny był i blade, oczy miał nieruchome, rozszerzone, usta zacięte.

Chłopiec, patrząc na niego, znów czegoś lękać się zaczął.

— Weź to — przemówił parobek zmienionym głosem — i świeć mi tu nad przerembel samym.

Michalek smolną drzazgę wziął i pochylił się z tratwy.

— Niżej! — krzyknął chrapliwie parobek.

Chłopczyna schylił się jeszcze.

Nagle, popehnięty z tyłu, na łód twarzą padł, puszczając z ręki łuczywo, którego płomień zatoczył wielkie, czerwone koła, smolnych iskier pełne.

Mowsza skokiem dzikiego zwierza na dziecko się rzucił i dusić je począł.

Biedactwo wołało na pomoc Franka, potem ojca. Ojciec daleko był, a Franek, na łód z tratwy skoczywszy, stał cały na przód podany, z sinemi pręgami na czole, ze świszczącym oddechem w piersiach, chłonąc w siebie wszystkimi zmysłami ohydłą scenę mordu.

Chłopiec gasnącym głosem jęczał ciszej coraz; przytomność już tracił, chciał przymknąć oczy, żeby nie widzieć téj okropnej, rozcierwienionej twarzy żyda nad sobą, ale nie mógł; przez chwilę zdawało mu się, że wszystkie gwiazdy spadają na ziemię, tyle iskier obaczył i tyle szumu posłyszał... i zdawało mu się, że wszystkie dzwony w miasteczku na gwałt biją. Gorącość jakąś poczuł w piersiach i w gardle, wyprężył się... różowa piana pokazała się na ustach... konał.

Parobek rzucił żydowi worek, którym ten chłopca głowinę okręcił, niewpierw jednak puszczejąc rękę, jak szpony wszechpioną w delikatną szyję dziecka, aż konwulsyjne drgania drobnego ciała, słabnąc coraz, zupełnie ustały.

Podniósł się wtedy, w łunach krwawych cały, i rękawem otarł z czoła pot, który też krwawym mógł być.

Potém schylił się, oderwał od brzegu tratwy rączyny chłopca, który, padając, chwycił się go nieprzytomnie; trupa w przerembel stoczył, a podniósłszy z tratwy żerdź długą, daleko go pod lodem na środek rzeki odepchnął.

Noc była cicha i piękna. Srebrne mgły niosły się w blaskach księżyca nad ziemią. Pies tylko wartownika, jakby przerażony, skowycząc ze cicha, rzucił się na pierś śpiącego. Szymek miał sny jakieś różowe... nawznak rozwalony, z przechyloną w tył głową, w pijanej drzemce bełkotał:

— Ej, Maryś!... a nie mówiłem?

Pocém na drugi bok się przewróciwszy, głośno chrapać począł.

W farbiarni tymczasem, bębniąc z uśmiechem po stole białymi palcami dużej swojej ręki, Szajnerman obliczał przegraną, Uriel siedział jak na szpilkach.

Miał on zamiar dziś właśnie chłopca swojego odwiedzić, gość ten popsuł mu wszystkie szyki. Od soboty nie widział już dziecka, tęsknota wzbierała mu w piersiach jakąś gorącą falą, niespokojny był i zdawało mu się, że duszę jego niezmierny ciężar przygniata.

Wreszcie, nie mogąc dotrwać, wyszedł z izby zobaczyć, jak mówił, czy parobek latarnię zagasił.

W szopie było już ciemno. Franek leżał na słomie, z szeroko otwartymi oczami, oddychając ciężko, jak w gorączce.

Farbiarzowi, pytającemu, co by mu było, odpowiedział, że febrę ma—i otulił się kożuchem, odwracając głowę od smugi księżycowego światła, które przez drzwi uchylone do szopy wpadało.

Gdy starszy kahału głosy rozmawiających posłyszał, zbladł i za poręcz krzesła się chwycił, pocém, tłumacząc się przed Haną chwilowym zawrotem głowy, gospodarzy pożegnał i do miasteczka śpiesznie powracał.

Kiedy nazajutrz zrana Hersz stary po chłopca ze szlabanu do farbiarni przysłał, chwycił się Uriel za głowę i jak szalony do mostu pobiegl.

Koło północy dopiero powrócił mileczący, śmiertelnie blady, pochylony, lecz spokojny.

Był to spokój rozpacz, która już niczego nie spodziewa się w życiu. O chłopcu ani jednym słowem nie wspomniał. Zdawało mu się, że sercu własnemu głęboką mogiłę wykopał i ciężkim przywalił je kamieniem.

Mieszkańcy miasteczka wzruszyli się niezmiernie wieścią o zaginieniu Michałka.

Była nawet taka chwila naprężenia ciekawości publicznej, że policyant Nr 1, Józef Kos, cały tydzień kartofli nie skrobał w municypalnej kuchni, tylko wałęsał się po mieście, zbierając coraz to osobliwsze wieści, które za pośrednictwem panny Maryanny, kucharki, dochodziły do uszu pani burmistrzowej, wielce lubiącej wszelkie niezwykle, romantyczne przygody.

Pan burmistrz nawet, wyrwany z swojej wygodnej administracyjnej drzemki, przetarł małe oczki, którym zwycięzki rozrost policzków zupełną groził zagładą, a wysłuchawszy opowiadania—w którym jednocześnie brały udział: pani burmistrzowa, dwie panny burmistrzówny, pani aptekarzowa, dama mocna w słowie, oraz Maryanna, wnosząca tacę z przy-

borami do kawy,—jako głęboki psycholog, oświadczył, że farbiarz chłopca „zagaluszył.”

Począł, przybrawszy się w mundur, w nieposzlakowanie urzędowym stylu raport napisał, starannie go złożył i do sądu odesłał.

Skutkiem tej to właśnie gorliwości, godnej nie tylko pochwały, ale nawet małego jakiegoś awansu lub chociażby gratyfikacji, Uriel, wezwany przez prokuratora, przez dwa czy trzy miesiące w domu badań siedział i tylko „dla braku dowodów” wypuszczonym został. Na pochwałę kahału powiedzieć nam trzeba, że jakieś starania robił podobno za uwiecznionym.

Było to wiele z jego strony; témbardziej, że w czasach tych mocno był zajęty obradami nad przybudowaniem nowej galeryi w bożnicy. Entrepreneurem był Mowsza.

Tak nadeszła wiosna.

Sprawa Michalka, wstrząsająca niedawno jeszcze miasteczkiem, ucichła. Ludzie gadali o niej zrazu dużo bardzo, później mniej coraz, wreszcie na przedmieściu zapaliła się stara stodoła, a wypadek ten odwrócił ostatecznie uwagę mieszkańców miasteczka w całkiem inną stronę.

.

Marzec był cudownie ciepły w tym roku. Słońce, po długich, ostrych mrozach, uderzyło w ziemię całą siłą swych ożywczych promieni. Lody pękły, kry nawalały się poczęły.

Nad rzeką przeciągało ptactwo dzikie, razem z ciepłymi powiewami wiatru.

Uszczęśliwiony Niemiec przyleciał po swoje tratwy.

— Zum Teuffel niezawsze jednak zima jest w tej Polsce.

W dniu, w którym retmanka, jak drobna jaskółka, puściła się z biegiem wody na zwiady, na moście pełno było publiki, złożonej po największej części z wyrostków, która głośnemi okrzykami zęgnęła ruszające się tratwy.

Na pierwszej z nich wioskował Szymon Dopadnik, który wyjątkowo w dniu tym prawie zupełnie był trzeźwym.

Podpływając pod most, czapkę w górę wyrzucił i w powietrzu ją chwycił. Widzowie odpowiedzieli wybuchem śmiechu i okrzyków.

Kiedy jednakże wody odsłoniły się zupełnie, spostrzeżono biały jakiś przedmiot, unoszony z biegiem rzeki, nieopodal od lewego brzegu.

Rzucono się do łodzi i w godzinę potem wyciągnięto na ląd trupa młodego chłopca. Zbiegli się ludzie, nikt jednak poznać go nie mógł. Twarz była zmieniona, straszna prawie... woda wyżłobiła na niej mętne swoje drogi; źrenice głęboko zapadłe nie przypominały żadnego znanego spojrzenia, usta otwarte żwiru były pełne. Tłum obojętny stał i patrzył u brzegu, gdy nagle rozległ się krzyk przenikliwy, ostry, raziący...

Uriel Goebel, blady, bez pamięci, roztrącając wszystkich, do topielca się rzucił, a rozerwawszy na nim koszulę, odkrył zczerniałe i zgniecione piersi dziecka, na których był zawieszony mosiężny, zaśniedziały krzyżyk.

Dotknawszy go ręką, żyd zatoczył się i padł bez zmysłów.

Topielcem był Michał Duniak.

Przy bliższém zbadaniu trupa dostrzeżono ślady ciężkich obrażeń na ciele, powstały różne domysły, ciało chłopca zabezpieczono na brzegu aż do zejścia sądu.

Tymczasem w przypatrującym się tłumie powstał spór, gdzie należy pochować chłopca.

Wiedzano, że Michałek żyda wychowancem był, że szabas obchodził; może być, że wiedzano coś więcej jeszcze, krzyżyk ten jednakże wskazywał, że dziecko ochrzczone było. Zdania się dzieliły, większość akceptowała mogiłę na rozstajnych drogach, do której śmierć ta niezwyczajna, tragiczna, dawała też kwalifikacye pewne.

W tłumie tym, spierającym się o grób nieszczęśliwego chłopca, stał jakiś dziad siwy, z sakwami na plecach, i bacznie rozmów tych słuchał.

A gdy ludzie rozchodzić się poczęli, i on téż, na kiju swoim wsparty, ku Majdanom leśnym się powlókł.

Nadeszła noc. Dwóch wartowników pilnowało topielca nad rzeką. Jednym z nich był Franek, który od godów farbiarnię rzucił, a kupiwszy sobie brykę i parę koni, na furmanki się żydom z miasteczka najmował.

Rzeźwiąc się ze snu jedną i drugą miarką wódki, wartownicy spostrzegli rzecz dziwną.

Oto w opuszczonej od lat tyłu Duniance błysnęło światło... zagasło... i znów błysnęło...

Drzwi zaparte poruszyły się i zwolna otwarły, a w nich ukazał się wyniosły starzec, w nędzném, prawie żebraczym odzieniu.

Frankowi zdawało się, że go ktoś za gardło ściska.

Starzec próg przestąpił i szedł zwolna ku nim, z czołem odkrytém i tonącym w blaskach miesięcznych. Jego siwa, rozwiana broda zlewała się ze srebrnymi tonami księżycowej nocy; twarz blada i ku niebu zwrócona czyniła go podobnym jakiemuś sennemu zjawisku.

Gdy niedaleko już był, tak, że rysy jego rozpoznać można było, Franek zerwał się i z krzykiem do miasteczka uciekać począł.

Starzec ani przyspieszył, ani zwolnił kroku.

Szedł, jak idzie konieczność: cichy, poważny, surowy, a idąc, mówił głośno: „Ojcie nasz...”

Przystąpiwszy, schylił się, podjął krzepko z ziemi topielca i zawrócił ku lasowi, kończąc modlitwę cichszym i jakby konającym głosem...

A za nim leciały szумы rzeki, rozdźwięków pełne, i starć niepokodzonych, i wieczystego zatargu.

WOJCIECH ZAPŁA.



Kiedyś poznał Wojciecha Zapalę, był on już dobrze posunięty w lata, wyschły jak trzaska, pożółkły jako liść jesienny, a taką przez łeb miał szramę, że choć czwórką po niej zawracaj.

Prosto się jednak trzymał jeszcze stary, a jego szczotkowate, w górę sterczące wąsy dodawały mu marsowej miny.

Równego z nim wieku zdawała się być i kurta jego zielona, zarywająca na mundur strzelecki, mocno już spłowiała, ale twarda widać do zgryzienia, jako i jej pan.

Mieszkał Zapala pod lasem, w chatynce nędznej, na piaski rzuconej, z dachem roztrzesionym, zczerniałym, czesanym przez wszystkie cztery wiatry, hulające po nim zawieruchą jesienną albo zimową zamiecią; — z kalenicą zakłęsłą, z bokiem jednym z węgla ruszonym, drugim w ziemię idącym; z drzwiami lichy wie jak trzymającami się jeszcze odźwierka—ot, w pustce ciężkiej, i tyle.

Prócz wróbli pod strzechą, tulił przy sobie Zapala w chacie owęj drobnego chłopczykę, sierotę, co go niegdyś wiosną zgubiły bociany we wsi, lecące na łąki, na zielone. Poterało się mizernactwo to tu, to tam, po-

pychane, szturchane, niewiedzące kędy się dziać, a prócz sińców na grzbiecie mające tylko jedną koszulinę, czarną jako święta ziemia.

Placzącego z głodu i chłodu przydybał kiedyś chłopca stary pod lasem, popatrzał, splunął, wasy najęzył, potem go na ręce wziął, kożuchem okrył, do chaty zaniósł, okrajcem chleba utulił — i na ławie, kędy sam legiwał — uspił. Odtąd się już nie rozłączali.

Jako przy pniu dębowym odrostek wiosenny, tak Antek tkwił przy Wojciechu.

I dobrze im było razem; tylko w miarę, jak chłopak podrastał i łyżką kartofli najeść się już nie mógł — stary pasa przyciągał, aby im obu starczyło.

Wiosennym wczesnym porankiem już słychać było głos starego Zapala:

— Dalej, chłopcze, marsz! A coś ty, baba, żebyś nie wiedział, jak żołnierz chodzić powinien? Prawa noga naprzód!... Nie ta... a czy skaranie boskie... toż że ta, druga! Uszy do góry! brzuch w siebie! a! że też ty, chłopak, nijakiego rychtunku nie masz!...

A „żołnierz” w koszulinie tymczasem, drepcząc obok starego, wystawiał nogi bose, brudne, cienkie jak badyle — i podnosił konopiastą głowinę wysoko, sądząc słusznie, że i uszy z nią pójda do góry; z brzuchem tylko jakoś nigdy do ładu dojść nie mógł. Odęty, wielki, sterczał on uparcie z pod chudych żeber i tuż pod piersiami z za koszuliny wyglądał.

Czas jakiś maszerowali w milczeniu. Strwożone zaby w desperackich skokach pierzchały z pod nóg Wojciecha, chroniąc się w bruzdy i w kępy wilgotne, a w ciszy porannej, dzwoniącej pieśnią skowronka,

słychać było daleko, szeroko, ciężkie stąpanie starego wiarusa.

Aż naraz, precz dalej maszerując, odzywał się Wojciech:

— Uważasz, chłopcze, przed nami idzie dobosz i bębni, aż w niebie słychać! A dalej trębacze złociste na trąbach grają, a tu z boku nasz kapitan, ej, dziarska u niego mina! a za nami wali piechota, jak morze. A tu adjutanty polatują, jak ptaki, ino wiatr fureczy, a jenerały aż kapią od złota; a tam, dalej, na białym koniu, sam cesarz... Wiw limperer! hurra!

I wyrzucił w górę czapkę swoją stary Zapala, i salutował kijem sękatym, i promieniał cały; a zasłuchany chłopczyzna, chcąc dojrzyć owego dobosza, owych trębaczy złocistych, adjutantów, jenerałów, a najbardziej onego cesarza — wytrzeszczał oczy, otwierał usta — i naturalnie takt gubił.

Stary maszerował jeszcze kilkanaście kroków, jaśniejący w sobie, odmieniony, piękny niemal, jak był przed trzydziestu laty; z oczami utkwionymi w przejrzystą różaność poranku, z rozwianym włosiem, naprzód podaną piersią, na której spłowiła jego kurta, nabierała też życia i barwy. Usta jego szeptały coś pociechu — zdawał się jakby natchniony. Po chwili opamiętywał się, gasł w sobie, kulakiem przecierał oczy, a spostrzegłszy, że Antek przyzostał, poczynął burzyć na niego.

— A czegożes ty gębę rozdziawił, nie mający na co? Widzicie go, piecucha; a ruszajże się prędzéj! Oj, żeby ty służył pod naszym wachmistrzem, dopieroby on ci pieprzu w uszy natarł! Dalej! prawa noga na-

przód! Raz, dwa... a cóż ty, na kółkach idziesz? A czy cię też...

Ale chłopak, raz takt zmyliwszy, szedł jak odurzony, przebierając nogami bez składu. To zdawało mu się, że niema ani lewój, ani prawej nogi, to znowu, że ma ich zawiele jakoś — i ani rusz do ładu z nimi trafić nie umiał. Szerzój więc jeszcze otworzywszy usta, stawał zapatrzony w Zapalę, a wydęta jego brzuszyna wyglądała z otworu koszuli, zapomniawszy całkiem o wojennej karności.

Stary dąsał się, gderał przez chwilę — aż ustawiwszy dzieciaka „do frontu,” zaczynał sam maszerować przed nim na pokaz. Nie był to już jednak ów bohaterski Zapalę z przed chwili. Wielkie jego stopy podnosiły się teraz nad ziemią sztywno i martwo opadały, jakoby na drewnach sękatych wprawione; nadęta wierzchnia wargą komicznie jeżyła się przyszytychmi wysoko wąsami, a spencer jego spłowiwały zwiślał na zakłęsłej piersi, którą chwytął kaszel suchy, głęboki. Wówczas zatrzymywał się stary, głowę opuszczał, dyshał chwilę, a wzięwszy chłopca za rękę, szedł z nim w milczeniu, powłócząc zmęczonemi nogami.

Dzieciak generałów owych złocistych, dobosza i trębaczy zapomnieć nie mógł.

Drepcząc obok Zapalę, myślał, przemyślał, gdzieby ich dziadus mógł widzieć? A przed nimi, jak okiem zajrzeć, rozciągały się pola ozime, mazowieckie pola, zachodzące runią zieloną, po której poranny тумan bił w słońcu pyłem złotym, jakoby się mietlice kurzyły. Od lasu tylko błękitność jakaś przejrzysta siała się po ziemi, jakoby kto strugę modrą w powietrzu rozdmuchał przez przetaki srebrne.

Chłopak wytrzeszczał oczy coraz szerzej, nadając krokom starego. Juści nie gdzie, jeno w tym złocistym tumanie muszą być generały owe i cesarz. Patrzył, patrzył, otworzywszy gębę szeroko; gdy jednak nie dojrzeć nie mógł, pociągnął za rękaw starego i odezwał się głosem cichym: — Dziadusi!

Ale pogrążony w sobie Wojciech nie słyszał chłopięcia.

— Dziadusi! — przemówił wtedy malec głośniej, — ja tam tego cesarza nie widział, ani trąbów nijakich...

Uśmiechnął się stary.

— A co ty myślisz, pędraku, że lada komu będą trąby grały? Oj, nasłuchał ich ja się, nasłuchał! To mi potem przez dziesięć lat z okładem w uszach dzwoniło, że anim ludzkiego gadania, ani wiatru w polu nie słyszał, jeno to ich granie. Hej! nie słyszałem nawet, jak starość przyszła i bieda! Ludziska głupi powiadają: głuchy Zapalę. Oj, nie głuchyc, nie głuchy, jeno słyszący takie rzeczy, o jakich wam się, Mazury, nie śniło! Gdzie człowiek nie był, czego nie zaznał! Szedł pan na wojnę, szedł i ja. Wojciechu, powiada, nie żał ci chaty? Juści żał, panie, powiadam. To wracaj zdrów, powiada: ja stoję przy Napolijonie. Ha! to i ja stoję. A pan na to: daj rękę, bracie; nie wrócę do dom, powiada, aż z Francuzami. I nie wrócił. To był pan!

I spuszczał stary głowę, i szedł zadumany, wzdychający, aż po chwili prostował się i mówił dalej:

— Albo co! Raz, pamiętam, wali nasza wiara do szturm. Gorącyż to był dzień! Pewno go tam Bóg Najwyższy czerwono w kalendarzu zapisać raczył! Trąby grają, jakby na skończenie świata, bęben grzmi,

że człowiek własnego strachu dosłyszeć nie może; gdzie spojrzysz, las nie las, sterczą bagneciska, że aż w oczy kole. My nie. Przed frontem przeleciał adjutant, błysnął szpada, niby jasną świecą. A my, wiara, jak hukniem: Wiw limperer! tak ci tu zara one Hiszpaniska jak nie puszcza swoich fortów w taniec! Boże miłosierny! żeby się nasza ziemia trzy razy zapadła, toby takiego huku nie było. Oficery krzyczą: marsz! marsz! Idziesz, jakby ci kto za piętami gorącą smołę lał: nie wiada jeszcze, czyś z głową, czy już bez głowy. Same nogi niosą cię naprzód: prawa, lewa, prawa, lewa, marsz! A tu znów jak nie gwizdnie! Chryste Paniel! Czapkę z głowy by zdmuchnęło, żeby niżej poszło. My nie!

Trzeba było widzieć starego Zapalę, z jakim ogniem, z jaką werwą mówił te dwa słowa: my nie!

Była to cała epopeja tej mazurskiej duszy.

— Dziadusiu—przerwał nagle Antek, oglądając się niespokojnie dokoła,—a płota to tam nie było, żeby się skryć za niego, a potem w nogi do wsi?

— Płota? — powtórzył Zapala z wzgardliwym uśmiechem,—oj, ty chłopska maniero! A humor, a ambicja? a co powie cesarz, abo i kapitan? Dalby ja ci płot na wojnie, abo i uciekanie! Nasz kapitan powiedział, co jak ta wojna przyszła, to wszyscy królowie i wszyscy panowie posiedli, pozakładali ręce i patrzyli, jak się Polak za Francuza bije. Ot, pięknie by to było, żeby potem gadali, cośma tchórze. Nie daj Boże takiego doczekania!

— A na cóż się Francuz sam nie bił? — pytał dalej Antek.

— Co się miał sam bić? W przyjaćielstwie wszyst-

kô po równości; my im, oni nam. A to juści i dla człowieka jest z hunorem, że go tam ludzie widzą we świecie, i znają, i powiadają o nim tak i tak. A ty się pilnuj, żeby ci kula nie policzyła zębów nawylot: to już twoja rzecz!

— A cesarz? — pytał chłopczyzna głosem z niepokojem stłumionym,—kto pilnował cesarza?

— Cesarza? oj, dziecko ty moje! Pilnował ci go sam Pan Bóg Stwórca, i ona jasność, co od niego była po świecie, i ony orły, co nad nim latały na sztandarach naszych, i ten dech gorący, co szedł ku niemu z onych piersi ludzkich, gotowych murem stanąć, żeby jeno skinął! Nie broniły go zamki, ani pałace; w obozie jadł, w obozie spał. Ktoby powiedział: człowiek, jak i drugi. Ano kulka kulce świstała lecący, że to Napolijon Bonapart, i żadna tknąć go nie śmiała.

Umilkł stary wiarus, dźwiękiem własnego uniesionego głosu, a źrenice jego cicho gorzały, zapatrzone w dalekość siną.

Antek dreptał obok niego, coraz szybciej przebiegając bosymi nogami. Postać bohatera, odtworzona gorąco przez starego Zapalę, widomie niemal przechodziła z duszy jego w duszę dziecka. Chłopiec czuł się zaniepokojony, wzruszony; moc go jakaś brała za czuprynę konopiastą, więc podnosił głowę do góry, jak ptak do słońca — i coraz silniej ścisnął rękaw starego Wojciecha. Miał też skrytą nadzieję, że tam daleko, gdzie dziadus spostrzegł postać swojego cesarza — i on też może przecie, otworzywszy dobrze głowę — cośkolwiek obaczy. Nie mógł jednak zobaczyć nic, i to go srodze trapiło.

Spojrzał staremu raz w oczy, spojrzał drugi raz, potem go za rękaw pociągnął i szepnął:—Dziadusiul!

Ale Zapala utonął myślą w takiej dalekiej przeszłości, że głos dziecka dobieć się tam nie zdołał. Ognie mu jeno chodziły po zoranей twarzy — zwiesił głowę i w milczeniu wracał pod las, do chaty.

Nocy téj Antek spać nie mógł.

Po ławie się ciskał, rękami rozrzuczał, majaczył; a kiedy go Wojciech świtaniem obudził, pierwszą myślą malca był... cesarz.

Zkąd bo się mógł wziąć ów cesarz na białym koniu, co go dziadus wczoraj w polu widzieli? Białego konia w całej wsi nie było; nie było go i we dworskiej stajni. Jak téż mógł wyglądać koń taki? A cesarz? kulki nad nim latały, śpiewając, — broniła go zorza złota, idąca przed nim na wojnę, a chorągwie furczały na wietrze, jako skrzydła ptasie, przypięte owemu koniowi białemu.

Taki sobie obraz utworzywszy w duszy, stanął chłopczyną przy zydłu u misy, wedle siedzącego Wojciecha; nie mógł jednak jeść wiele, jeno łyżkę z garści w garść przekładał, zadumany, zapatrzony...

Aż kiedy Zapala pośniadał i jął siekierę na brusiku ostrzyć, zbierając się na porębę do lasu, malec zaczął się kręcić, staremu drogę zachodzić to z téj, to z owéj strony, aż wreszcie za kolana go chwycił rączy-nami chudemi.

— A ty czego, chłopcze?—zapytał stary.

— Mój dziadusiul! moi złoci! niechby ja téż tego cesarza choć raz obaczył! choć bez płot!

Zapala uśmiechnął się pod wąsem.

— Ot, czego się głupiemu zachciało! Cesarza!

cesarza!... A cóż to, cesarz jest ekonom, abo strach na wróble, żeby go lada kiep widział? Hej! hej! nawędrował ja się niemało po świecie i niemało biedy zgryzł, i skórę własną, jak wąż, odmienił, zanim go oczy moje ujrzały!

— A jakże go oczy wasze ujrzały? mój złoty dziadusiul!—pytał dalej Antek z najwyższém zajęciem, chwytając znowu za kolana starego.

Zapala siekierę poostrzoną na brusiku wsparł i westchnął głęboko.

— Oj! nie bez płot, nie bez płot, moja sieroto! Ujrzały go oczy moje w dymie harmatnim, w ogniu jarzącym, w trzaskawicy śmiertelnej, kiedy człowiek nie ma czasu wezwać Boga przy skonaniu... Ujrzały go oczy moje w tumanie krwawym, niesionego, jako sokół wiatrem zachodnim, nad pole kłosów dostających. A nie były to kłosy, jeno ludzkie głowy; a co kulka świeśnie po nich, to jakby kosa przeszła, bruzda się ścięła i ściernisko trupie...

— A któż tak kosił, dziadusiul?

— Śmierć kosiła, chłopcze.

— A cesarz?

— Cesarz był z nami. A ktoby dotrwał bez niego? Na górze stał w kapocie swojej szaréj, rękę do oczu przyłożył i rozkazy dawał, i patrzył, jak się Mazury prą na baterję. Bóg widzi, nie my ją brali, ale to wejście jego. Zrazu-m ci ja nie nie wiedział, który to jest cesarz; bo wkoło sztab się kręcił, cały w złocie, a w piórach, a w szelestach. Aż tu mi pan mój powiada: Wojtek, powiada, to Napolijon. Spojrzę ja, jeno go maluj! Porozlatały się one adjutanty złociste

z rozkazaniem pańskim, a on stał sam; a choć był drobnej urody, tak mi się wydał ogromny, jako świat.

Zadumał się stary i zamilkł; aż widząc po chwili, że chłopię u kolan mu stoi, a w oczy pogląda, poglądał szorstką dłonią jego rozsypane włosy i przemówił łaskawie:

— No, no, jeno ty mi się wyucz maszerunku, jak się patrzy, i wszelakię komendy, to już ja ci Napolijona pokażę; niechno jarmark..

A podjąwszy siekiere, na ramię ją sobie założył i ruszył w las na porębę.

Straciłem potem jakoś z oczu Wojciecha Zapałę. Stary podobno chorzał, dyszał, w lesie na porębie nie stawał, z chaty nie wychodził; nawet na jarmark doroczny zejść nie mógł, tak mu się dawne, za młodu nieliczone cięcia odzywały po kościach a stawach.

Małego za to Antka spotkałem kiedyś na drodze.

Było to jesienią. Dzieciak był równie chudy i nędzny, jak dawniej; w stroju tylko jego zaszły niektóre odmiany. Ta sama wprawdzie koszulina zgrzebna okrywała mu grzbiet niebogi, ale na niej miał po wierzchu starą kamizelę Zapały. Kamizela była ogromna, za kolana chłopakowi idąca, na przodzie roztwarta, gwoli owęj niepoprawnej brzuszynie, co to nie chciała iść „w siebie” i odejmowała Antkowi „wszelaki rychtunek” rycerski.

Chłopak maszerował po ostrém ściernisku, trzymając na ramieniu sękaty kij Wojciecha i stawiając

z góry cienkie swoje nożyny, z których jedna obuta była w stary babski trzewik, wywleczone ze śmiecia przez jakiegoś Kruczka, a druga tkwiła w wielkim drewnianym chodaku, opadającym ciężko za każdym krokiem malca. Ten to chodak właśnie dawał takt marszowi i napełniał serce Antka uczuciem słusznej dumy. Istotnie „maszerunek” szedł świetnie. To chodak, to trzewik podnosiły się do wysokości nosa chłopięcia i opadały z łomotem, któremu wtórowała cieniutka komenda: raz, dwa!—i znowu: raz, dwa!

Idąc tak, patrzył chłopczyna przed siebie daleko, daleko... jakoby miał tam cel upragniony, do którego trzeba mu było koniecznie maszerować po ściernisku, ot tak, jak stał: w koszuli i w kamizeli.

Przed jego wzrokiem przejrzystym, smętnym, wzrokiem chłopskich sierot, promieniała kędyś w dali postać jasna, ogromna, unosząca się— „jak sokół na zachodnim wietrze,”—postać cesarza.

Spotkanie to nie było ostatniem. Widywałem go później twardą już jesienią, w półkożuszku Wojciecha i całkiem boso; nie odejmowało mu to jednak fantazyi, a komenda szła żwawo i składnie.

Nadeszła zima.

Wieczór był cichy, mroźny, miesięczny.

Świeże śniegi stały się puchem przez pola; w niebie, głęboko, paliły się gwiazdy sine; między niemi a ziemią leżały błękitne cienie i srebrne pary. Ze wsi dolatywały łomoty cierlic i psów szczekania, a pod lasem, het, precz — u Wojciechowej chaty, słychać było stuk siekiery.

Idąc prosto na stuk ten, ujrzałem starego Zapałę, jak ociosywał dębeczak, zdawna u progu leżący.

Pobladł, postarzał, a w miesięcznych blaskach wyglądał bardziej na widmo, niżli na człowieka.

Przy nim stał Antek, przebierając na śniegu bosymi nogami; jego cienki głosik dziecięcy mięszął się do stuku siekiery, szezebiotał coś, jak wróbel, pożerając oczyma robotę dziada.

Stary pracował z widocznym wysiłkiem. Raz po raz postawał, opuszczał siekiere, czoło z potu ocierał i dyszał ciężko. W ostatnich czasach roznieógł się, osłabł, a choć się codzień jeszcze z tapezana zwłóczył, czuł już, jak mawiał, ordynans u proga.

Pojednał się tedy z Bogiem i z ludźmi, odczyścił swoją zieloną kurtę, wysmarował grube buty i czekał.

Największą jego jednak troską był obiecany chłopakowi cesarz. Zkąd on go weźmie? jak mu go pokazać? Do miasta nie doniosą go już stare nogi; rzecz zresztą niepewna, czy nawet na jarmarku coś podobnego by znalazł. A tu chłopiec codzień dopomina się spełnienia obietnicy. Zresztą, zasłużył. Maszeruje dzielnie, niema co!

Komendę myli co prawda miejscami, ależ to jeszcze małe, douczy się, niech jeno podrośnie. I coby to za radość była mieć pod ręką obrazek, abo co takiego, i módz powiedzieć sierocie: patrzaj, chłopak, to Napolijon! Staremu od tej myśli serce rzucało się w piersi, jakby je warem oblał. Myślał, myślał, nareszcie onego miesięcznego wieczora wziął siekiere, poostrzył i począł ociosywać ów dębeczak, przed chatą leżący.

I cóż, że tego nigdy nie robił? Toć ma cesarza, jak żywego, w duszy: Na górze stoi, ręce u piersi skrzyżował i patrzy, patrzy...

Antek, któremu także cesarz z myśli nie schodził

zagadywał starego o to, o owo, drepcząc bosaka po śniegu, nareszcie spytał: jakieby Napolijon miał buty?

Odstawiał się Zapala, o odzwierek wsparł i rzekł:

— Czekajże, chłopcze... buty to miał ogromne, z gwiazdami przy ostrogach; jak konia niemi spartł, to cała armia ostrogę poczuła w piersiach. I szła, i szła, choć na koniec świata.

— Pewnikiem siedmiomilowe — zauważył Antek dla siebie. Potem zaś dodał: — a kapotę?

— Kapotę? — powtórzył stary, — żeby tak nieskładać, to kapota nie była cesarska, lada ordynans miał lepszą. Tylko, że jak ją Napolijon na siebie wdział, a przed frontem stanął, to ci się zdawało, żeś słońce obaczył. Oj, ginęli też ludzie, ginęli dla tej kapoty, i nie żal było! Cesarz był mały, zwięzły, składny, a oczyma przez skórę cię brał, choć wejrzenie miał zawsze łaskawe. Pamiętam... — Tu stary umilkł, nagle za piersi się chwycił, począł kasłać ciężko, aż uspokoiwszy się, po niejakić chwili rzekł: — Ale ty, chłopcze, do izby ruszaj, a do spania się zbieraj... kurki zachodzą — dodał, poglądając ku gwiazdom sinym.

— A kiedyż ja, dziadusi, cesarza obaczę? — powtarzał Antek zwykłą swoją piosenkę.

— Obaczysz, obaczysz... śpij jeno...

A kiedy chłopiec do chaty wszedł i drzwiami skrzypnął, stary ręce w górę wznosił i mówił głośno:

— Panie Boże Wszechmogacy! nie wołajże mnie ze świata, póki oto tej sierocie nie pokażę Napolijona cesarza, amen!

A gdy to mówił, taka była cisza, żeś słyszał w powietrzu lecące igielki par mroźnych.

Cztery nowele.

Zaraz potem dziad w garść splunął, siekiery się jął, a stukot jęj aż do samego świtu obijał się o sosny po lesie.

W kilka dni potem, o wczesnym zaraniu, w posrodku nędznej, czarnej chaty pod lasem, stał dębeczak ów z pod progu, zmieniony w postać człowieczą.

Gruba to była robota, chropawa, nieskładna, głowa przyduża, nogi przykrótkie, kadłub przycieżki; kiedyś jednak stanął w progu izby, ot tak, jak teraz przy ogarku łuczywa, płonącego w kominie, toś na pierwsze wężerzenie musiał krzyknąć jak Zapala:

— Napolijon!

Charakterystyki posągu tego nie stanowiły rysy twarzy—to pewna; można je było owszem nazwać rysami tego lub owego człowieka, chociaż i one zarywały cośkolwiek z potężnej, znaniej wszystkim głowy bohatera. Co do kapoty za to, kapelusza i rąk skrzyżowanych na piersi—nie podobna się było pomylić.

Przed dziełem swoim stał Wojciech Zapala jasniejący, natchniony, ogromny w sobie, istny Fidyasz w chłopskiej siermiedze.

U nóg jego leżały dłutka i pilniki, gorące jeszcze od rozmachu mazurskiej dłoni.

Oczy mu gorzały ogniem miłości i dumy, usta zaszyły czerwienią, jako za młodych lat, pierś poruszała się oddechem pełnym, swobodnym, i stał tak w przemienieniu onem—prosty i piękny—trzymając w jednej ręce podjętą z ziemi siekiere, a drugą po wojskowemu salutując cesarza.

Po chwili uśmiechnął się i zwrócił głowę w róg izby. Tam, na ubogim tapczanie, spał Antek sierota. Rozrzucona na piersiach koszulina pokazywała chude

jego zebra, a z pod kamizeli, którą był przykryty, wyglądały nogi, cienkie jak badyle. Równy, głęboki oddech poruszał jego pierś drobną, a obie ręce leżały nad głową, jako nad słomianą strzechą. Zapala patrzył na chłopca i oczy jego wilgotniały niby poranną rosą.

Tymczasem odniało na wschodzie.

Styczniowe słońce podniosło się nad Żelazową Wolę, wielkie, gorejące, czerwone. Śniegi spłonęły w blaskach różanych i w złocie.

I uderzyły promienie słońca w okienko izby czarnej i padły na postać bohatera łuną jarzącą. Światło zbudziło wróble i Antka.

Przewrócił się z boku na bok, zamruczał niewyraźnie: „...dwa, trzy,”—potem westchnął i oczy otworzył. Otworzył—siadł na tapczanie i spojrzał po izbie. Zamknął je znowu i znów otworzył, przetarł kułakiem, spojrzał—i rozdziawił usta, jako miał szerokie. Chwilę trwał w takim osłupieniu niemém; nagle zerwał się z tapczana.

— Cesarz, dziadusiu, cesarz!...

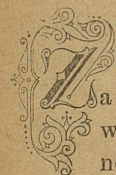
Chwycił go stary, podniósł, do piersi przytulił, na wąsy spadły mu dwie łzy ciężkie i słone. Potem chłopca na ziemi postawił—podał piersi naprzód, jakby na bagnety szedł, i huknął, aż w lesie odgrzmiało:

— Wiw Napolijon! Wiw limperer!

O wieku, co blaski swoje rzucasz w cienie i chłody dni naszych, i zapalasz ogień w biednej chłopskiej piersi, i dajesz chwilę szczęścia czarnej chłopskiej chacie, i uczysz pacholęta bosa iść po ścierniskach życia ku ideałowi—o wieku!...

ULTIMUS.

I.



Na ostatnią, z miejska otynkowaną kamieniczką w Łuknikach stało niskie domostwo drewniane, zczerniałym gontem kryte, które miało tę osobliwość, że z trzech stron otaczał je sad śliwkowy, gęsto puszczony i zdziczały nieco, a z czwartej stawał przed nim na jednej nodze stary, zdawna już okula-wiony zóraw, który, wtuliwszy między barki głowę, długimi godzinami patrzył w niebo jedyném okiem, jakie mu zostawiła swawola chłopców miejskich. Cała postawa nieszczęsnego ptaka była nad wyraz śmieszna. Chudy, nastrzępiony, z podwiniętą nogą, którą od czasu do czasu na bok wyciągał dla rozprostowania, szyję miał siną, miejscami z pierza odartą, przez łeb krwawo zaschlą szramę od polana, które ciśnięto za nim w gorącej jakiegś przeprawie, ogon wyszarpany, ślady deszczów i pyłu miejskiego na sobie noszący, dziób zeschły, grzbiet zgarbiony... ruina ptaka, i tyle. Jedyną pamiątką czasów dawniej świetności były wielkie, poderwane nieco skrzydła, które w chwilach zadumy zwieszał ku ziemi, jak zwiesza ramiona człowiek zniechęcony i śmiertelnie smutny. A kiedy je tak opuścił i koszlawo stanął, podjąwszy w niebo skaleczałą głó-

wę, można się było i śmiać i wzruszonym czuć na widok tego rozbitka, strąconego z jakichś powietrznych, farysowych dróg...

Żórawia znano w miasteczku pod imieniem Franka. Imię to zostało mu w spuściźnie po pierwszym właścicielu, hulaszczym włóczędzie, który w podmiejskiej, mieszczałej się w domostwie owym traktyerni pół życia przesiedział, był zalotnikiem pięknej Zużki Sas, a i przemysłowikiem także. Na jaki koniec przyszło straceńcowi temu—nie wiedział nikt. Przepadł kędyś bez wieści, bez echa, jak przepada kamień w wodę rzucony, i zostawił ptaka-sierotę z smętnym dziedzictwem imienia swojego. Jeden tylko Abrajtyś, kanonier stary, co z pod Jeny pusty rękaw u mundura przyniósł, Ultimusem nazywał żórawia. Bywało, stanie nad ptakiem, zapatrzonym w wieczorną zorzę, głową trzęsie i mruczy pod siwym, najeżonym wąsem: „Hej! hej! A gdzie to bracia twoi, nieboraku? Odlecieli, odlecieli!... zostałeś sam, sieroto stary!... Ostatni... Ultimus!”

A tu mu wiatr wiewa pustym rękawem, po siwych włosach chodzi i świszczy: ultimus... ultimus... Chłopaki od Jana Grzmota, szewca z Szydłowieckiej ulicy, w głowę zachodziły, co ten wyraz miał znaczyć. Aż im organista wytłumaczył wreszcie, jako to jest słowo nieczystą moc mające, którym się farmazony zwolują pod Szatryą, w pierwszy piątek po miesięcznym nowiu. Z tej organistowskiej erudycji wypadło to, że i do biednego ptaka przyłgnęło coś niecoś z zabobonnego strachu, jaki w mieszkańcach Łuknika wzbudza Szatrya, dość podejrzanej sławy zażywająca na Żmudzi góra, niby nasza Łysa. Ale też od tej pory, rzec można, żóraw miał życie spokojniejsze nieco i nie tak często

brał w łeb kamieniem albo garścią piasku, kiedy się, chyłkiem drepząc, na miasteczko ważył. W domu za to, zwłaszcza zimą, po dawnemu pędził żywot, pełen abnegacy i dotkliwych upokorzeń.

Bywało, całemi godzinami w sionce pod drabiną stoi skulony, kryjąc się poza wysłużone miotły i upatrując przyjaznej pory, aby się dostać do kuchni, posilić obierzynami kartofli i z cebryka napić. Najprzyjaźniejszą porą bywała ta, kiedy Zużka Sas, czarnooka władczyni kuchennego państwa, wyszczerzała do przechodniów białe swoje zęby. Jeśli to był dzień targowy, a przechodnie gościć szli, żóraw zdołał nawet niekiedy pochwycić kawał mięsa ze stolnicy i, przytłamszy się, wysunąć niepostrzeżenie. Głód, nędza i niewola kalectwa, która go trzymała przy ziemi, wyrobiły w nim pewien stopień przebiegłości ludzkiej prawie i znikczemniły nieszczęsnego ptaka. Zimą tedy był żóraw obrazem kompletnego upadku i głębokiej demoralizacyi, a skrzydła jego, częścią z piór огоłocone przez domowego kundysa, częścią obryzgane kipiátkiem przez piękną Zużkę Sas, zdawały się zapominać w smętnym opuszczeniu swoim, że ponad parą, unoszącą się z żelaznych saganów podmiejskiej traktyerni, istnieją swobodne, szerokie przestrzenie, kędy można brać lot górny, wyżej — i wyżej — do słońca.

Na wiosnę za to zmieniał się to nieco ku lepszemu. Kiedy pierwsze ciepłe tehy powiały od jezior, od lasów, a wiosenne chóry zab ozwały się z łąk mokrych i wygrzanych stawów, kiedy nad Łuknią, nad Windaną, obłakiwały się lecące od Bałtyku mowy, żóraw stawał się dziwnie zadumany, niespokojny, dziki. Rankami i wieczorami odbywał jakieś dalekie, dające

do myślenia wycieczki, z których powracał zroszony, płochy, niepozwalający zbliżyć się do siebie; w nocy tulił się między śliwiną młodą, abdykując z owęj grzędę w chlewiku, o którą przez całą zimę z kogutem domowym bój toczył; we dnie wypatrywał czegoś na horyzontach dalekich, za południowym wiatrem obracając głowę. Aż kiedy wczesnym rankiem, po rosie, ozwało się w powietrzu cichym kruczenie wracających żórawianych kluczków, Ultimus, na jednej nodze stojąc, jakby na pal wbity, szeroko machał wystrzępionymi skrzydłami i wydawał krótki, chrapowaty głos, bardzo podobny do okrzyku tęsknoty. Zdarzało się, że łańcuch żórawi brał lot ku ziemi, pękał w błękiecie i z wielkim szumem spadał na żerowisko przygodne. Nakrywała wtedy nieboraka chmura skrzydeł, a ptaki obstępowały go, dziwiąc się i naradzając głośno. Trzeba było widzieć, jaką minę i postawę przybierał wówczas nieszczęsny Ultimus. Skacząc na jednej nodze ochoczo, a drugą ledwo ziemi tykając, usiłował dać do zrozumienia, że jeśli nie posługuje się obiema w równą miarę, to tylko z własnej dobrej woli swojej, i ot tak, z wiosennego kaprysu. Głowę z przyschniętą blizną krwawą dyskretnie w bok przechylał, jakoby z wielkiego animuszu i fantazyi to czyniąc, a cała jego fizygnomia nosiła wyraz głębokiego uszczęśliwienia, uśmiechu prawie.

Mądre ptaki nie dały się jednak wywieść w pole. Nie wiadomo jak i po czém, ale zawsze odgadły tę smętną komedię, zawsze zwąchały kuchenne pomyje, któremi trącił, dojrzały okaleczenia i ślepoty... A wtedy, z gniewem zawodu, bezlitością silnych i wzgardą swobodnych, zaczynały z łomotem wielkim w skrzydła

bić, wrzaskliwie urągając głowie renegata, który też odrazu tracił całą kawalerskość postawy, robił się pokorny, zmalął jakby, i cichym, żalonym piskiem skarżąc się na niedolę swoją. Żórawie jednak wyciągały już do lotu długie szyje, zrywając się zrazu ciężko, potem swobodniej coraz, aż wkrótce wysoko gdzieś, w blaskach wiosennego słońca ginęła czarna ich wstęga. Ultimus zostawał sam. Wtedy to w jedynym jego osłupiałem oku zbierała się wielka łza krwawa, chwilę drżała w okrągłej źrenicy, poczem, pękawszy, gasła...

Długi czas chodził potem żóraw jak struty, kulejąc mocniej niż kiedykolwiek, zgarbiony, postarzały, przybity, ledwo sobie żeru szukając. Okaleczoną głowę chował w pokrzywy, puszczaające się pod płotem sadu, a końce skrzydeł włóczył po ziemi, jakoby ich udźwignąć nie mógł w tej melancholii, która go trapiła. Od połowy maja dopiero nabierał znowu ducha, kiedy na młodą zieloność sadu otwarło się z brzękiem okienko szczytowe, przytulone pod dachem starego domostwa. Był to znak, że się mieszkańcy poddasza budzą ze snu zimowego, że przyjazna, wyschła ręka rzuci mu rankiem okruszki bułki albo nieco kartofli zgłębiałych. Odtąd codziennie można było widzieć żórawia, stojącego jakoby na straży pod okienkiem owym, a przy okienku starą kobietę o szczupłą, bladej, niegdyś pięknej twarzy, jak z niesłychaną wprawą robiła pończochę, trzymając ją zdala od przygasłych oczu.

Niekiedy, pod wieczór, sztywniały jej od drutów cienkie palce. Opuszczała wówczas ręce na kolana, a podniósłszy głowę ku niebu, szeptała coś zwiędłymi

usty. Kto wie co? Modlitwę może, może jakieś zaklęcia dawnych, dawnych lat, które jęj dotąd dawało siłę życia. Nieraz też, siedząc tak, przechylała w tył głowę i, przymknawszy zmęczone oczy, zaczynała śpiewać cichym, drżącym głosem. Była to znana wszystkim pieśń stara, którą może niejeden z nas przy kołysaniu słyszał:

... Powiećcie wiatry od wschodu...

Z wami do mojego rodu

Poszłę skargę obciążoną...

Najczęściej wszakże odkładała całkiem znużoną pracę swoją, a dobywszy ze stolika podłużną blaszaną puszkę, wyjmowała z niej ostrożnie zwitki papierów pośliskłych i listów przesiąkłych wonią lawendy, której pęczek leżał pomiędzy niemi napół okruszony. Wyjmowała je i patrzyła na nie długo, wtedy nawet, kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, a żóraw nie widział nic, tylko jęj bielejące w letnich zmierzchach ręce. Wreszcie wychylała się z okienka, aby je zamknąć przed padającą rosą, a wówczas można było widzieć całą jęj postać szczupłą, wyniosłą, przygarbioną nieco, twarz bladą z drobnemi, ściągniętymi usty, i pasma siwych, obfitych jeszcze włosów.

Ślepy na jedno oko żóraw niewiele nad to mógł dojrzieć. Ale inni mieszkańcy starego domostwa wiedzieli doskonale, że poddasze wynajmuje pani Magdalena Rożnowska, szlachcianka z rodu, wdowa po Imci panu Wincentym Rożnowskim, który, sługując oficjalistą po wielkich dworach, dosłużył się wreszcie mogiły na ementarzu w Lidowianach i tego zaszczytu, że jego ostatni chlebowawca, jaśnie wielmożny graf Krut,

wdowę po nim i sierotę na własnej bryce, własnemi końmi do miasteczka najbliższego wywiózł, dodając im z pańskiej szczodrośliwości swojej półkorce jaręj pszenicy i półkorce żyta.

Za młodych lat swoich zwykł był pan Wincenty podpisywać się na kontraktach, zawieranych z jaśnie wielmożnymi dziedzicami: Rożnowski herbu Junosza. Nosił też wielki sygnet na serdecznym palcu z swoją pieczęcią rodową. Gdy wszakże na tę szlachecką fantazyę chudego pacholka ten i ów krzywo patrzył, a majtki poczęły w ręce nowych ludzi isć, oddał pan Wincenty sygnet do schowania żonie i podpisywał się wprost nazwiskiem tylko, zawsze sobie wszelako zastrzegając w myśli Junoszę i ślubując, że wydobędzie heraldyczne dowody szlactwa, przez wzgląd na męskiego potomka, jakim go los w późnym już obdarzył wieku. Zostawał nawet z tego powodu czas jakiś w korespondencyi z Imci panem Filipem Łomotką, autorem kilku drogocennych listów, zachowanych w blaszanej puszcze pani Magdaleny Rożnowskiej. Oto z nich jeden, ostatni co do daty i dobrze już pośliskły:

Wielmożny Panie Dobrodzieju.

A iż wiadomą jest rzeczą, jako mogę wydobyć dowody szlachetnego urodzenia Wielmożnego Pana Dobrodzieja z Jaśnie Oświeconej Heroldyi Królewskiego Państwa, gdzie mam znajomość na pewnym fundamencie, a nawet kumoterstwo ze starszym woźnym Trzewińskim, przeto upraszam Wielmożnego Pana Dobrodzieja o nadesłanie dzieściu rubli na papiery i inne trudności.

Podpisano: Filip Łomotka.

Nie nadmieniał szanowny autor powyższego listu, jakieby to trudności być miały, ale do usunięcia ich nie przyszło nigdy, ponieważ pan Wincenty nigdy jakoś nie mógł zebrać dziesięciu rubli razem i z protekcyi zacnego Trzewińskiego korzystać. A tak list ten, jako też i inne pamiątkowe papiery, świadczące, iż ród był szlacheckim, zostały złożone w puszcze pani Magdaleny razem z owym herbowym sygnetem, pęczkiem lawendy i kawałkiem fijałkowego korzenia, który kiedyś był pomocnym przy wyrzynaniu się pierwszych ząbków Julka Rożnowskiego, dziedzica tej właśnie, jedynej spuścizny.

Od wielu już lat, kiedy jeszcze ów jednak był małym Julkiem i na kolanach matki usypiał, wyschłe jej palce odmykały codziennie blaszaną puszkę, ot tak, na pociechę doli wdowięj; a zapach lawendy rozchodził się po biednym poddaszu i przywiewał woń młodości i obrazy dawnych, dawnych czasów. Kobieta podnosiła wtedy oczy ku wieczornej gwiazdzie i zaczynała rozpowiadać chłopcu o niskim dworku w szlacheckim zaścianku. A kiedy chłopiec usypiał zmęczony, tuliła głowę jego do kolan, śpiwając drżącym głosem zwykłą swoją pieśń: „Powiejdzie wiatry od wschodu...” Ultimusz znał ten śpiew i, stojąc na jednej nodze, z wyciągniętą szyją, patrzył w okienko jedynym okiem swoim, w którym widać było jakąś bezsenną troskę. A sad sliwkowy drżał tymczasem od słowiczych poświstów i pieśni rozgłośnych, klaszczących. A za sadem, het, precz na moczarach, zawodziły wiosenne chóry żab i słychać było zapóźnioną fujarkę pastuszą, a od miasteczka były zmieszane głosy ucichającego życia coraz słabsze... coraz dalsze... Aż wreszcie schodziła noc,—

co też ma dla ziemi łązy swoje i kołysze kwiaty polne na zapomnianych mogiłach, a cień i cisza obejmowały ptaka-tulacza, kobietę i dziecko.

... ..

Ale to było dawno już. Teraz mały ów Julek wyrósł na silnego, gibkiego chłopca, który las czarnych włosów miał nad czołem, oczyma gorącemi z powietrza, zda się, pił życie, a całą młodzięcą postawą pęd w górę biorąc, bardzo się hardo po miasteczku nosił.

Hardość ta wszelako tajała, jak śnieg, na widok pięknej Zużki Sas, od kiedy jej chusteczkę z białej szyi—niechcący zaczepiwszy—zerwał, a ona go w wielkim gniewie nazwała panem Julianem, zamiast po dawnemu—Julkiem. Odtąd w życiu chłopca wiele się zmieniło. Na miasteczko biegał, razwraz potrzebował pieniędzy; smutny był, roztargniony, to znów do zbytku pusty...

Matka widywała go coraz rzadziej i na coraz krótszą chwilę; poddasze opustoszało, ogłuchło, poszarzało jakby. Tylko szelest szybko migających drutów i ciche, nagłe westchnienie pracownicy—były jedynym życia jego odgłosem. Żóraw za to dobrze się teraz mieć począł i z bezprzykładnym zuchwalstwem porывał najlepsze kawałki mięsa z pod ręki Zużki Sas, rozgadanej, śmiejącej się czarnemi oczyma do pięknego chłopca, który też przy niej miał jakieś błyskawiczne uśmiechy i nagłe drgnienia w smagłej, bladej twarzy.

Pani Magdalena Rożnowska nieodrazu spostrzegła tę zmianę. Teraz dopiero niepokoić się poczęła, kiedy Julek to na obiad, to na wieczerzę spóźniając się

coraz, pewnego dnia wreszcie nie przyszedł wcale do domu.

Biedna kobieta wieczora tego długo wyglądała okienkiem, rozwijała i zwijała nigdy niekończącą się robotę swoją, chodziła niecierpliwie po biednej izbie, w której, oprócz jej łóżka i synowskiego tapczana, mało co było sprzętów ubogich. Padła nareszcie na stół i dobyła swoje *sacra arcana*, zamknięte w puszcze blaszanej, pozwalając im po raz pierwszy rozsypywać się z kolan na ziemię. Ręce jej się trzęsły, cienkie wargi drżały czegoś, a smutne, zmęczone oczy zatrzymywały się z osłupieniem na podpisie Filipa Łomotki. Nagle, rozległ się z dołu brzęk stłuczonej szyby, gwałtownym ruchem biesiadników z okna traktyerni wypchniętj, a na cichy sad sliwkowy buchnął śmiech i gwar. Kobieta drgnęła i podniosła się wyprostowana. Jeden z głosów tych, metaliczny, miękki, świeży, był głosem jej syna. Towarzyszył mu ochrypły nieco bas, a w hałaśliwą, rubaszną ich rozmowę wpadał swawolny, drażniący śmiech pięknej Zużki, który w domostwie wszyscy dobrze znali. Wdowa klasnęła w ręce, jakby nagłym widzeniem olśniona. Chustka jej z ramion spadła, wyschłe dłonie zacisnęły się w przerażeniu jakiegoś przy pobladyłych ustach, o oczy, zapatrzone w głębokie cienie sliwkowego sadu, miały wyraz osłupienia i najwyższej troski. Gwar wzrastał. Teraz można już było rozróżnić pojedyncze słowa.

— Zużka! Zużka... — mówił Julek stłumionym, urywanym głosem.

— A nie drożże się, głupia dziewczyno! — huczał bas szydereco. — Szlachcianka cię zrobi... Konie do ślubu ja daję! Do licha! i ślub dać mogę, jeśli tego trzeba...

Julek, mój chłopcze, nie upieraj się przy niej, kiedy ci nie rada. Zrób tylko pieniądze, duże pieniądze, a wesele się znajdzie. Już ja ci drogę pokażę... Będziesz mi wdzięczny, póki cię nie powieszą, mój synu!

Śmiech Zużki zagłuszył resztę. Wdowa chwyciła się za głowę. Ona знаła ten ochrypły głos. Słup soli, w który się żona Lota zamieniła, nie był bardziej nieruchomym od tej kobiety, stojącej wśród lichego poddasza w swojej wdowiej, wypłowiałej sukni. Po chwili dopiero zaczęła się mocno trząść, jakby nagłym chłodem ruszona. Istotnie, zapomniane dzisiaj okienko wciąż jeszcze stało otworem, a świeżość rosy szła przez nie razem z cichym światłem miesięcznym, które się srebrnymi smugami po izbie kładło, czyniąc z osłupiałej kobiety jakiś tragiczny posąg niedoli. U stóp posagu tego leżał szeroko rozwinięty papier, na którym w księżycowych blaskach wyraźnie czytać było można: „A iż wiadomą jest rzeczą...” i tak dalej...

II.

W samym jądrze Kurtowiańskiej puszczy była obszerna polana, Halizną zwaną, wśród której siwe dęby zrzadka rosły, podesłane trawą rzęsiłą. Na wschód, na północ ciągnął się tegi, zwarty las sosnowy, który tysiącem masztów szedł w niebo, igliwie na igliwie sypał, kłodami się walił wzdłuż i wszerz, ledwo gdzie jagodę lichą puszczał od ziemi do słońca. Na zachód otwierały się szerzej jaśniejsze przygaje, zmieszane z brzozą, stojące na moczarach, w suchsze tylko lata dostępne, ochwytyjące sobą błotne oczerety i jeziorka leśne. Gęsty trop zwierza tu szedł, kostka i skrzypy puszczały się kępami, a paprocie górą wiały lekkie, pierzaste... Od południa—puszcza rzadła nieco; siekiery już się w nią przerąbywać poczęły, czyniąc wskrós ciemnej zieleni nagłe, przejrzyste świty. Dęby i buki więcęj tu brały słońca na liście, a podszyte były gajem młodym puszczałając się gęsto leszczyny, jarząbków, malin dzikich i różnych targańców... Tutaj się roili wielkie barcie, ognieźdzone w wypróchniałych pniach starodrzewu, brzęcząc chmurami pszczoł i pachnąc miodem, do którego nawet przemyślny Żmudzin rzadko mógł przystęp znaleźć.

Na tej to polanie wyprawiał dziś Jur Chmiel towarzyszom swoim tak zwaną „Fokusową noc,” którą téż inni „Uzdzienną” albo „Stryczkową” nocą zwali. Był to jak gdyby zapust przemytników i złodziei końskich, obchodzony w noc sierpniową, na pamiątkę jakiegoś mitycznego Fokusa, który jakoby kiedyś był katem w Poładze i bez bólu wieszał.

Uczta skończyła się właśnie. Wpół wypróżnione kotły dymiły resztą strawy, a świeżo podsycone ognisko rozsypywało, trzeszcząc, iskry czerwone. W środku polany stała wysoka, do góry dnem zwrócona beczka, a na niej z podwiniętą pod siebie nogą umieszczył się stary cygan i dał w kobzę różnemi głosy, w las je puszczał jak żywego zwierza. Tuż pod nim, plecami o beczkę oparty, siedział, szeroko rozstawiwszy owinięte szmatami nogi, pierwszy tej kapeli skrzypek, grając na instrumencie swoim z dziką jakąś zapamiętałością. Włosy mu na twarz spadły, pot kipiał z czoła, na obnażone ramię wystąpiły grube, sine pręgi, ale on zdawał się wcale nie uważać tego, utonawszy z duszą razem w jakimś szatańskim czardaszu. Reszta muzykantów, to stojąc, to siedząc, grała na trąbkach, obojach, klarnetach i dziwnych jakiś szalamajach, z których nieokreślana muzyka po puszczy się niosła jak wicher i grzmot, jak śmiech i płacz i zębów zgrzytanie. Przy tej muzyce toczyło się w nagłych światłach i cieniach migające taneczne koło, wiążąc się i rozsypując w pary, z okrzykami i dzikim tupotem. Cyganki zwłaszcza odznaczały się jakąś zaciekłością w tym tańcu, kręcąc się jak tuman jaskrawych wstęg i szmatek, błyskając bursztynem u piersi, białemi zębami z poza ust czerwonych, zwinne, niepochwytne, podrzu-

cane w górę nagłemi wybuchami południowej krwi, szalejące, niepamiętne, straszne. Gdyby im dać na tancerzy węże, gnące się potwornie za podmuchem indyjskiej puszczalki, byłyby to pary dantejsko dobrane.

Mężczyźni szaleli także. Kapelusze ich, opasane sznurkami monety, latały w powietrzu jak roje czarnych, błyskających złotem motyli; ręce klaskały, lub chwytaly tancerkę, a gibkie nogi, rzemieniem opięte, z nieprawdopodobną szybkością gięły się i prostowały naprzemian, w takt dzikiej muzyki, lub własnego natchnienia—dzikszego jeszcze.

Kto z koła wyszedł, padał na ziemię jak martwy. Taniec ten był pracą, upojeniem, śmiercią niemal. Jedna tylko dziewczyna nie brała w tej ochocie udziału, a obróciwszy smagłą twarzyczkę na gwiazdy, kołysała się w jaskrawej, uwiązanej między dwoma drzewami chuście, z której zwieszały się ku ziemi jej śniade, bosc nóżki. A kołysząc się tak, śpiewała jak ptak leśny, górując niekiedy przenikliwym głosem nad całą tą orgią piekielną. Była to Ginta, balerina bandy, która nie tańcowała nigdy inaczej jak za pieniądze, na jarmarku, w rynku. Wprost niej, nieopodal ogniska, leżał Jur Chmiel, szeroko rozwalony, w baranich kozuchach i juchtowych butach, które mu okrywały nogi, grube jak dębowe kłody. Leżąc, na łokciu się wsparł, w smolny ogień patrzył, fajkę kurzył za fajką, rozmyślał i spluwał. Był to chłop tegiej postawy, idący ze starowierów, król okolicznych band cygańskich, prowodyr przemysłniczych szajek i złodziei konskich, ze spraw swoich głośny od Połogi aż ku pruskiej granicy. Siwiejącą już brodę przyszytywał; głos

miał ochryply, basowy, twarz ospowata nieco, zgruba ciosaną, wielkie czoło, brwi nawisłe, oko siwe, bystre, głęboko schowane pod czaszką.

Nieco dalej siedziała i leżała starszyzna szajki; jedni trochę podchmieleni, drudzy poprostu senni. Czasem słówko jakie lub klątwę rzucił ten i ów, ale mało co zrozumieć się było można przy owej tanecznej ochocie, od której aż puszcza głuchła.

Naraz wszczęło się jakieś zamieszanie. Przybywała nowa partya przemysłników. Podniósł się pół ciałem Jur Chmiel i ku przybyšom bystry wzrok obrócił. Na wyładowanej konopiami bryce siedział chłop z obojętną i zbiedzoną twarzą, za nim żyd z workiem przez plecy rzuconym, w którym miał igły, nici, tasiemki; żyd biedny, zaschły, brudny trochę, który od szabasu nie widział gorącej strawy, a cały majątek w worku z sobą nosił. Wyborną była charakterystyka obu tych ludzi: ot, parobek na moczydło jadący, który podwozi biednego żydka za trzy łokcie tasiemki do fartucha żonie. Uśmiechnął się Jur Chmiel.

— Pochwalony!—rzekł.

— Na wieki wieków! — odpowiedział chłop, ze zwykłą obojętnością Żmudzina.

— A zkąd Pan Bóg prowadzi?

— Od Ejragoły, panie...

— Jakże tam, sucho sprzątnięte?

Chłop poskrobał się w głowę.

— Sucho nie sucho—rzekł,—anośmy deszcz workiem podparli...

I tak się zawiązała ta dziwna rozmowa, którą, dosłownie biorąc, można było uważać za gawędę, prowadzoną po pijanemu, a w której przecież przybyše da-

wali Chmielowi ważne objaśnienia co do przygód swojej wyprawy i spodziewanych trudności. A tu już rozsypało się taneczne koło; kobiety biegły patrzeć na przywieziony towar, potrącając się wzajem i wyścigając. Ucichła kobza i bęben, i szalamaje ucichły; tylko jeden skrzypek, pod beczką siedzący, grał tak, że rozstąpił się ziemi!

Zaczęto zrzucać konopie. Pod nimi leżały powiązane worki, pełne drogich jedwabnych towarów, a każdy worek taki mógł zapłacić sobą kosztą całej Fokusowej nocy. W miarę jak worki zdejmowano, kładł na nie Jur Chmiel swoje znaki. Naliczono najpierw dziesięć—i odstawiono jeden na stronę. Naliczono drugie dziesięć—i odstawiono znów jeden. Wtedy otworzył Chmiel pierwszy z tych obu i począł wyjmować wzorzyste chustki jedwabne, które po jednej dawał tłoczącym się ku niemu cygankom. Kobiety całowały go w grubą, wielką rękę, głośno ustami z zachwytem cmokając, i odchodziły już z kłótnią na języku i zawiścią w palących się oczach. Młodsze natychmiast wiązały chustki na głowę, starsze chowały je za pazuchę. Jedna tylko Ginta nie przestawała się kołysać i śpiewać. Stary Jur wybrał tedy najpiękniejszą szmatkę i rzucił ją śpiewającej dziewczynie. Zerwała się i siadła w hamaku swoim, błyskając gniewnie czarnemi oczyma, a zwinawszy zapalczywie dar Chmiela, cisnęła mu go w twarz.

— Bogdajęś przepadł!—zawołała—ty i chustka twoja!

Stary Jur w śmiech to obrócił, ale znacznie było, że złość w nim kipiała, bo zacisnął zęby, a oczy mu latały czas jakiś z przykrém migotaniem. Tymczasem

przybysze włożyli swoje worki napowrót na brykę, starannie je pokrywając wiązkami konopi, poczem woźnica raz jeszcze napił się wódki, otarł rękawem usta, mieszki z obrokiem koniom na lby wsadził, a sam podszedł do kotła. Zaczęto szumić, śmiać się, baraszkować. Tylko Jur Chmiel nie mógł odzyskać humoru. Kładł się na ziemi, wstawał, do ogniska dorzucał smolnych polan, w głównie butem tłukł. Wreszcie wyjął z za pazuchy świstawkę i świsnął. Na ten świst, starsi biesiadnicy ustąpili z placu, a kilku młodych cyganów, dziewięciu, dziesięciu może, ruszyło pędem w las.

— Dawaj tabor!...—huknął za nimi Chmiel.

Zagrały echa od huknięcia tego. Potém dało się słyszeć niespokojne rzenie koni, a w chwilę jeszcze tymczasowa sala taneczna zmieniła się w jakąś piekielną ujeżdżalnię, gdzie krótkie, urywane okrzyki popisujących się oklep cyganów mieszały się z parsaniem koni i pistoletowemi strzałami.

Taki tu bowiem był regulamin, że koń skradziony musiał znać złodziejską mustrę i stawać się współnikiem złodzieja; na krzyk ani dbać, na strzał ani drgnąć, tylko pędzić, pędzić, pędzić... Tego się też uczył tak zwany tabor szajki, z różnych stron świata spędzony, i znał to już nawet widać doskonale.

Ostrzeliwane ze wszystkich stron konie uszami tylko lekko strzygły i rozdymały chrapy. Ale żaden z nich ani na włos nie zmienił chodu, nie stanął dęba, nie szarpnął uzdy. Który z jeźdźców wolę miał, skakał przez ognisko smolne, inni wyścigali się wzajem, klaskając długimi biczami. Był to widok prawdziwie piękny. Nawet kołysząca się dziewczyna wychyliła

kędzierzawą główkę, patrząc na ten ponocny turniej z prawdziwem upodobaniem.

Jedna tylko klaczka białonóżka nie dała się jakoś zażyć. Za każdym strzałem zdzierała uździenicę, rżąc przeraźliwie, i na całą miarę swoją stawiała dęba, grożąc upadkiem jeźdźcowi. Dostrzegł to Jur Chmiel i świsnął znowu. Konie stanęły jak wryte.

— Jak dawno w taborze?—spytał krótko chłopaka, który tylko cudem swojej cygańskiej zręczności dotąd się grzbietu żrebicy trzymał.

— Od jarmarku w Pokrożeńcach.

— Ze Średnickiego stada?

— Ze Średnickiego...

— Zawsze taka?

— Bies ją wie! Coraz gorsza chyba. We fartuchu chowana, czy co?...—dorzucił chłopak, skrobiąc się po głowie.

Jur Chmiel namarszczył brwi siwe.

— Do mety ją!—krzyknął gniewnie.

Chłopak zeskoczył, chwycił żrebicę za uzdę tuż przy samym pysku i podprowadził ją pod krzywy dąb, który stał nieopodal, z boku nieco...

Stary Jur dobył tymczasem pistolety, opatrzył, podsypał, półkurcze odwiódł i szedł z wyciągniętą ręką do rżącego żałośnie zwierzęcia, które w śmiertelnym jakimś przestachu rwało się z uzdy, zbierając razem wszystkie cztery nogi, jakby się pod niemię ziemia paliła. Chmiel stanął, przymrużył palające oczy i podniósł pistolet do wysokości ucha żrebicy. Zanim jednak strzał padł, stała się rzecz dziwna. Oto leżąca dotąd w hamaku dziewczyna zerwała się nagle, jako ptak z gałęzi, biegnąc prosto na ogień z rozpostartemi

rękami, bosa, w koszuli tylko i krasnej u bioder chusteczce. Jak ptak też przelatujący mignęła nad ogniskiem smolnemi i rzuciła śniade rączki na szyję Chmiela, krzycząc przeraźliwie.

— Ojcie Jurze! ojcie Jurze! nie zabijesz tego zwierzęcia! Będę cię codzień całowała, pieściła. Zmiłuj się, ojcie Jurze, nie zabijaj białonóżki mojej.

A krzycząc tak i drżąc całą, uwiesiła się u szyi starego, obejmując z wielką siłą kark jego bawoli i ledwo palcami śniadych, bosych nówek ziemi tykając. Chmiel szamotał się zrazu; ale kiedy dziewczyna nie przestawała krzyczeć, przyczepiwszy się do niego jak pijawka, rozśmiał się i rzekł:

— A co, turkawko! Bogdajem przepadł, ja i chustka moja?... Puśćże mnie teraz, bo udusisz...

Mówiąc to, podniósł rękę i, wystrzeliwszy pistolet w górę, chciał pocałować dziewczynę. Ale Ginta już się w bok do białonóżki rzuciła, odwiązała ją, a chwyciwszy się długiej, jedwabistej grzywy, skoczyła na grzbiet uratowanej żrebicy, przykleknęła na jedno kolano i puściła się w szalony obieg po zaimprovizowanej arenie, wołając ze śmiechem i łzami nieoschłemi jeszcze:

— Strzelaj teraz, stary grzybie!

Oniemiał Jur.

— Zejdiesz mi zaraz, dyablico! — krzyknął Chmiel gniewnie.

Podniosła się z kolan dziewczyna i, na równe nogi stanawszy, pędziła jak szalona, dalej i dalej... Wiatr wiewał jej chustką jaskrawą i zarzuconym w tył włosem, a białonóżka zdawała się też wiatrem być, wiatrem, niosącym kwiat dziki, na bagnach zerwany...

Nagle, od strony gościńca rozległo się echo dalekiego strzału. Daleki był, bardzo daleki, a przecież dosłyszeli go wszyscy. Nawet Ginta zatrzymała się w szalonym biegu i szybko skoczyła na trawę. Jeden z cyganów przypadł ku ziemi, ucho do niej przyłożył i słuchał.

— Od Girnik, z tej strony góry—rzekł. Słuchał znów chwilkę.—Na koniach—dodał.

Zmarszczył się Jur Chmiel i zamyślił nieco, poczem wydał szybkie rozkazy. Wnet tabor w las spędzono, brykę zatoczono w zarośla, rozrzucone ognisko przyduszono ziemią, nabito pistolety i gotowano się do obrony na wszelki przypadek. Jakoż dał się wkrótce słyszeć tętent galopującego co pary jeźdźca, a w chwilę potem blady, zakurzony, bez czapki, z roztarganą na piersiach koszulą i jakimś dzikim ogniem w czarnych oczach, ukazał się... Julek Rożnowski. Pod nim biały od piany, przedziwnego składu koń, który, nagle uzdą targnięty, w ziemię się wparł szeroko, chwytając powietrze krwawemi chrapami. Chłopak zeskoczył, oczyma szukając Chmiela. Ręce mu czegoś drżały, uśmiechał się i zagryzał wargi. Na delikatne jego, w pół dziecinne skronie wystąpiły dwie drobne, czerwone plamy. Biesiadnicy przypatrywali się ciekawie to wierzchowcowi, to pięknemu chłopcu, a najciekawiej wodziła za nim oczyma Ginta, stojąca w koszuli swojej u przygasłego ogniska.

Chmiel też rad był wielce; konia kazał trawą wytrzeć i zwolna wodzić przed sobą, chłopca po ramieniu klepał i czekał, aż tchu chwyci, a zacznie opowieść swoją. Tymczasem znowu padł strzał; tym razem bliżej nieco...]

— Gonią...—szepnął Julek.

— A goniał!—odrzekł Jur.

— Gdyby tak... trafili...—mówił urywanym głosem zmęczony jeszcze chłopiec.

— A zkad?—spytał nagle Chmiel.

— Z Lidowian.

— Z Lidowian? Żle! — krzyknął Chmiel, trzasnawszy w grube palce. — Mają po drodze Kirkiliszki i Szwaby. Widzieli ciebie?

Chłopak rzucił ramionami.

— Wiatr w polu widzieli!—rzekł.

— Którędyżeś jechał?...

— Do błot, Wiewirzańskim szlakiem... potem na Dratwiński las...

— Żle! żle! — mruczał Chmiel, marszcząc się coraz groźniej.—Wiewirzańskim szlakiem po piętach cię dojadą. Na Dratwinach siedzi gajowy z komisarskiej sfory... gotowa bieda! Jakżeś jechał potem?

— Albo ja wiem! przez las, przez bagna... Strzelali już!

— Złodzieje!...—rzekł Chmiel z akcentem głębokiej wzgardy w głosie. Myślał chwilę, potem dodał:—Nie miarkujesz, wielu ich było?

— Nie było wielu!... Dwa czy trzy razy we trzech strzelali, potem we dwóch... potem jużem nie słyszał nic, tylko mi wiatr koło głowy chodził...

Wstrząsnął się chłopak, było mu czegoś zimno...

— Chcesz wódki?—spytał Chmiel.

— Chcę wódki...—powtórzył Julek machinalnie. Stary odwrócił się.

— Ginta!—zawołał—przynies-no tu...

Nie domówił jeszcze, kiedy w dwóch miejscach

dano strzał po strzale, razem prawie. Widocznie nawoływano się w puszczy. Cyganie spojrzeli po sobie...

— Cóż to!... — krzyknął zapalczywie Chmiel. — Chcą nas tu wziąć obławą, jak wilków? Hola! dorzucić ognia! Poświecimy ichmościom.

I już się sam po drwa schylał, kiedy nagle, oslepiając mu oczy kłębem dymu, zerwał się świszczący, przeraźliwy wicher, od którego puszcza zatrzeszczała w sobie, jakby w korzeniach ruszona. Grzmot się ozwał daleki, przeciągły zrazu, potem coraz bliższy, coraz gwałtowniejszy, krótszy...

Powietrze ściemniało jak smoła, a taki huk i szum poczał borem isę, jakby się świat walił. Gieły się stare dęby, skrzypiąc przeraźliwie, garście liści i piasku w powietrzu się kręciły tumanem, a trzaskawica rosła z niesłychaną siłą. Do łomotu burzy mieszało się przenikliwe rżenie koni i wycie wilków ochryple, przeciągle...

Oddalające się strzały padły raz jeszcze, poczem wszystko ucichło. A w ciszy tej można było dosłyszć zapamiętałe granie siedzącego pod beczką skrzypka, o którym wszyscy dawno zapomnieli. Nagle puścił się deszcz ulewny, pioruny poczęły gęsto bić, puszcza stanęła w ogniu. Skupiono się w gromadki; wystraszone kobiety chowały głowy pod fartuchy, pod brykę, przysiadłszy skulone na ziemi... Deszcz lał, jakby się chmura zerwała, grom padał za gromem, czerwone błyskawice latały w powietrzu jak węże, a w przeraźliwym ich świetle widać było żegnającego się pobożnie Julka i małą cygankę, przytuloną do ramienia jego. Dwoje dzieci, dwoje sierot zgubionych wśród burzy i nocy.

Burza ta wszakże, jakby zawołana, przychodziła na ratunek zagrożonej szajce. Teraz można było być pewnym, że się nikt nie waży wejść w głąb puszczy, przez wezbrane deszczem trzęsawiska, w pośród łomotu walących się drzew i galezi.

Jur Chmiel przecież ciągle zdawał się być niepokojnym. Zaledwie też cokolwiek w powietrzu ucichło, tak, że się dosłyszć było można, podszedł do Julka i potrącił go. Chłopak drgnął—myśli jego były teraz daleko ztąd; przecież na dotknięcie Chmiela zbudził się i słuchał.

— Uważaj sobie, chłopcze, co ci powiem—mówił Chmiel. — Po strzałach miarkuję, że ta psiarnia poszła na Kirkiliszki, a może i na Szwabę. Puchalec ma tam dziś ze stadem ściągać... Spotkają go, jak Bóg w niebie. — Oparł ciężko rękę na ramieniu chłopca i mówił dalej:—Trzeba go uprzedzić, zatrzymać... Przez błota możnaby jeszcze. Ty świeży, nie znają ciebie. Masz serce jechać?

— Coby nie miał mieć? — odrzucił z fantazją chłopak.

— Białonóżkę weź—szepnęła Ginta.

— Pojedziesz tedy przez Truchlińskie bagno.

— Pojadę na białonóżce—przerwał Julek.

— Przez Truchlińskie bagno jadąc, miej się ciągle w prawo, w prawo, aż do Poręby... Porębę ominiesz, i w las... potem, najgorzej potem, bo trzeba przez pastwiska miejskie...

Julek machnął ręką.

— Ojej! wielka rzecz! Jeszcze ciemno będzie! Chmiel podniósł głowę, spojrzął w lewo, spoj-

rzał w prawo, wiatru nosem pociągnął, a że deszcz ustawał nieco, zwrócił się do chłopca i rzekł:

— Na Szwaby musisz zdążyć przede dniem jeszcze. Puchalec niech mi się pchnie co pary na Kurtowski młyn. Ja tam będę. Ty albo z nim, albo mu rzucaj konia, a sam się przytaj gdzie, choć do nocy...

Umilkł—i myślał, coby mu zalecić jeszcze. Tymczasem Ginta trzymała już białonóżkę, podając chłopcu drugą ręką kawał dery, z Chmielowego legowiska ściągniętej. Burza cichła. Dalekie grzmoty rozlegały się głucho po lesie. Szerokie błyskawice zrzadka zapalały niebo. Julek skoczył na konia.

— Niech się prowadzą Giejsztowym szlakiem — dodał jeszcze Chmiel.—Byle z oczu...

Chłopak z miejsca zaraz ruszył tęgim, wyciągniętym kłusem; a kiedy już był daleko, stary, złożywszy ręce przy ustach, huknął za nim: „Puszczaj!...”

III.

Dniało. Ranek po burzy we mgłach wstawał, chłodny, spóźniony. Chmury się jeszcze wlokły po niebie tu, to tam; wiatr pociągał od wschodu, z liści okapywały dżdże nocne, zbite trawy leżały pokotem. Gdzieś odzywał się piskliwie ptak zbudzony, ale jak okiem zajrzeć pustka była wszędzie, tylko się wrony pod lasem włóczyły, kracząc i podrywając ciężko od ziemi mokremi skrzydłami. Puszczą ciemniała na widnokręgu, w uciszeniu głębokiém stojąc — mroczna i sina. Bliżej, z błot i oparzelisk podnosiły się mgły gęste, majaczące w kłęby, w słupy i unoszone wiatrem ku zachodniej stronie. Na prawo od oparzelisk jechał Julek, zwolniwszy nieco biegu białonóżce, która też mocno robiła bokami, puszczając z nozdrzy lekką, siwą parę.

Chłopak klepał żrebicę po szyi, folgując jej zmęczeniu. Kawał drogi już upalił, i—jak dotąd—szczęśliwie jakoś. W Kirkiliszkach, które pierwsze leżały na trakcie pogoni, mogącej wracać tędy z lasu, stanął za nocy jeszcze.

Ale nie było tam Puchalca. Zapukał tylko do do Chaima, co na karczmie siedział, a znał się z Chmie-

lem,—i, chwyciwszy języka, ruszył dalej. Trzeba mu było teraz dostać się na Szwabę Starowiery, gdzie była główna kwatery szajki i gdzie się napewno miał z Puchalcem spotkać. Ośmielony pustką i wczesną dnia porą, wyjechał Julek na drogę świeżo deszczami splukaną, pełną głębokich wybojów środkiem, a po bokach mającą twardo udeptane przydrożki. Nad drogą siedziały gęsto wierzby zmurszałe, obyczajem swoim wykrzywione każda w inną stronę. Pomiedzy wierzbami temi stały gdzieniegdzie poczerwiałe od długich słońsk krzyże, a na nich, skrzypiąc, obracały się za wiatrem Piłatowe kurki blaszane. Zdała widać było rzecznią łachę, która się od Łukni odbiła, idąc kręto w łąki,—za nią pastwiska miejskie, przez które miał się chłopak przeprowadzić,—a jeszcze dalej majaczyły topolami swemi Szwabę Starowiery.

Kolonia to była znaczna, rozbudowana szeroko, sadami przerosła, błękitna od łąk w wiosenną porę, od pszczoł brzęcząca po sianozęciach i pożytkach miodnych. Jałowcowe dymy gęsto z niej pod wieczór szły, a z końca w koniec oszczekiwały ją burki i pokurcie zjeżone, ujadając zawzięcie z pod każdego płota. Kolonia zażywała w okolicy złej sławy. Mówiono o niej jako o gnieździe przemytników, złodziei leśnych i konskich. Nocami wjeżdżały tu i wyjeżdżały podejrzanym bryki, wieczorami roilo się od włóczęgów: chłopów, żydów, cyganów... Głównym wszakże punktem ruchu i życia kolonii była sadyba Chmielowa, ku lasowi nieco wysunięta z rzędu innych domostw, ale nieczem się od nich nieróżniła z wierzchu. Tutaj to stary Jur Chmiel miał formalne biuro i prowadził rozległe interesa to sam, to przez agentów swoich. Jesli

o uczciach w Kurtowiańskiej puszczy mało kto wiedział, głośno za to szeptano, że na Szwabach Starowierach znaleźć można ślad każdego skradzionego w okolicy konia, czasem nawet konia tego odzyskać. I rzecz dziwna, a jednak bardzo naturalna — w miarę jak wieści takie rozchodziły się pomiędzy ludem, staro Chmiela otaczał rodzaj jakiegoś, z obawy zrodzonego szacunku. Bywa tak. I nie na Żmudzi tylko.— Jur Chmiel prowadził tedy w domostwie swoim życie bardzo czynne. Od rana do nocy, a raczej od nocy do rana, przyjmował raporty, wydawał rozkazy, wysyłał wierników i gońców. We dnie też miewał jakieś wybieżki, to po drzewo do lasu, to na jarmarki dalekie, to się gdzieś u granicy włóczęc... Agentom jego opłacali się chłopci na jakie dziesięć, piętnaście mil wokoło; to też w najbliższym promieniu Szwabów mało ginęło koni. Ale żadna może strona Żmudzi nie miała tylu, co zakątek ten, wróżbów i znachorów, którzy umieli przybywającym z najodleglejszych okolic klientom wskazywać skuteczne drogi do odzyskania poniesionej straty, naturalnie za dobre pieniądze. Nie każda się przecie zguba znajdowała. Najpomyślniejszy obrót rzeczy brały wtedy, kiedy czujność policyi była zbudzona znaczniejszą jakąś kradzieżą, kiedy owies podrożał, a na jarmarkach pruskich konie lichy płacili. Byli nawet szlachcice, którzy doroczną kontrybucję szajce przez faktorów składali i dobrze się z tem mieli.

Zdarzyło się wszelako, że jeden z magnatów okolicy, któremu skradziono cennego konia, przybył wprost sam na Starowiery do Chmielowej sadyby i rzekł:

— Koń mnie zginął, panie Chmiel. Z pod wierz-
Cztery nowe.

chu, rasowy, kary. Nie utrzymuję, żebyś pan o nim wiedział, ale na wypadek, gdyby tak było, honorowo pana pytam, czy sprzedany, gdzie i za jaką opłatą odebrać go można? Tajemnicę słowem ręczę.

Wyprostował się Chmiel i rzekł:

— Panie grafie, koń jeszcze niesprzedany. Pięćset rubli graf za niego dasz.

— Dla Boga! — krzyknął graf. — Pięćset rubli? Za własnego konia? Zastanówże się, panie Chmiel.

— Jużem się zastanowił. Koń najpierw teraz nie pański, a potem, ja znawca, wart dwa razy więcej...

— Ale to nie może być, żebym ja tyle pieniędzy płacił, kiedy sam tu, honorowo przybyłem...

— Jeżeli graf honorowo przybyłeś, nie trzeba mnie było pytać, ile masz płacić...

— No, chciałem coś dać... Sto rubli dam...

Graf do kieszeni sięgał.

— Pięćset, powiedziałem.

— Zmiłuj się, panie Chmiel! Ze skóry mnie drzesz!... pięćdziesiąt jeszcze dolożę...

— Powiedziałem, pięćset! Ja też swój honor mam. Jeśli już o pieniądzach była mowa, niechże to będą pieniądze, nie żarty.

— No, dwiesięcie! Jak mi Bóg miły, więcej nie mogę. I tajemnica, na to moje słowo. Pan też nie masz potrzeby rozgadywać, żem tu był...

— Za słowo biorę — z flegmą odparł Chmiel. — Targów nie lubię, o pieniądze nie dbam.

To mówiąc, wyszedł z izby, a po chwili w sadzie dał się słyszeć strzał. Graf wybiegł jak oparzony. Na trawniku, pod wielką jabłonią, leżał we krwi kary

jego wierzchowiec. Chmiel stał z dymiącym pistoletem w ręku.

— Słowo, panie graf — rzekł. — Honorowo sprawę kończymy. Ani konia, ani pieniędzy nie biorę.

Nie wiadomo, kto tę awanturę rozgadał, graf czy Chmiel, chociaż jój tajemnicy interes koniokrada, a grafskie słowo strzedz były powinny, — dość, że kursowała ona w czasie swoim szeroko, od Szawel aż do Tylży — i dalej.

Już to do szlachty czuł Chmiel nienawiść szczególną. Powiadano, że poszła ona z wielkiej miłości. Bo i to się trafia. Kiedyś, kiedyś, pokochał się był Chmiel w pięknej pannie Magdalenie Rosieńskiej z Rosieńskiego zaścianka. Ale ojciec mu jój odmówił i nazwał go obelżywie: lykiem, córka też na gbura patrzeć nie chciała i wkrótce jakoś wyszła za mąż za Imci pana Wincentego Rożnowskiego, o którego losach jużemy nieco słyszeli.

Jur zapalał nienawiścią dla całego rodu. A nie tylko dla rodu, dla stanu także, a puściwszy się z desperacji, jak powiadał, na ladajakie życie, wżgardą za wżgardę płacił, dla pani Magdaleny Rożnowskiej osobną zemstę w sercu chowając.

— Będiesz ty jeszcze patrzeć — mawiał przez zaciśnięte zęby, — jak ja ci odszlachcę jedynaka twego... Jakem Chmiel! ostatni to będzie z twego rodu! Ale mu szlachcicem umrzeć nie dam!... Zgubię, sponiewieram, zaprzepaszczę!...

Robiąc pończochę u okienka swego, nie wiedziała biedna wdowa, jakie ją oplatają sieci. Syna wykołysała, wychuchała jak mogła, najpierw dzieckiem na ręku, potem zaczął w szkole... Zdawało jój się, że

sobie chlubę i pociechę hoduje... Na swój też sposób otwierała chłopcu duszę do pięknych i dobrych rzeczy. Nawet szlachectwo swego rodu — pomimo owęj puszeki blaszanęj — pojmowała poprostu i uczciwie. Zdawało jęj się, że kto szlachcicem jest, ten musi iść gdzieś daleko, daleko, i wrócić, jak Abrajtys stary, z pustym rękawem u mundura, albo też, jak jęj bracia, nie powrócić wcale. Tak ona hodowała syna, takięj po nim pociechy czekała, ale się nie doczekała. Stary Chmiel żył i pamiętał.

Zdawna on już zaczął podchodzić chłopca, traktamentem wabić, pochlebiać, to słówkiem, to usługą zyskując nad nim coraz więcej wpływu. Nareszcie poczał go wciągać do tajemnic swojego rzemiosła — to go z przemytnikami wyprawiał, to na czatach stawiał, to po wieści wysyłał kędys, a bujnego, krewkiego temperamentu chłopiec znajdował w tém życiu wesolém, hulaszczém, pełném przygód, niespodzianek, uciech drażniących, niebezpieczeństw nawet, sumę takich rozkoszy, jakich mu wcale nie dostarczało matczyne poddasze, i ani się spostrzegł jak został współnikiem sławnej Chmielowęj szajki. Niekiedy wprowadzie, patrząc na matkę, która się coraz bardziej pochylała i bladła, doznawał wyrzutów sumienia. Gorąco wtedy całował jęj ręce, jęj nogi, a nocą wzdychał na tapezanie swoim. Ale momenty takie przygodne były i krótkie. Niech tylko na niego spojrziała czarnooka Zużka, a wnet się w nim budziły wszystkie złe instynkta, rozdmuchiwane starannie przez Chmiela. I teraz oto, jadąc przez pastwiska miejskie, myślał o pięknej dziewczynie. Gdyby zboczył z drogi, mógłby ją choć na chwilkę zobaczyć. Spojrzał w niebo. Szaro było jeszcze, brzask

ledwie, naokoło pusto, bezpiecznie. Targnął uzdę, popędził w bok, i w chwilę potém wiązał białonóżkę u wierzby za śliwowym sadem. Uwiązawszy — przez płot skoczył i ku domostwu spojrział. Tu wszakże uderzył go widok niezwykle o tęg porze — między dniem a nocą. Małe, szczytowe okienko na poddaszu było otwarte, a w niém siedziała blada, stara kobieta, utkwivszy w zmierzchach sadu stroskane, bezsenne oczy. Pod okienkiem stał na jednej nodze zóraw i, podjawszy głowę, na kobietę patrzył. Krew buchnęła do twarzy chłopcu. Zdawało mu się, że go ktoś za gardło ściska... podbiegł — chciał przemówić, zawołać, gdy wtém spojrział na drzwi do traktyerni wiodące... Spuścił oczy, wahał się chwilę — zacisnął pięście, paznokcie sobie do krwi wbijając w dłonie — poczem podniósł głowę, obejrzał się — i niepostrzeżony skoczył powitać piękną Zużkę Sas.

Tymczasem dzień wczorajszy i ta noc ostatnia przyniosły ważne w miasteczku odmiany. Odmian tych nie domyślał się ani Chmiel, wyprawiający towarzyszym swoim Fokusowe święto, ani tém mniej — Julek.

A ot, jak się to stało.

Od pewnego już czasu Starowerska banda zaczęła zwracać na siebie powszechną uwagę z powodu — jak się wyrażały raporta — „licznych i zuchwałych kradzieży.” Najpierw zaczęli sarkać chłopi. A kiedy Żmudzin sarka, to albo mu się coś poprawić musi, albo on sam zginie. Rok był ciężki... żyta wymiękły, kartofle nie obrodziły. Piąty, dziesiąty ledwie mógł się opłacić agentom Chmielowym. Poczęły tedy ginąć

chłopskie podjezdki ze stajen, z pastwisk, z brony niemal. Kręciły się Żmudziny jak węże, a siaki taki do znachora szedł, choć z kitką lnu, choć z jajkiem, jeżeli grosza nie było w chałupie. Ale znachory straciły wszelkie rozumienie, poprostu pogłupiały jakoś w tym ze wszech miar ciężkim roku. Szkapy formalnie okazały się być nie do odszukania. A kiedy się tak trafiło dwa, trzy, dziesięć razy — zawrzało we wsiach okolicznych, jak w gniazdach ruszonych szerszeni. Ciężka bo też krzywda działa się biednemu ludowi. Był taki, co ostatniej garści zboża nie miał czém zwieźć z pola; inny nie miał czém podorać, czém odwrócić ugoru... Bieda była wielka, a zanosilo się na jeszcze większą biedę.

Już się nawet zbierały Żmudziny isć do urzędu ze skargą gromadną, ale że to były ogórkowe czasy, więc jakoś i tam nie wskórać nie było można... Nie podobna przypuszczać, żeby o tej całej burzy, zbierającej się nad szajką, Chmiel nie miał wiedzieć. Wiedział owszem. Ale przez tyle już lat uchodziły mu jego sprawy, tak się napatrzył niezaradności, niedołęztwu, niemocy wszelkiego rodzaju, że cała ta krucjata biednych Żmudzinów wydawała mu się tylko o tyle niedogodną, o ile, zamiast gotowego haraczu, operacje bandy przynosiły mu wiele strachu a mało zysków za sprzedane od ręki podjezdki. O czém wszakże Chmiel nie wiedział, to o tém, że Puchalec, zbywszy na własne ryzyko część taboru u granicy, pieniądze puścił, zdradził go i od wczoraj siedział w miasteczku, organizując wielką obławę, której jedno skrzydło opierało się o Kurtowiańską puszcę—i jego to właśnie pogoń ostrzeliwała tej nocy Julka Rożnowskiego, a drugie

zachodziło rozrzuconym flankiem ku koloniom, które były głównymi etapami bandy. Skrzydło to, trzymając się ciągle błot i oparzelisk, obejmowało sobą Szwabę-Kirkiliszkę, Szwabę-Starowiery, Chodyńce i Kurtowski młyn. W Kirkiliszkach obława nie znalazła nikogo. Przezorny Chaim wyniósł się gdzieś nad ranem, a zięć jego na popiele siedział. W Chodyńcach zabrano dwu pijanych, broniących się do upadłego chłopów, którzy wprawdzie Bogu ducha byli winni, ale mieli nieszczęście pobić kiedyś Puchalca w jakiejś osobistej rozprawie.

Kiedy z Chodynec ruszono, rozdzielili się obławnicy na dwa oddziały; jeden, prowadząc jeńców, ku Starowierom się puścił, a drugi, z Puchalcem na czele, chyłkiem dążył pod Kurtowski młyn. We młynie były chrzciny. Krzyk, tartas, kapela. Wezbrana świeżą burzą na Kurtówce woda przewalała się przez koła z ogromnym szumem; pijany parobek u stawideł leżał.

Ledwo się obławnicy ukryli w zaroślach, a Puchalec miał właśnie do środka isć, kiedy od błot z pod lasu dał się słyszeć szybki tętent konia. Wstrzymał się Puchalec i patrzył; a przypuściwszy jeźdźcę na donośność głosu, podwakroć huknął jak sowa. Odhuknął mu Chmiel, którego już teraz rozpoznać było można, że się tak wszystko dzielnie składa, konia puścił, podjechał i już miał zsiadać, kiedy nagle obławnicy skoczyli do niego. Jur chwycił pistolety, raz tylko spojrział—i, nie mierząc prawie, pierwszym strzałem położył na miejscu Puchalca, poczem w strzemionach stanawszy, zabierał się do śmiertelnej walki. Jakoż strażnik, który mu konia chciał za uzdę chwycić, padł twarzą w ziemię, ugodzony od drugiego strzału. Za-

nim wszakże zdążył Chmiel wystrzelić raz trzeci, ściągnięto go z konia i broniącego się wściekle—związano. Cała ta walka odbyła się w najgłębszym milczeniu; słowa nie wyrzekł nikt; jeden tylko strażnik jęknął głucho, padając w trawę zroszoną... Parobkowi młynarskiemu śniło się właśnie, że wał pękł, zerwał się tedy i zaczął przecierać oczy. Nic jednak dojrzyć nie mógł oprócz stu świec jarzących, które mu nagle zaiskrzyły w głowie. Był to jeden ze ślepych razów Chmiela, rozdzielanych na prawo i na lewo ogromnym juchtowym butem.

We młynie tańczono do upadłego.

Kilka gwiazd na zachodzie gasło, a wezbrana woda przewalała się przez koła młyńskie w białych pianach, z wielkim hukiem i szumem...

Tymczasem, opóźniony nieco w swęj drodze, leciał Julek na Starowiery, nagłąc białonóżkę do pośpiechu. Leciał jak wiatr, a takie miał uczucie, jakby mu się włosy na głowie paliły. Słońce już wzeszło i trzody po pastwiskach ryczały, a on nie znalazł jeszcze Puchalca, nie ostrzegł go, nie zwrócił taboru. W myślach miał dziwny, gorączkowy zamęt. Ogromna postać Chmiela, puszcza, twarz matki blada, burza, Ginta, oczy Zużki, żóraw kulawy—wszystko to migало przed nim, wierząc w mózgu. Chwilami zdawało mu się, że słyszy granie zacieklego skrzypka z cygańskiej kapeli, to znowu starą, starą pieśń, z okienka poddasza płynącą. W uszach mu szumiało; wyraźnie go ktoś wołał cichym, żalonym głosem. Zatrzymał konia i obejrzał się. Nie... nie było nikogo. Tylko wielki dzwon w miasteczku począł bić, bić... bić... Przyszło

mu na myśl, że to umarłemu dzwonią, i mimowoli szepnął: „Wieczny odpoczynek.” Szepnąwszy, rozśmiał się i wzruszył ramionami. Starowiery były już blisko, zdawało mu się, że dostrzega jaskółkę, która tam nad stawem lata. Wzięła go nagle ciekawość, czy téż i domostwo w miasteczku widać jeszcze. Ściągnął uzdę. Odwrócił głowę i, wyteżywszy wzrok, obaczył otwarte okienko... A wtedy uczuł jakieś śmiertelne znużenie, jakąś ogromną tęsknotę. Usta mu wyschły, powieki opadły ciężko.

Ogarnęło go gwałtowne pragnienie snu dobrego, cichego snu dawnych lat, u kolan matki, która tam przy okienku owém w bezsennéj trosce siedziała. Był jak dziecko, które zajdzie gdzieś bardzo daleko, boi się i nie ma siły powrócić. A dzwon tymczasem huczał, przeciągły, jęczący...

Nieludzie, sto, tysięcy dzwonów, a wszystkie w jego zawieszone głowie...

Białonóżka dopędzała Chmielowę sadybę. Nagle uczuł Julek gorącość wielką w gardle i w skroniach, zachwiał się, krzyknął przenikliwym głosem i zwałił z konia na głowę u wrót, za którymi przyczajeni obławnicy czekali.

IV.

Jarmark był tego dnia w miasteczku. Łuknickie jarmarki miały swoją sławę. Zjeżdżano się na nie tłumnie i z daleka. Jedni kupowali, drudzy sprzedawali, inni—ot tak, szczęścia albo guza szukali. I znajdowali tam wszyscy, co kto chciał. A jeśli kto nie kupił, nie nie sprzedał i nie upił się nawet, no, to go przynajmniej wyszturchano w ciżbie, wrzaskiem ogłuszono, okradziono czasem. A tak, każdy tam miał satysfakcję jakąś.

Dziś spodziewano się większego zjazdu niżli kiedykolwiek. Podwójna bowiem uroczystość przypadała: jarmark i odpust sierpniowy na Ścięcie św. Jana. Od rana tedy dzwonnik, którego święty ten patronem był, nasmarowawszy—jak powiadał—serce, co zresztą odbywało się w sposób arcyniewinny, zapomocą wychylonego naczeczka półkwatka, wszedł na trzeszczącą dzwonicę u fary, przy mocnym łajaniu swojej Małgosi, która znowu ze swjej strony co rano wypijała kieliszek tak zwanej przez siebie: „mamrotki.” Wszedł i uderzył w wielki dzwon, z powagą rozstawiwszy cienkie swoje nogi.

Dzwon huknął, a głos jego odbił się kędyś aż

u Powodeńskich gór... Słyszac to, ludzie przyspieszali kroku, poganiali konie; powietrze było pełne nawoływania, krzyków, gwaru; przecież nad całą tą, w tysiąc tonów rozstrzeloną wrzawą górował dzwon. A głos jego był dziwnie żalony, jęczący, skarżył się czegoś, i gromił, i płakał...

Dosłyszała go pani Magdalena Rożnowska, siedząca u okienka swego w bezsennj trosce, a dosłyszawszy, podniosła się, poprawiła wdowią suknię spłowiałą, zarzuciła chustkę na głowę i wyszła. Że to był jarmark—nie wiedziała nawet. Szła, bo serce miała ciężkie jak kamień, bo ją te dzwony wołały, bo chciała upaść przed Bogiem i płakać, płakać... Przechodzącą przez sad śliwkowy zobaczył zóraw, więc pokulał za nią koszlawy, śmieszny, obłocony od nocnej szarugi.

Kobieta szła zwolna, krokiem chwiejącym się po bezsennj nocy. Dawno już nie wychodziła z swj izby. Zaledwo jednak znalazła się w ulicy, minęły ją dwie kumoszki z przeciwka, trącając się wzajem łokciami:

— Patrz pan! — rzekła jedna półgłównym szepem.—To ta Rożnowska, matka tego Rożnowszczyka, co to pani wie...

— Wiem, wiem, moja pan! Co nie mam wiedzieć? Wszyscy wiedzą. Albo to sekret?

— A choćby i sekret! — przerwała zapalczywie pierwsza.—To pani może myśli, że ja sekretów nie wiem? Ho, ho! moja pan!...

Wdowa nie słyszała reszty. Przyspieszyła kroku, zmieszana i zarumieniona lekko. Ten rumieniec na wyschlęj, zwiędłej twarzy starj kobiety wydawał się dziwnie i smutnie.

Na drodze jój stało kilku mieszczan w kapotach.

— A kto ich wie!—mówił jeden, stukając palcem w denko tabakierki, — powiadają, że strażnika zabili...

— Ale gdzież znów strażnika!—podchwycił drugi; — to wcale nie był strażnik, tylko chłopak tej szlachcianki z przedmieścia, co też się z nimi znał...

Idącą kobietę mróz przeszedł. Stała i otworzyła usta, chciała spytać o coś, sama sobie z tego co czyni sprawy nie zdając... gdy wtém jeden ze stojących odezwał się znowu:

— Co? ten chłopak? Bodajże was, a toć to dzieciuch jeszcze.

— A śliczny mi dzieciuch — rzekł drugi, — co konie kradnie! To tak, jak ten słowik, co cieleła dusi!

Rozśmieli się.

Kobieta odstała od nich w przerażeniu jakimś. W głowie jój się mąciło. Zeszła w boczną uliczkę, a idąc, śpieszyła się czegoś, coś ją gnało. Nasunęła chustkę na twarz, przemykając się chyłkiem pod domami. Za nią utykał żóraw, wlokąc opuszczone skrzydła. Nie uszła jeszcze stu kroków, kiedy znajoma mleczarka zawołała za nią:

— Pani Roźnowska! Pani Roźnowska! podobno tam chłopaka pani złapali...

Wdowa odwróciła głowę, popatrzyła na mleczarkę osłupiałym wzrokiem, a potem głucho jęknęła i o mur się wsparła... A kiedy stała tak, gruba burmistrzowa, idąca z wielką złoconą książką do kościoła, otarła się o nią zbliżka.

— Cóż to, moja jejmość, stoisz tu jak ślup?—za-

piszczała wzgardliwie. — Nie widzisz, że osoba idzie? Jeszcze z takim zabłoconém ptaszyskiem! Patrzcież, moi państwo!...

Państwa tam wprawdzie żadnego nie było i dlatego nie slyszeli wezwania grubój burmistrzowej. Ale i wdowa nie slyszala też nic zgoła. W uszach jój szumiało, przed oczyma latały jakby płatki śniegu czarnego...

Bezwładna była, blizka zupełnego omdlenia. Jedną tylko, niejasną myśl miała w tej chwili — zebrać siły i do domu wrócić... Tymczasem pchający się tedy tłum ludzi uniósł ją z sobą w rynek, gdzie posługacz z magistratu, z wielkim czerwonym nosem i niebieską chustką na szyi, obębnił z powagą przynależną urzędowi swemu licytacyę in plus na stare rzemienie w magistracie. Ale zapisaném było w księgach przeznaczenia, że licytacya ta nie dojdzie dzisiaj do skutku. Zaledwie bowiem podniósł paleczki i, szeroko otworzywszy usta, zabrał się do ogłoszenia jój warunków, kiedy chłopaki od Grzmota, szewca z Szydłowieckiej ulicy, dojrzały panią Magdalenę Roźnowską i jój kulawego żórawia, a kilkanaście piskliwych głosów zaczęło wołać: matka złodzieja! matka złodzieja!...

Całe zbiegowisko, zapatrzone w otwarte usta pacholka magistratu, obróciło się teraz w stronę kobiety, która krzyknęła przeraźliwie i uciekać chciała... Zatomowano jój drogę. Powstał zamęt, gwar nie do opisanania... Chłopaki wrzeszczały jak kanięta, szarpiać na wdowie suknię, targając jój chustkę spłowiałą; inni piaskiem na nią i na żórawia rzucali. Ci, co bliżej docisnąć się nie mogli, opowiadali nadbiegającym, jako to jest sławna złodziejka, którą teraz właśnie przy

straganie złapano. Jeszcze dalsi zaprzeczali temu, obśnając, że nie przy straganie, tylko przy puszcze w kościele, i że to jest chłop przebrany. Kobieta stała w tłumie jakby skamieniała, wyciągnąwszy przed siebie wyschłe swoje ręce. Siwe jój włosy opadły wzdłuż twarzy, oczy miała szeroko otwarte, nieruchome, szklane. Przy nogach jój bił w skrzydła oślepiiony piaskiem Ultimus, krucząc groźnie... Zgiełk wzrastał — i nie wiadomo, jakby się to wszystko skończyło, gdy wtém z bocznej uliczki dał się słyszeć okrzyk: prowadzą ich! prowadzą!

Żywa fala głów zwróciła się za tym okrzykiem. Ale kobieta posunęła się teraz kilka kroków przed tłumem, pehnięta jakąś nadludzką siłą. Oczy jój ciskały błyskawice; ręce trzymała przed sobą sztywno wyciągnięte, jak to czynią ślepi. Szła, jak idą wielkie tragiczne postacie — ona — wdowa licha, chwilą przedtém przez uliczną gawiedź szarpana. A taki majestat był jój głowy siwej, że wszystkie usta zamilkły i nikt nie śmiał dotrzymać jój kroku. Wtedy wpośród złowrogięj ciszy ukazał się w bocznej uliczce silny konwój żołnierzy, a między nimi szedł z obnażoną głową, na ręce zakuty, blady, chwiejący się, napół obłąkany chłopiec. Żołnierz, idący za nim, popychał go karabinem i kłutwą.

— Julek!... — krzyknęła przeraźliwie matka, a krzyk jój był ostry, nieludzki prawie, do ryku zranionego zwierzęcia podobny. Chłopak zarumienił się lekko i schylił głowę na piersi. Wtedy z niesłychaną siłą rzuciła się wdowa do syna, ale żołnierze odepehnęli ją kolbami. Zatoczyła się kilka kroków, ogłuszona, i o mur ciężko uderzyła głową... Julek się porwał,

chciał ratować matkę, ale straż nie dopuściła tego, nie mogła dopuścić... Wówczas to nieszczęsny chłopiec odwrócił głowę i zapłakał, a jasne, wielkie łzy spadały mu po twarzy i po drżących ustach. Przeprowadzono go już — a jeszcze cicho było wkoło, jak po umarłym. Naraz ktoś krzyknął: Chmiel! Chmiel!... Zakipiało w tłumie. Żywa fala głów i rąk wzniesionych uderzyła w uliczkę z groźnym szmerem. Tam, pomiędzy dwoma karabinami, otoczony strażą dokoła, szedł z podniesioną głową Jur Chmiel, rzucając bystre i niespokojne spojrzenia po wzburzonym tłumie. Stary koniokrada sztraszny był tym razem. Twarz jego wielka — sina była i nabrzękła, krwawy wzrok pałał posępnym ogniem, grube nogi z trudnością posuwały się naprzód.

Takim go ujrzała wdowa, kiedy otworzyła oczy z omdlenia. Ujrawszy go, zanosła się jakimś przyduszonym krzykiem, wyciągając ku niemu zacisnięte pięście; poczem nagle schyliła się, chwyciła kamień z ziemi i z okropnym rozmachem cisnąwszy nim w Chmiela, sama padła. Ale teraz stała się rzecz strasna. Tłum rzucił się na konwój z przeraźliwem wyciem, tratując ciało nieszczęsnej kobiety, które na próżno osłaniał żóraw, bijąc nad niém z łomotem skrzydłami.

W jednej chwili odbito Chmiela i wywleczono go na rynek, wśród wściekłych okrzyków, tłukąc czém kto miał, kamieniem, kłonicą, drągiem. Wrzask był taki, takie rozjuszenie się tłumu, że gdyby grom padł, nie słyszano by go chyba. Z rynku walili chłopci, porzucając konie, wozy; kobiety przyskakiwały jak jędze, ciskając piasek, cegły, garnki. Bronił się zajadle Jur Chmiel, pięściami bliższych tłukł, zębami rwał, głową

bódl jak tur, aż się wreszcie powalił pod razami zajądłych Żmudzinów.

A wtedy, na tę żywą i wstrząsającą się jeszcze konwulsyjnie mogiłę zaczęto ciskać gruz, błoto, kamienie, aż się podniósł stos ogromny, z pod którego wyglądała jedna ze zdruzgotanych nóg Chmiela, rozplaszczona ohydnie.

Późną dopiero nocą przywłókł się żóraw do starego domostwa i po dawnemu stawał w śliwkowym sadzie, patrząc w górę jedyném swoim osłupiałém okiem. Ale okienko szczytowe nie otworzyło się już dla niego nigdy... Wszyscy zostali przywaleni wspólnym ciężarem, on jeden tylko pozostał, on — i Julek, ostatni także. I chłopiec, jak żóraw, miał kiedyś skrzydła silne i miał dalekie, wiosną kwitnące ziemie przed sobą. Mógł zdążyć ku nim, jak żóraw ku południowi. Ale skrzydła opadły. Spuścił się na śmietniko życia, aby się brudem jego paść, brudem trującym. I kiedy mu się zdawało, że, żyjąc tak, na wiosnę czeka, na wzlot ku słońcu — on upadał. Zkąd te złe wiatry idą, co podrywają skrzydła żórawiom? I zkąd te idą, co nadłamuja duchy młodzieńcze? Nie wiem.

POD PRAWEM.

I.

Strażnik drzwi za nią zatrzasnął i klucz przekreślił w zamku.

Obejrzała się na lewo, obejrzała na prawo i ściągnęła ku twarzy grubą wełnianą chustkę, która jej okrywała głowę i ramiona.

Ulica była prawie pusta. Wróble tylko świergotały hałaśliwie pod gzymsami więziennego gmachu, zdala dolatywał huk ciężkich węglarskich wozów, a pies wartownika, chodzącego z karabinem na ramieniu przed budką strażniczą, tarzał się w kurzawie, ziewając i kłapiąc pyskiem.

Na odgłos zamykającej się furty, żołnierz odwrócił głowę, popatrzał na dziewczynę wyblakłemi oczyma soldata i znów rozpoczął swoją wędrówkę, „zapiewając” zcicha i spluwając przez zęby.

Stara żydówka, siedząca wprost więzienia przy straganie, złożonym z miski kwaszonych ogórków i miarki pestek dyni, obliczała zarobki swoje, wygarniając zaśniedziałe miedziaki ze skórzanej, wiszącej u pasa torby na wytłuszczony fartuch i mrugając szybko czerwonemi, ogołoconemi z rzęs powiekami.

Parno było. Sierpniowe słońce przypiekało mocno, jak to przed deszczem bywa. Dziewczyna zeszła zwolna po schodkach, zwróciła się na prawo, a uszedłszy kilkanaście kroków wzdłuż żółtego więziennego muru, stanęła i oparła się o niego plecami.

Nogi się pod nią trzęsły, powietrze ją odurzało. Od czasu ostatniego tyfusu miewała nagle takie zawroty, od których jęć w uszach dzwoniło, jakby na pacierze, a przed oczami robiło się czarno, jak w najczarniejszą noc.

Chwilę tak stała, kiedy lufcik kancelaryjny otworzył się z brzękiem, a w nim ukazała się kwitnąca, okolona pięknym zarostem twarz pana nadzorcy.

— Hanką! Hanką! Blacharzówna! — zawołał dźwięcznym głosem.

Dziewczyna odwróciła głowę, a w ruchu tym spadła jęć wielka owa chustka, odkrywając przerzedzone włosy ciemne i twarz szczupłą, znędzniałą.

— A chodźno tu bliżej! — przemówił życzliwie pan nadzorca.

Schyliła się, podjęła z ziemi upuszczone pod murem zawiniątko i podeszła w milczeniu do okna.

— W Sękocinach dziś staniesz, a może i w Tarczyńcu, a jutro na południe żebyś mi w Grójcu była. Księżyce teraz, możesz nocą iść.

— Pójdę, proszę wielmożnego... — przemówiła dziewczyna.

— A nie balamuć mi się gdzie po drodze, niech cię Bóg broni, pamiętaj! Prosto mi do magistratu ruszaj i melduj się „w pobyt.” Do Grójca cię posyłam, bo tam najwięcej pobytowych, rażniej ci będzie.

— Dziękuję, wielmożny panie...

— A kartki do magistratu nie zgub. Panu burmistrzowi ją oddasz, albo panu sekretarzowi, wszystko jedno. Dadzą ci tam „rozpiskę,” papiery twoje już poszły. Nie szlę cię z partą, boś się sprawowała dobrze. No, i ta noga zresztą... Jakże? boli jeszcze?

— Ii... niebardzo, proszę wielmożnego — odpowiedziała dziewczyna.

Noga wprawdzie bolała ją tak, jakby kto świecami piekł, ale nie wiedziała, czy jęć to powiedzielić wypadła.

— No, kiedy tak, to ruszajże z Bogiem! — dorzucił pan radca łaskawie i cofnął z okienka głowę.

Dziewczyna przysiadła na ziemi; wyjęła z zawiniątko starą chuścicę, w której rogu zawiązana była owa kartka do magistratu, i wsunęła ją głęboko w zanadrze, odsłaniając pierś drobną, szczupłą, i grubą niedobieloną koszulę.

Podniosła się potem, spojrzała z niepokojem na słońce, jakby miarkując, ile jęć czasu do wieczora zostało, i zaczęła przed siebie iść, zwolna zrazu, potem coraz szybciej, w miarę jak nogi jęć, nawykłe do dowolnych i ograniczonych ruchów, prostowały się i odzyskiwały sprężystość na swobodnej przestrzeni.

Odzienie jęć było nędzne. Jakaś wyblakła, nieokreślonej barwy, wystrzępiona miejscami u dołu spódnica zwieszała się z jęć wązkich bioder; fartuch miał po sobie różnobarwne łatki; szczupłe jęć ręce gubiły się w rękawach zbyt wielkiego na nią, mocno wyszarzanego kaftana; bosc nogi, z których jedna przewiązana była powyżej kostki grubą płócienną szmatką, tkwiły w niskich ciżmach; wielka wreszcie owa chustka

zdawała się ciężarem swoim całą jej postać przygniać do ziemi.

Ulica, którą szła Blacharżówna, rozciągała się na wschód i zachód miasta długą perspektywą domów i domków. Odległa od większych arteryj ruchu, chwilowo tylko huczała dalekimi odgłosami przecznicy, natężając swoje łoskoty stopniowo i stopniowo gubiąc je w oddali. Jedyny turkot, jaki się tu często słyszeć dawał, sprawiały wózki z lichym owocem, ciągnięte na szlejach przez ubogich handlarzy w brudnych chałatach i okrzykiwane wrzaskliwie przez idącego obok pomocnika. Jeżeli się zaś ukazała dorożka, wszyscy już naprzód wiedzieli, że stanie przed gmachem więziennym. Gmach ten stanowił istotnie główny punkt ulicy, a żółte jego mury rzucały na nią cień jakiś posępny. Idąca śpiesznie dziewczyna zdawała się unosić coś z tego cienia na swojej pochylonej, okrytej grubą chustką głowie. Idzie, nie podnosząc oczu od szarych brukowych kamieni, do których sama w jakiś nieokreślony sposób zdaje się być podobną. Na zachód idzie, wprost słońca, a chociaż skwar mocno przypieka, ona raz po raz ściąga ku twarzy swojej grubą chustkę, jakby pod nią zniknąć chciała. Przebiegający mimo chłopak rzeźniczy szturgnął ją kułakiem pod żebro; nie spojrzała nawet na niego, jakby to było rzeczą całkiem naturalną.

Idzie i medytuje...

...Oj więzienie, więzienie, ludzkie odmienienie!... Kiedy ją brali, zabijać się chciała, głodziła się, o mur głową tłukła. Teraz, jakby się w niej coś przemieniło, ni ona żalu, ni ona radości, ot jak ten kamień w polu.

...Trzy lata, caluskie trzy lata... Właśnie jakby jej kto u Pana Boga wytrącił...

Oj głupia, głupia, na co jej to było? Nie mogła to, jak inne dziewczęta, uczciwie służyć? Nie mogła to między ludźmi bez zaproszenia oczów, śmiało w poczciwości chodzić? A ot w jaką się oblokła koszulę! Psi by na nią wyli, żeby ją poczuli. Ojcowie by się w grobie przewrócili, żeby wiedzieli, po jakich to ona sądach, po jakich urzędach oczami świeciła...

Oj najadła się wstydu, najadła, jako pioletu, ziela gorzkiego...

Oj głupia, głupia, głupia...

Wzdycha jakimś ciężkiem, do jęku podobnym westchnieniem i, nie zwalniając kroku, kiwa głową, jakby w wielkiem politowaniu nad sobą i głupotą swoją. Naraz lekka czerwoność występuje na jej twarz szczupłą i śniadą.

...Pietrek... Gdzie się też teraz Pietrek obraca? Albo się z rudą Baską ożenił, albo ze wszystkiem na pana wyszedł. Czy tak, czy owak, już on dla niej stracony. Jako ten wiatr, co przewieje,—jako ta woda, co przepłynie, taki on dla niej stracony.

Chłopak był jak malowanie. W paletocie chodził, papierosy palił, ręce w kieszeniach trzymał, kamusze szpicami wystawiał, jak urzędnik jaki. Albo mu to i urząd dziwota? Pisarzem w gminie—powiada—był, we dworze do stołu siadał, tylko że go potem przez złość wygonili. Kiedy do niej zaczął chodzić, dziewczęta z całej kamienicy zazdrościły jej takiego kawalera. A on się tylko uśmiechał i wąsiki kręcił.—Będę się z tobą żenił, Hanus—mówi,—boś mi się okrutnie spodobała—mówi. A ona jemu: Gdzieby się zaś

pan Piotr ze mną żenił, kiedy ja biedna dziewczyna.— A on znowu: Co tam, biedna, nie biedna, to jeszcze nie wiadomo. Jak w głowie rozum jest, to i pieniądze się znajdują. W rękach chleb, u ludzi pieniądze...

Oj polubiła go, polubiła! Na śmierć polubiła. A żeby on nie klucza od pokojów chciał, ale życia od niej chciał, toby mu je dała. Tak go polubiła!

Jakoś się to już przez kwartał ciągnęło, aż tu raz państwo do teatru jadą, a mój Pietrek do niej.—Będę się z tobą żenił, Hanuś, jeno mi w tém dopomóż. Jak mi nie dopomożesz, tak idę do Baški.—A Baška służyła w trzeciej kamienicy. Co się nie naprosiła, co się nie napersadowała, a on nie i nie.—Albo ty mi dopomóż, albo mi Baška dopomoże. Dasz klucz—będę się żenił, nie dasz klucza—do Baški idę.

Aż téż i dała. Jak dała, tak mój Pietrek do pokojów, a ona ze schodów i w bramę. Nie mogła w kuchni usiedzieć. Stała w bramie i patrzy, czy państwo nie wracają, a tu ją febra tak trzęsie, że ząb zęba nie dostaje. Wyszła stróżka, zagadała, a ta ani rusz, tylko językiem zeschlým w gębie obraca, a w piersiach jój serce młotem wali, a zimno i gorąco po niej chodzi, a wszystko w niej dygocze, aż się o bramę oprzeć musiała, żeby ją z nóg nie zwało.

Niedługo czekający, patrzy, aż tu Pietrek idzie. Futro na nim pańskie, głowa do góry, kapelusz na bakier, cygaro w zębach, ręce w kieszeniach—pan a pan. Tylko mu z pod futra coś sterczy u lewego boku. Zmrok już był, ale zaraz poznała, że szkatułkę niesie. Klasnęła w ręce—Pietrek... Pietrek...—mówi. A on nie. Idzie sobie z paradą, jakby jój nie widział. Uczępiła mu się rękawa, otrząsał się tylko. Aż tu brzdęk,

wyleciała mu srebrna łyżeczka z zanadru. Schyliła się po nią.—Bój się Boga, Pietrek — mówi, — to ty i srebro?...—A on do niej: poszła won! — i ruszył naprzód, zębami tylko zgrzytnąwszy.

Zapomniała o domu, zapomniała o państwie, i poleciała za nim, jakby opętana, przez jedną ulicę, przez drugą, aż go dopadła pod ostatnią latarnią, kiedy szkatułkę pod prawą pachę przekładał. Bez pamięci była, bez tehu, w uszach jój wiatr świszczwał, w gardle zaschło, chciała krzyczeć: łapaj, trzymaj!—ale jój język jakby kołem stanął. Jak go dopadła, tak się o latarnię sparła, przeknęła ślinę i mówi: Pietrek, co ty? To ty tak beze mnie wędrujesz?—A on: Poszła, złodziejko!—I jak stał, tak się odwrócił. Załamała ręce.

— To to ja złodziejka?—mówi.—A on: Nie ten złodziej, co kradnie, ale ten, co złodzieja puszcza.—Tak ona do niego:

— Bój się Boga, Pietrek!—mówi.—Co ty gadasz? Co w ciebie wstąpiło? A przecie się żenić mamy! Pietrek! — I nuż go się czepiać i nuż lamentować. A on: Poszła nazad, suko! — Jak téż nie zaklnie, jak ją nie pchnie w piersi kulakiem, tak ją zaraz zamroczyło i na ziemię padła.

Jak się podniosła, jak dowlekła do domu, nie wie sama. Chciała zrazu uciekać, ale tak się jój zdawało, że się świat skończył za tą latarnią, gdzie ją Pietrek pchnął, i że już biec nie ma gdzie. Została. Wracają państwo, rwetes, krzyk... futra niema, srebra niema, pieniędzy niema. Trzęsą, szukają, aż znajdują u niej oną łyżeczkę w kieszeni, co ją za Pietrkiem podniosła. Jak téż znaleźli, tak zaraz na nią zakrzyknęli i do sądu ją oddali. Oj, co się ona napłakała, co się napłakała!

A przecie nie wydała Pietrka. Takie w niej było dla niego kochanie. Trzy lata przesiedziała w więzieniu, a on się ani słoweczkiem do niej nie ozwał, ani co przez ludzi nakazał... Zupełnie, jakby nie żyła. Co ją nie namęczyli, co ją nie naturbowali! Gdzie pieniądze i gdzie pieniądzel! A ona, jak ten pień przed nimi. Co sobie wspomni, jak ją pchnął, jak na nią „poszła, suko!” krzyknął, to ją ledwie krew nie zaleje i wewnętrzności się w niej przewracają, tak, że inoby zaraz wszystko powiedziała...

Aż on znów przed nią jak żywy stoi, ręce składa, i tak jakby go słyszała: Hanuś—mówi,—żenić się z tobą będę—mówi, i inne słoweczka łagodne, jakby z pod serca wybrane. I taka ją wnet żalność zdejmuję, że tylko w ziemię patrzy i nie nie gada... A tu ją po urzędach opisują, po śledztwach włóczą, z więzienia do więzienia ciągną, duszę by z niej wypruli, żeby mogli...

Aż i wysiedziała swój termin.

— Oj Pietrek, Pietrek! Oj nauczył on ją na całe życie rozumu, nauczył!

Zaciska kureczowo splecione ręce, aż jej w stawach trzeszczy, i podnosi ku zniżającemu się słońcu stroskane, głęboką obwódką podkrążone oczy.

Niech mu Bóg nie pamięta, ale ją równo skrzywdził, równo ją skrzywdził...

I z tą myślą o krzywdzie naciąga swoje chustkę głębiej jeszcze, wzdycha ciężko i, nie zważając na chorą nogę, zaczyna iść bardzo szybko.

W miarę jak idzie, wielkich kamienie coraz mniejsze, niskich domostw coraz więcej i coraz brudniejsze szynki. Tu i owdzie bawią się gromadki zasmolonych dzieci. Hanka patrzy na nie, przechodzi, odwra-

ca głowę, i nie wiedząc sama co robi, uśmiecha się do nich. Jest-to jej pierwszy uśmiech od lat trzech. W więzieniu śmiech słychać często: wyuzdany, szyderczy, idyotyczny, wstrętny, rozlega się on codziennie w izbach i po kurytarzach. Ale uśmiech jest rzeczą rzadką, niewidywaną prawie. Zapominają go nawet dzieci przy piersiach matek w siwych więziennych kubrakach, nawet umarli nie mają go na twarzy. Dzieci budzą się i zasypiają posępne, przerażone, odęte; umarli odchodzą groźni, mściwi.

Hanka spogląda na słońce i przyspiesza kroku.

Teraz po obu stronach ulicy widać już tylko parokany pobielone wapnem, wkrótce i one znikają, przyległe zaulki rozbiegają się w szeroko rozgrozione przestrzenie, a choć bruk się kończy, podmiejskie szynki, garkuchnie i bawarye coraz tylko niechlujniejsze, dotrzymują placu.

Do jednej z bawaryj takich zbliżała się właśnie Blacharzówna, kiedy oszklone do połowy drzwi otwarły się z trzaskiem, a z wnętrza jej wypadły dwie czerwone baby, tarmosząc na sobie chustki, do oczu sobie skacząc i zagłuszając wrzaskiem piskliwą katarynkę, na której przed bawaryą grał czarniawy żydek, nasunawszy czapkę na tył głowy i szeroko rozstawiwszy nogi. Za babami buchnął z wnętrza śmiech i gwar pijanych głosów, a we drzwi tłoczyła się kupka mężczyzn, widowisko sobie czyniących z owęj zaciętości babskiej.

Już od słów przychodziło do pięści, a kataryniarz coraz piskliwsze z instrumentu swego wydobywał tony, kiedy z szynkownej izby wybiegła młoda, przystojna dziewczyna, dziecko jeszcze prawie, i pod-

giąwszy wysoko spódnicę, zaczęła tańczyć przed katarzyniarzem. Ciężki jej, jasny warkocz rozplótł się do połowy i opadł, głowa się chwiała z ramienia na ramię, ledwie zapięty stanik odsłaniał gibką szyję. Nie była widać zupełnie trzeźwą, bo oczy mgłą jej zasłzyły, a splątany język nie domawiał wyrazów brudnej ulicznej piosnki, którą sobie do tańca wtórzyła.

Kupka dzieci obstała tancerkę i katarzynkę. Hanka przystała za niemi i patrzyła na dziewczynę z dziwem. Poznała ją. Była to Mańka Czerkas, przed rokiem wypuszczona z więzienia, która też swego czasu z partią do Grójca wysłaną została. Ale już i uliczna Herodyada spostrzegła Hankę, stanęła, przytomniej jakoś spojrzała i poleciała do niej, roztrącając dzieci i zataczając się po drodze.

Blacharżówna odwróciła głowę, chciała odejść. Ale napół pijana dziewczyna już jej leżała na szyi i ścisnąć ją zaczęła.

— Hanka! Jak Bożę kocham, Hanka! Gdzie ty wędrujesz? Dawno cię puścili?... Dawajże gęby, dziewczyno! A tośmy się zeszyli!

Hanka odstała krokiem.

— Bój się Boga, Mańka! To ty nie w Grójcu?

— A cóż to ja głupia w Grójcu siedzieć, czy co?—okrzyknęła się dziewczyna.—Psom ogony lepiej wiązać, niż w takim Grójcu siedzieć!

— Toś ty tam nie była?

— Co nie miałam być? Byłam. Przecie mnie z partią pognali. Dwa dni byłam i trzeciego pół. A potem my się wszystkie zebrały i poszły: Józefa poszła, ja, Kwiatosińska poszła, Julka Mikusówna... Same się chłopcy zostały. Tylko mój Antek z nami dra-

pnął.—Wybuchnęła szalonym śmiechem.—Czysta komedia! — zawołała po chwili. — Z taką ci nas paradą prowadzili, że to ha! Myślałam, że nam luminację zrobią. A tu ci jeszcze strażniki wiechoi z butów nie powymowali, a my już im drapli. A coby tam człowiek robił? To i ty w pobyt?—zagadnęła Mańka.

— A w pobyt...

— A dużo ci wsadzili?

— Oj wsadzili mi, wsadzili... Aże trzy lata.

— Fiuuul!...—gwizdnęła Mańka,—to ty tam burmistrzową zostaniesz! — i zaczęła się śmiać niepomowanie, po bokach się rękami biła, głowę w tył przechylała, pokazując gardło białe, wzdęte i drgające. Śmiech ten był zaraźliwym, bo stojące nieopodal dzieciaki, same nie wiedząc czego, wybuchnęły także cienkim, piskliwym śmiechem. Mańka zwróciła się ku nim.

— Ciszéj, pędrakil — fuknęła, tupnąwszy nogą. Dzieciaki zaczęły przedrzeźniać ją, skacząc i wykrzywiając się jak małpięta.

— Cóż ty? — zagadnęła Hanka,—u Pazderskich znów siedzisz?

— Ja, u Pazderskich? Przeżegnajże się lewą ręką, dziewucho! A cóż jabym u Pazderskich robiła? Stara użera się od rana do nocy, czeladzie porozpędzali, same chłopaki, sama koprowina, co jeszcze w zębach koszule nosi. Co jabym tam robiła? A choćbym też do nich chciała, jak nie chcę, to mnie przecie bez mel-dunku trzymać nie będą.

— No, a gdzież się obracasz?

— A toć widzisz. W szynku się obracam, kiedy grają! — parsknęła znów Mańka szalonym śmiechem.

I ujęła się pod boki, jakby tuż zaraz w taniec puścić się miała.

Blacharżówna kiwała głową, patrząc na nią smutnie.

— Oj Mańka, Mańka! Aż po mnie ciarki chodzą od twojego śmiechu.

Mańka rzuciła ramionami.

— Cóż ty, głupia, chcesz, żebym plakała, czy co?

— Juścić tu chyba ciągle nie siedzisz? — zagadnęła.

— Co mam siedzieć? U Bamblowej siedzę. Bamblowa mnie bez meldunku trzyma, to i siedzę. Dziś się babie wyrwałam do Antka, to aż tu przygnała za mną, jęcza. O, patrzaj ino, jakie ci to piekło robi z tą drugą o Józefę...

Blacharżówna klasnęła w ręce; śniada jej twarz nagle czerwienią zaszła.

— Bój się Boga, Mańka! To ty u Bamblowej siedzisz? A dyć to ciężki grzech i wstyd...

— No, to co mam robić? Iść do Wisły, utopić się, czy co? — Poczerwieniała, rozśmiała się i nagle wybuchnęła gwałtownym płaczem.

W tej chwili właśnie jedna z kłócących się bab skoczyła do niej, chwyciła ją za ramię i wrzasnęła ochryplym głosem:

— Nie balamucić! Nie balamucić! Dosyć tego dobrego na dziś!

Mańka się zaperzyła. W jednej chwili lzy jej obeschły, oczy błysnęły gniewem.

— Co mnie tu Bamblowa będzie szarpać? Cóż to ja sługa Bamblowej, czy co? Jak mi się spodoba, to

pójdę, a jak mi się nie spodoba, to nie pójdę! Rozumie Bamblowa?

Baba jednak nie puszczała jej ramienia.

— Dalej, dalej! Nie balamucić! Do domu, do domu!

— Puszcza! Bamblowa! — wrzasnęła dziewczyna.

— Bamblowa, Bamblowa! — powtórzyła baba, — a żeby nie Bamblowa, toby się między złodziejami siedziało.

— Owa! — krzyknęła zuchwale Mańka. — A u Bamblowej to między lepszymi siedzę? Jak się rozgniewam, tak wszystko do dyabła rzucę i z Hanką do Grójska pójdę. Ma być pobyt, niech będzie pobyt.

Baba ciekawie nadstawiła uszu.

— To panna w pobyt?

Hanka kiwnęła głową i mimowolnym ruchem naciągnęła głębiej chustkę.

— I panna idzie? — badała dalej baba.

Hanka znów kiwnęła głową.

— Zostań z Bogiem, Mańka! — rzekła i zabierała się odejść.

Ale Bamblowa już się jej za rękaw uczepiła, puściwszy ramię Mańki.

— A to ja pannie powiem — rzekła, bystrzym okiem obrzuciwszy dziewczynę, — że panna głupstwo robi. To nie dla panny chleb. Co która porządniejsza dziewczyna tam była, to się zaraz wróciła. Kwiatosińska też u mnie siedzi, i Mikusówna siedzi. A co mają robić? Trzeba żyć, moja panno, trzeba żyć.

— Bądź zdrowa, Mańka! — przemówiła Blacharżówna, nie odpowiadając babie, i zawróciła się od niej.

Ale Bamblowa zastąpiła jej drogę.

— Ja pannie co powiem — rzekła, opierając jęć rękę na piersiach. — Panna jest teraz taka zmizerowana, jak ta kość, co ją psy obgryzą. Ale ja będę ryzykować. Panna możesz u mnie bez meldunku siedzieć, jeść dostaniesz...

Patrzyła chwilę badawczo na spuszczone oczy dziewczyny, a widząc, że się nie odzywa:

— Niech tam! — krzyknęła, uderzając pięść o pięść. — Niech będzie moja krzywda! Oporządzenie nawet dam. Niech będzie moje ryzyko!

Mańka przysunęła się bliżej.

— Abo się zostań, Hanka, abo co...

Hanka próbowała się wyrwać. Bamblowa przytrzymywała ją za chustkę.

— Moja panno, niech panna nie grymasi... Boga nie obrażać, kiedy się pannie taka okazja szykuje. A cóż to, pierwsza panna będzie, czy co? Nie takie poszły na lekki chleb, a korona z głowy im nie spada. Niech ino panna Boga nie obraża, niech się panna namysli...

— Puszczajcie! — przemówiła stłumionym z gniewu głosem Hanka.

— Tak panna nie chce?

— Niel

— A to ruszaj do kaduka! — wrzasnęła Bamblowa. — Jeszcze ty przyjdiesz na moje podwórko! Patrzcie, jaka mi grafini! We więzieniu siedziała, złodziejką, a pyszni się, jakby Bóg wie co... Mańka! a pójdziesz ty dziś do domu, czy nie, ładac!

— Nie wrzeszczyć ino, nie wrzeszczyć — odrzekła Mańka, — kiedy niema czego. Idź z Bogiem, Han-

ka! — zawołała za odchodzącą. — A jak będziesz uciekać, to ino do nas, pamiętaj!

I nagle chwycił ją dawny szal, podparła się w boki i zaczęła śpiewać, śmiejąc się jak opętana. Dzieciaki zawtórowały jęć wrzaskliwym chórem, katarzyniarz coraz szybciej kręcił piszczącą korbą, jeden z pijących w szynkowni mężczyzn wybiegł i chwycił do tańca szaloną dziewczynę. Bamblowa, w przekreślonym czepcu na głowie, klaskała im w ręce, przysiadając niemal do ziemi.

Hanka oddalała się szybko. Zrazu goniły ją tuż-tuż krzyki owe, śmiechy i klaskania, potem echa ich tylko coraz dalsze, coraz słabsze, wreszcie ucichło wszystko.

Była już w polu. Wszedł księżyc i osrebrzył szerokie przestrzenie, drzewa przydrożne zaczęły szumić drobnym liściem, gdzieniegdzie wyblyskiwały gwiazdy sine. Tu i owdzie migotały oddalone światła, tu i owdzie załopotały skrzydła spłoszonego ptaka, to pies się oszczeknął, to koń kędyś zarżał. Dziewczyna szła, nie spoczywając, i choć zmęczoną była, przyspieszała kroku, jakby uciekając przed niewidzialną jakąś pogonią. Nareszcie uciszyło się wszystko, ostatnie światła pogasły, a ziemia zaszła świeżością i rosą.

Dziewczyna stanęła i podniosła głowę. Chustka z niej opadła, księżyc obielił jęć twarz znędzniłą. Stała tak chwilę i poruszała wargami bez głosu. Westchnęła potem, spuściła głowę, naciągnęła chustkę i wolniej iść zaczęła. Wkrótce postać jęć rozplynęła się w cieniu...

II.

Urzędowe czynności magistrackiej kancelaryi w G. były już w pełnym biegu, kiedy Hanka Blacharzówna stanęła w jej progu.

U drzwi szwargotało półgłosem kilku żydków, przeciągając raz po raz w różnych kierunkach grzbiety, brudnymi chałatami okryte, jakby dla ulżenia sobie w jakiejś tajemnej dolegliwości; dalej stał chłop zafrasowany, wzdychający, w parciance samodziałowej, z wysokim biczyskiem w jednej garści, a z czapką półtoraczną w drugiej; jeszcze dalej napół pijana baba, z różą na twarzy, szturchoła zmizerowanego wyrostka, który stał przed nią, jakby do płaczu skrzywiony; w głębi zaś, tworząc tło urzędowe tego obrazu, drzemał na ławie pod piecem strażnik, kiwający się w tył i na przód, wydający od czasu do czasu silne, urwane chrapnięcie.

Główną ścianę kancelaryi zdobił obraz w pozłocistych ramach; pod nim stał długi, pokryty zielonem sukniem stół, przy którym pan burmistrz przeglądał świeżą gazetę, bębniąc zlekka po stole palcami pul-

chnej, białej ręki i nucąc przez zęby jakąś popularną aryjkę.

W samym środku kancelaryi, twarzą do zwierzchnika zwrócony, przestępował z nogi na nogę Maczuski, woźny magistratu, wysoki, chudy, pałakowaty, który ze swoją wyciągniętą szyją i mocno wytrzeszczonemi oczyma zdawał się wylazić nietylko z munduru, ale z własnej skóry. Jego niezmiernie długie ręce przylegały ściśle po obu stronach kościstych bioder, wzdłuż dolnych kończyn, w sposób, który Maczuski „po szwam” nazywał, a który udoskonalając stopniowo, do takiego doprowadził mistrzostwa, że kiedy stanął w pełnym urzędowym umundurowaniu, zdawał się mieć wszystkie pozory skrzywionego nieco słupa telegraficznego. Przy swojej wiórowatąj chudości, Maczuski wielkim był cholerykiem, w powadze służby nad wszystko zamięłowanym, a liberalnych momentów pana radcy nigdy nie pochwalał. Dość było i w tej chwili spojrzeć na jego dropiate od ospy oblicze, aby odgadnąć, że się w nim aż coś gotuje z powodu owej aryjki zwierzchnika, profanującej oficjalny charakter miejsca, gdzie wszystko „po szwam” być powinno. Niestety, przez szesnaście lat swojego woźnicstwa w G. stary służbista niejednokrotnie miał sposobność przekonać się, że wiele rzeczy „po szwam” tu nie było. Bolał nad tém, jakby nad osobistą krzywdą i obrazą. Idealem jego był naczelnik milczący, nieugięty, srogi i zawsze—w nocy nawet—zapięty na wszystkie guziki. Pan burmistrz zapiętym na wszystkie guziki nie bywał nawet we dnie, żydków po ramieniu klepał, w gawędy z byle kim się wdawał, jego samego nieraz za pan brat tabaką częstował; słowem, daleki był, bardzo daleki od

ideału. Czuł Maczuski, że mu to życie skracają, i co kwartał krew sobie puszczać dawał, żeby go zółło w kancelaryi nie załaziła — jak mówił.

Z kwadrans już stała Blacharżówna u progu, kiedy pan burmistrz gazetę złożył, ręce zatarł, brwi podniósł, na papiery nagromadzone przed sobą spojrzął, ziewnął i co rychlej się od nich odwrócił, oczyma po zebranych u drzwi gromadce powiódł, a zatrzymawszy spojrzenie na Hance, zapytał nagle:

— A co to?

— W pobyt — pośpieszył „dolożyć” od siebie Maczuski.

— Taaak?... — zapytał przeciągle pan burmistrz. — A, to co innego.

Właściwie mówiąc, nie było to nic innego, bo co tygodnia w pobyt przypędzano partye; ale zdawało mu się, że przez powiedzenie takie urozmaici sobie nieco wypadki codziennego życia.

— Rozpiska jest?

Dziewczyna wystąpiła z gromadki, podeszła do stołu, pocałowała burmistrzowską rękę i podała kartkę w milczeniu.

— Hm! — mruknął, czytając i patrząc kolejno to w papier, to na dziewczynę, — hm!... Trzy lata... hm!... Łatwo powiedzieć... hm... Co oni sobie w tej Warszawie myślą?...

Zamyslił się i zaczął skubać faworyty, okalające jego podbródek.

— Ano, to i dobrze! — dokończył po chwili.

Pan burmistrz optymistą był z natury i wszystko lubił kończyć dobrze.

Tym razem wszakże słowa zdawały się iść swoją

drogą, a myśli swoją. Zadumał się, miał kłopoty. W mieście nagromadziło się tyle pobytowych, że była to jakby kolonia złodziejska, nad którą władza wymykała mu się z ręki. Co wieczór awantury, co noce kradzieże, pod miastem rabunki. Straż ziemską, z Fedorenką na czele, rady sobie dać nie może. Całe szczęście, że tałajstwo to napowrót do Warszawy ucieka...

Popatrzył na Hankę z pod oka, jakby miarkując, czy i ona drapnie, — pobębnił palcami postole, parę razy jeszcze chrząknął, wreszcie wygiąwszy się w kierunku drugiego pokoju, zawołał:

— Panie Aleksandrzel! Panie Kosicki!

We drzwiach przeciwnych wchodowi stanął niski, szczupły blondynek, z grubym, zadartym nosem i wgardliwie wydętymi wargami. W krótko przystrzyżonej, szczeciniastej jego czuprynie błękitniał jeszcze świeżo z ust wydmuchany kłęb dymu, w spuszczonej ręce trzymał tłące się cygaro.

Był to pan Aleksander Stanisławowicz Kosickij, sekretarz biura.

— A?... — odezwał się głosem skrzypiącym, jak nienasmarowane osie.

— Mój panie Aleksandrze — przemówił żywo burmistrz, — przejrzyj pan tam papiery Blacharżówny, muszą gdzieś leżeć u pana. Rozpiskę trzeba jej dać...

— W pobyt? A?... — zaskrzypiał znów pan sekretarz.

— W pobyt, wielmożny panie — odpowiedziała Hanka, podchodząc, aby go pocałować w rękę. Ale pan sekretarz ręce schował za siebie. Z wielkim bo-

wiem taktem uważał on przyjmowanie takich hołdów za mniej właściwe w obecności zwierzchnika, który był „koleżskim sowietnikiem.”

Sam przecież do biurka swego nie wracał, ale jak wypowiedział owo „a?...” tak stał z otwartymi ustami i oczu nie zdejmował ze schyłej przed sobą dziewczyny. A ciekawa to była para oczu w tej bladej i jakby chorowicie obrzękłej twarzy pana sekretarza. Jakies to zielonawe, to czerwone błyski zapalały się w nich i gasły; a on, jakby wiedząc o tem, a nie chcąc ludziom pokazać, nakrywał je ciężkimi, lekko zaognionymi powiekami, z pomiędzy rzęs tylko puszczał zmrużone spojrzenia. Postawszy tedy dłuższą chwilę, skinął głową na Hankę, aby szła za nim, i cofnął się w sam środek tytuniowej chmury, która nad biurkiem jego w powietrzu wisiała.

Tu chwycił szybko jeden plik papierów, odrzucił go, chwycił drugi, potem trzeci, a podczas szukania właściwego foliału ręce mu drgały chwilami, jakby szarpane za ścięgna. Znalazł nareszcie czego szukał, oparł się ciężko o stół, jakby w chwilowej niemocy, zmrużył oczy i kilka razy odetchnął głęboko.

Hanka pilnie w twarz mu patrzyła, chcąc z niej wyczytać, co czynić ma lub mówić.

Pan sekretarz przystąpił bardzo blisko do dziewczyny, mrużąc i rozszerzając naprzemian błyskotliwe oczy.

— Anna Blacharzówna?... A?...

— Tak, wielmożny panie—odpowiedziała Hanka

— Ty w służbę myślisz?... A?...

— Bo ja wiem, wielmożny panie. Jużci w służbę.

— Hi... hi... hi... — zaśmiał się zicha pan sekre-

tarz.—Kto ciebie w służbę weźmie? Kto do domu puści? Z czerwonym paszportem... A?...

Hanka schyliła głowę i milczała. Wielka chustka rzuciła głębokie cienie na jej twarz śniadą. Oczy miała spuszczone. Żrenice pana sekretarza strzeliły czerwonym blaskiem.

— Ot, jaby wziął... jaby puścił... ja...

Spazm mu jakiś przeleciał po twarzy, zacisnął ręce, nie skończył. Hanka podniosła głowę i spojrzała na niego stroskanym, trochę tępym wzrokiem. Niedobrze pojmowała, czy się lituje nad nią, czy też naprawdę w służbę chce wziąć.

Pan sekretarz zachłysnął się, wykręcił nagle do stołu, siadł przy nim i przez chwilę pisał. Wyciągnął potem rękę.

— Ot tobie rozpiska! Tak ty możesz teraz w miasto, służby szukać. A melduj się, jak znajdziesz. A potem także się melduj. Do mnie się melduj, rozumiesz?... a?...

— Rozumiem, wielmożny panie—odpowiedziała dziewczyna.

— A żeby ty nigdzie nie próbowała uciekać. Tobie tylko tu w mieście być... A?...

— W mieście, wielmożny panie.

— Tak ty idź, a w trzy dnia melduj się...

— Dobrze, wielmożny panie.

Schyliła mu się do kolan—odskoczył jak oparzony. Dziewczyna wyszła.

Była właśnie w połowie kancelaryi, zmierzając z powrotem ku drzwiom, kiedy ją spostrzegł i zatrzymał pan burmistrz, oblegany tymczasem przez kłaniających się co chwila i dyskretnie uśmiechniętych żyd-

ków, z pomiędzy których jeden wyluszczał interes, a reszta cmokała rozkosznie ustami, jakby dla tém większego zalecenia go „wielmożnemu prezydentowi.” Nie wiadomo, czy pan burmistrz potrzebował w téj chwili dywersyi dla własnych strategicznych planów, czy istotnie ta szczupła i śniada dziewczyna zwracała jego szczególną uwagę, dość, że spostrzegłszy ją, głos podniósł i zawołał:

— Ty... jak ci tam?... Zaczekajno jeszcze!

Zatrwożyła się i stanęła.

— Maczuski! — kończył pan burmistrz, ku drzwiom się zwracając.

Ale Maczuski od kilku już minut był w położeniu okropném. Mrugał więc coraz szybciej swemi wylupiającymi oczyma, piersią podawszy się naprzód, jakby w oczekiwaniu rozkazu. Od progu jednak nie odstępował, nie mógł odstać — i to stanowiło tragiczność chwili. Oto ten urwis Wicek, jego najmłodszy, aż tu za nim przyleciał i, wsunawszy się przez drzwi uchylone, pociągnął go z tyłu za poję.

— Ociec! Granula się ocieliła...

Maczuskiemu krew uderzyła do głowy.

— Poszedł! — syknął przez zęby i machnął pięścią w tył, ryzykując gdzie trafi, to trafi. Ale widać nie trafił nigdzie, bo znów tuż za sobą usłyszał:

— Ociec... Ma byśka!

Maczuski pośiniał z wściekłości, a wytrzeszczywszy jeszcze mocniej oczy i dalej wyciągnawszy szyję, dla odwrócenia uwagi urzędu od rodzinnego dramatu, który się za jego plecami rozgrywał, kopnął w tył nogą, na wpośrodek Wicka miarkując. Ale noga uderzyła w próżnię. Myślał, że go krew zaleje.

— Ociec — prawil dalej chłopak, — matka powiadają, co go będą chować.

— A bodajżeś zmarniał! — zaklął stłumionym szeptem tkliwy rodzic Wicka i wyciągnął poza siebie kurczowo rozczapierzoną, jak jastrzębie szpony, prawicę, w celu pochwycenia czupryny Wickowej. Szczęśliwa jednak gwiazda małego hultaja ocaliła go i tym razem.

Chłopak był znowu tuż za nim.

— Je srokaty, i żeby ociec prędko szedł!

Tu Maczuski stracił resztę panowania nad sobą, a umocniwszy się na lewej nodze, wierzgnął z całej siły w tył prawą, w chwili właśnie, kiedy pan burmistrz zawezwał go przed siebie.

Nieszczęsny Wicek zanadto się widać podówczas zbliżył do ojcowskiej osoby, gdyż jednocześnie prawie z owém wezwaniem dało się słyszeć nieokreślone jakieś miauknięcie, potem uderzyło coś we drzwi jakby polanem, wreszcie dał się słyszeć szybki tupot bosych nóg poturbowanego posła, którego tym razem nie ochroniło żadne międzynarodowe prawo. Maczuski odetchnął głęboko, szurgnął parę razy butami, dla zatarcia ostatnich ech owego tupotu, i wystąpił przed zwierzechnika siny jeszcze z uprzedniej alteracyi, ale już „po szwam,” w pełni swojej urzędowo-słupiaśtej powagi.

— Gdzież się Maczuski, u licha, kryje? Co tam za hałas?... Dowołać się nikogo nie można!... — fuknął gromko pan burmistrz, nietyle przeciw staremu Maczuskiemu gniewny, ile dla okazania energii swęj żydom, trzymającym go w pełnej słodkich pokus opresyi.

— Żadnego porządku w służbie!

Tu głos mu zwolniał nieco.

— Pokazać tam dziewczynę Fedorence, żeby wiedział... Tu paszport dla niej... A ty się nie walesaj, tylko służby szukaj... — zwrócił się do Hanki.

Nie skończył jeszcze, kiedy w sieniach zrobił się nagły tumult, a przez szeroko otwarte drzwi wtoczyła się pani kasyerowa. Czerwona była bardzo i sapała silniej niż zwykle.

— Dzień dobry prezydentowi! — zawołała krzykliwie od progu. — Prezydent wie, co się stało?

Pan burmistrz zerwał się ze swego fotelu, podstawił go pani kasyerowej i zakrzyknął nawzajem:

— Dzień dobry! dzień dobry! Jakże zdrowie pani dobrodziejki?

Ale dama nie była w usposobieniu, potrzebnym do wymiany towarzyskich grzeczności. Padła więc tylko na fotel, wołając:

— To prezydent nic nie wie?... Ta Kubisiakówna z Warszawy, ta pobytowa, co to była u mnie, wie prezydent, ta gruba, uciekła dziś w nocy. I to, powiadam prezydentowi, zabrała Filipci spódnice z wszywkami, Józki pończochy w paski i dwa prześcieradła. No i rób co chcesz! Szukaj wiatru w polu!

Pan burmistrz klasnął w ręce.

— Nie może być!

Dama się zaperzyła.

— Co to nie może być, kiedy jest! I żeby to jeszcze stare prześcieradło, ale nie, nowe, powiadam prezydentowi, od tuzina wzięte! A żeby ja!...

Pan burmistrz stał zafrasowany, drapiąc się w łysinę. Przez opuszczone jego wargi przesuwano się coś

niezmiernie podobnego do „dyabli nadali” Żydki tymczasem zaszwargotały między sobą, a jeden z nich machnął ręką i roześmiał się zeicha.

Bystre oko pani kasyerowej gest ten dostrzegło.

— Cóż tam za chychy? — zapytała wyniośle. —

Taka strata, to nie żadne chychy.

Zapłomieniła się na twarzy z oburzenia.

— A możeby pani dobrodziejka do mojej żony — pośpieszył z interwencją pan burmistrz.

— A dobrze, żeś mi prezydent przypomniał! —

Właśnie to żona pańska namówiła mnie na tę złodziejkę. Co tam pani będzie uważała! mówi, pobytowa, nie pobytowa, każdej pilnować trzeba, mówi, a to się sponiewiera, jak nikt w służbę nie weźmie... Ot i masz.

Odsapnęła kilka razy silnie.

Burmistrz stał przed nią, jak żak, mocno niekontent z siebie, że żonę tak nie w czas przypomniał.

Dama uderzyła ręką w boczną poręcz fotelu.

— A ja powiadam prezydentowi, że teraz w mieście nikt pobytowój do służby nie weźmie! Już się skończyło! Oho, prosto ztąd idę na pocztę i do doktorów idę przestrzedz, bo tam znów do prania te złodziejki biorą. Gotowa kradzież. I wszystkich przestrzegać będę. A i żona pańska niech się ma na ostrożności... Taka tania sługa, to jest droga sługa, bo sobie sama jak chce tak zapłaci...

— Zapewne, zapewne! — bąkał niewyraźnie pan burmistrz, coraz mocniej zażenowany.

— Więc jakże będzie z tą Kubisiakówną? — zapytała dama. — Bo już mniejsza o spódnice i pończochy, ale przecież prześcieradła od tuzina tracić nie mogę.

Radź prezydent, co robić, mój prezydentuniu! Ja chętnie coś Fedorence od siebie dam, niech szuka, niech się dowiaduje...

— Ale owszem, owszem, pani dobrodziejko!

— I Staniewicz niech szuka...

— Będzie szukał. Wszysecy będą szukali! — mówił burmistrz, uszczęśliwiony, że dama już wstaje z fotelu. — To mój obowiązek, pani dobrodziejko! — dodał, odprowadzając ją do drzwi.

— I żeby się wszędzie dowiadawali o te prześcieradła.

— Ale owszem! Naturalnie! Zapewniam panią dobrodziejkę...

— I żonę niech prezydent przestrzeże!

— Naturalnie! naturalnie!

Rozstali się w ukłonach.

Całej téj rozmowy słuchała Hanka z głuchym jakimś niepokojem. Jak stanęła, tak stała, spuściwszy głowę i patrząc w sęczek, który się ciemniej rysował na żółtej kancelaryjnej podłodze. Chwilami zdawało jej się, że to ona ukradła spódnice z wszywkami i pończochy w paski. Oczy jej wtedy zaczynały biegać jak jaskółki, obracając się to na mówiącą panią, to na drzwi, któremi wejść mogli Fedorenko i Staniewicz.

Jak wejda—niechybnie ją złapią.

Po chwili wszakże wracała jej rozwaga. Ona przecież nie ukradła spódnicy, ani pończoch, ani dwóch nowych prześcieradeł od tuzina.

Nie! nie! Ona wie dobrze, że tego nie ukradła. Mogą Fedorenko i Staniewicz szukać koło niej wszędzie, jeśli chcą. Uspakajala się, oczy jej nierucho-

miały i znów zatrzymywała je z jakąś głuchą troską na owym sęczku w podłodze. A sęczek zdawał się powiększać, poruszać i patrzył też na nią, jakby groźna, coraz ciemniejsza żrenica...

Jeszcze Blacharzówna ze schodków magistrackich nie zeszła, kiedy Wicek Maczuskiego, który tu znów z poselstwem jakimś z domu przyleciał i przezorniej tym razem w podwórku się zatrzymawszy, zobaczył, jak „ocieć” dziewczynę Fedorence zdaje, krzyknął z wielką fantazją:

— Warszawska złodziejka! Warszawska złodziejka! Widzita warszawską złodziejkę!...

Po Hance ognie przeszły. Najadła się ona co prawda wstydu niemało przez one lata więzienia. Ale tamto było w sądzie, w urzędzie, w czterech ścianach, nie zaś tak na ulicy... Myślała, że ją kto nożem przebódl.

Tymczasem do pomysłowego Wicka przyłączyło się dwóch, czy trzech przyjaciół z przeciwka, którzy nie mając jakoś na tę chwilę nic lepszego do roboty, zaczęli wyskakiwać po ulicy, wrzeszcząc co gardła:

— Warszawska złodziejka! Warszawska złodziejka!

— Ciszej, trutnie! — huknął zrazu Maczusi, odwróciwszy głowę.

Ale wnet potem zagadał się z flegmatycznym Fedorenką, który każde słowo z małoruska, jak smołę, ciągnął, na pół drogi do nosa trzymając szczyptę tabaki, którą go woźny częstował.

Hance zdawało się, że to już tak musi zostać na zawsze.

Zmrużyła oczy i podniosła ramiona, jakby się

chroniąc przed uderzeniami obucha. Śniada jęj twarz jeszcze śniadszą zdawała się w tęg chwili.

Tymczasem uderzyło południe, a z poblizkięj szkółki wysypał się drobiazg gwarliwy. Wnet zmiarkowawszy, w czym rzecz, chłopaki przyłączyły się wrzaskliwie do zaimprovizowanego przez Wicka chóru; dziewczęta tęg zatrzymały się nad brzegiem trotuaru i, otworzywszy usta, przypatrywały się Hance. Robiły nad nią uwagi, śmiały się i szturchały chudemi łokciami, spychając na ulicę.

Wśród śmiechów tych i tego wrzasku stała Hanka, skulona pod swoją wielką chustką. Coś w niej cierpło, kamieniało i chwilami zdawało jęj się, że w ziemię wrasta. Chciała się poruszyć, ale jęj nogi ciążyły jak kłody. Nie mogła zresztą odejść, czekała na swój czerwony paszport, który Maczusi z Fedorenką komentowali, porównywając go z rozpiską pana sekretarza.

Złożył wreszcie strażnik ów paszport, oddał go dziewczynie i skinął na nią, że odejść już może. Jak była skulona, tak odwróciła się i poszła pierwszą spotkaną uliczką. Wrzask dzieci leciał jeszcze za nią czas jakiś, słabnął potem coraz, aż wreszcie rozplynął się w cichém powietrzu. Ona jednak szła i szła, dopóki jęj uliczka owa nie wyprowadziła na pole. Zadziwiła się wtedy i stanęła.

Gdzie idzie? Po co? Do kogo?—Nie wiedziała sama. Uszy miała pełne brzęku, głowę skolataną, ciężką.

Po chwili oprzytomniała jakoś.

W mieście jęj trzeba zostać, do magistratu się meldować w trzy dni i potem służby szukać... Ścisnęła

w rękę swój czerwony paszport.—Kto ją weźmie z takim paszportem? Kto ją do domu puści? Do prania jęj tęg nie wezmą, boby mogła ukraść spódnice z wszywkami i pończochy...

Tu myśli jęj stanęły. Myślenie było dla niej wogóle pracą ciężką. Chwilę jeszcze majaczyły jęj po głowie owe pończochy, potem przeciągnęła się pod swoją chustką i poczuła, że jest bardzo głodna.

Sięgnęła w zanadrze. Tam w starej chusteczynie miała jeszcze kilka trojaków. W więzieniu nie prawie nie zarobiła, chorowała, nie miała zdrowia. Choroba zjadła wszystko—i to, co na „wydział” szło, i to, co do „książki.” Cztery złote dał jęj „wielmożny,” kiedy ją puścili. Niech mu tam Bóg odplaci.

Obejrzała się, nie było nikogo. Wyjęła parę miedziaków, zawiązała paszport i zwolna wróciła do miasta.

— Moja pani — odezwała się nieśmiało, zatrzymując się przy pierwszym straganie, na którym kupiła kilka bułek od tłustej przekupki, — moja pani, czyby mi tęg pani nie doradziła jakieg służby?

— Czemu nie, moja panno! Służba się zawsze znajduje. Co to, panna po chorobie, czy co? Nietutejsza może?

— Nietutejsza...

— A zkądże panna?

— Ja... ja z Warszawy.

Straganiarka wychyliła głowę ze swojej budki i bacznie na dziewczynę spojrzała.

— Coś strasznie koło panny mizernie. A cóż panna potrafi?

— Ugotować potrafię, uprać...

— Co to tu panna „famielię” ma, czy co?

— Nie, nie mam nikogo...

Siwe oczy straganiarki podejrzliwie spojrzały na dziewczynę.

— A może... bo to nie wiadomo, moja panno, a strzeżonego Pan Bóg strzeże... może panna „w pobyt?”

Hanka schyliła głowę.

— Eee, moja panno, kiedy tak, to po co ludziom głowę zawracać? Ja sama bym wzięła porządną dziewczuchę i robota by się dla niej znalazła, bo to ziemi nie przekopie, a roboty nie przerobi, ale musiałabym źle w głowie mieć, żeby zaś brać pobytówkę... W imię Ojca i Syna! A to się panna wybrała! Cóż to panna myśli, że u mnie w stancyi cztery gołe kąty, czy co, żebym zaś złodzieja do domu puszczała? Moja panno, u mnie jest pościel na cztery łóżka, poduszki takie, że to po trzy ruble jedna, u mnie są rondle, u mnie jest wszelaki porządek, wszelaka domowizna. To ja, moja panno, lada obieżyświata nie mogę do domu puszczać, ja muszę mieć dziewczynę, co się nazywa, akuratna, znającą między ludźmi. Tak, moja panno. Kiepskość się panna wybrała. Tu pobytówek, jak tych psów, się kręci, a kto ich weźmie do służby? Żyd nawet nie weźmie, choćby za pół darmo. Każdy się, moja panno, strzeże, jak może, bo domowego złodzieja nikt nie upilnuje...

Hanka zwróciła się w milczeniu. Jakoś ją nagle ochota do jadła odeszła. Tymczasem straganiarce nowa myśl błysnęła w głowie. Kolasińska, rzeźniczka, szuka dziewczuchy... Niechby wzięła złodzieja, głupia baba! Dmie się to, nie wiadomo czego... Teraz znów

sluga chce wszystkich zakasować... Otbody dla niej sluga...

— Panno! panno! — zawołała. — Niechno panna czeka!

Hanka się obejrzała i stanęła.

— Niech ino tu panna bliżej podejdzie!

Dziewczyna podeszła.

— Tu w drugiej kamienicy — mówiła zeicha straganiarka — mieszka rajfurka Janowa. Już się tam panna dopyta. Wiem, że ona do rzeźniczki z przeciwka usługi szuka. Niech panna idzie, może się uda.

Hanka pocałowała babę w rękę.

— Dziękuję, moja pani...

— Co tam dziękuj! Niema za co dziękować. Idź panna z Bogiem.

Zajęta zmywaniem statków Janowa przyjęła Hankę w sposób, budzący najlepsze nadzieje. Wczoraj właśnie mówiła jej pani aptekarzowa, że wzięłaby i pobytową nawet, byle cichą i pracowitą dziewczuchę, bo już z temi „lafiryndami” rady sobie dać nie może. Co która pobędzie tydzień, dwa, oho! już po służbie. Nie-nastarczone rzeczy. Z uczniami by tylko albo i z pro-wizorem po kątach każda wyszczerzała zęby, a roboty się boi jak ognia... Wprawdzie to i rzeźniczka szuka, ale również co pani, to pani. Zawszeć to inna rzecz u profesyanta służyć, a u państwa...

W Hankę wstąpiła otucha.

— Moja pani Janowa, moja święta! To kiedyby my poszli?

— A cóż! Odkładać niema co! Niech ino panna mój fartuch zapasze i tę chustkę z głowy zdejmie,

Cztery nowe,

żeby tak jakoś koło panny było porządniej trochę. Ja ino poszoruję statki, to zaraz pójdziemy.

W pół godziny potem były już w aptece.

— Proszę wielmożnej pani — rzekła Janowa, krygując się i całując rękę pani aptekarzowej, bardzo wysokićj, bardzo żółtćj i bardzo chudćj osoby — „rekomanduję” pani nową kuchareczkę...

Pani aptekarzowa miała wzrok krótki, przymrużyła więc oczy i wyciągnęła cienką swoją szyję. Rozpoczęła się indagacya.

— Zkądże to?... U kogo służyła?...

Janowa się zbliżyła, wspięła do ucha pani i z poufałością, cechującą stosunki małomiasteczkowe, zaczęła szeptać.

Ale w tćjże chwili pani aptekarzowa odskoczyła, rozstawiwszy przed sobą chude swoje ręce.

— Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę!... — mówiła prędko, trzęsąc niemi i cofając się ku drzwiom pokoju.

Janowa wszakże nie ustępowała z placu.

— A wielmożna pani wczoraj mówiła...

— Mówiłam! prawda, że mówiłam! Ale jeszcze nie wiedziałam o niczćm. A tu się piękna historia u państwa kasyerów dzisiejszćj nocy stała... Cóż to, Janowa nie wie, że ta Kubisiakówna Walerka okradła ze wszystkićj bielizny i uciekła?... To Janowa nie słyszała o tćm? A przecie się całe miasto trzęsie!

Kobiecina klasnęła w ręce i zaczęła głowę kiwać w wielkićm zdumieniu.

— Przypatrzcie się, moi ludzie, co to za złodziejka!

Usłyszawszy ten wyraz, Hanka mimowolnym ru-

chem sięgnęła ku chustce, którćj wszakże nie miała na głowie. Znowu jćj zaczynało się majaczyć, że to ona okradła kasyerów, że się to wszystko zaraz wyda i że ją znów do więzienia wezmą. W pomieszanu swojćm pociągnęła Janową za fartuch, chciała odejść.

Janowa wszakże postanowiła raz jeszcze próbować szczęścia.

— Co tam, proszę wielmożnej pani! — rzekła z rezygnacyą. — Co się stało, to się nie odstanie. Niby to i tutejsze nie kradną! A toby wielmożna pani miała dziewuchę pomyslenie... Jedna drugićj nie równa choć i na ten przykład, Kubisiakówna zawsze była galgan dziewczysko, a ta i ugotuje, i wypierze, latać nigdzie nie będzie, bo to znajomości nijakich nie ma...

— A niech ją tam lichu, moja Janowo! Żeby mi tu ona miód robiła, to już ja jćj nie chcę. Niech się tam nią kto inny dorabia, byle nie ja.

— No! Cóż robić, kiedy wielmożna pani nie chce...

— Ale nie, nie, moja Janowo! I wam radzę, nie prowadzajcie jćj nigdzie, bo się możecie w jaką biedę wkopać.

— Ha, jak tak, to padam do nówek wielmożnej pani.

— Bądźcie zdrowi.

Wyszły.

— No, moja panno — rzekła Janowa do zstępującćj w milczeniu ze schodów dziewczyny, — widziała panna, że się człowiek starał, jak mógł, i wszystko na nie, A ja pannie powiem, że jak panny w aptecę nie wzięli. to panny nigdzie nie wezmą, bo to jest służba osławiona między wszystkiemi, i żadna się tam porządna sługa

nie posięgnie, tylko same szurgoty. A kiedy już ta sucha Jewka panny nie chciała, to źle! To już ja się nie podejmuję panny prowadzić. No, no! aż mi dziwno... A wiem, że sługi nie mają...

Kiwała głową w krochmalnym czepecu i kołysała się na szerokich biodrach w wielkiem zadziwieniu. Po chwili zatrzymała Hankę.

— Tak dawaj panna mój fartuch, a po chustkę sobie panna przyjdź. Tyle tylko, że się człowiek po próżnicy językiem naobracał. Aż mi w gardle zaschło. Żeby tak z kim politycznym, toby się i napić warto z naparstyszek...

Hanka zrozumiała przymówkę i sięgnęła po swoje trojaki.

— A toć jabym rada... — Miała nadzieję, że ją jeszcze Janowa do rzeźniczki doprowadzi.

— A no, to dalej go!... do Szapsiowej...

— Tylko, że jabym chciała pierwój chustkę... Jakoś tak nieładnie między ludzi...

Nie mogła wymówić, że jej wstyd było z odkrytym czołem między ludzi iść, ale w istocie wyobrażała sobie, że kto na nią spojrzy, to zaraz pomyśli: złodziejka. Wstąpiły tedy po chustkę.

U Szapsiowej było gwarno. Hanka zawahała się na progu, ale ją pociągnęła Janowa. Pierwsza izba pełna była pijących. Jedni siedzieli przy żółtym, bejcowanym stole, to popodpierani oburącz, chmurni, milezący, kurząc szwice i plując na strony, to rzucający się sobie w objęcia i płaczący rzewnie. Drudzy, poróżwalani na ławach, śmieli się, dowcipkowali, śpiewali i, chociaż sami napół pijani, krotochwile sobie z innych czynili; kilku stało w pośrodku izby — to krzep-

ko, to już się chwiejąc na nogach i rozlewając wódkę, a od czasu do czasu uderzali pięściami w stół i klęli donośnie.

Brudna usługująca dziewczyna kręciła się, jak mucha w ukropie, odwolywana i popychana na wszystkie strony; sama zaś Szapsiowa, robiąc pończochę na wysokim stolku za szynkwase, patrzyła na gości swoich tém leniwém, zmrużoném nieco spojrzeniem wygrzewającą się kotki, które tak często widzieć można u starych, tłustych, niegdyś pięknych żydówek małomiasteczkowych.

Janowa przepchnęła się do samej szynkarki i, zajądawszy anyżówki, przepiła półkwatkiem do Hanki.

— Daj Boże zdrowiel!

— Daj Panie Boże!

Dziewczyna odebrała kieliszek i wypiła także. Wtedy Janowa zaczęła przegryzać ser z kminkiem i słony obwarzanek żydowski, po którym okazała się potrzeba przepłukania gardła piwem.

W czasie tego poczęstunku ten i ów podchodził i zaglądał pod chustkę uparcie zasłaniającą się dziewczynie. Kilku nawet szturchnęło ją w bok, nieumyślnie niby, że to tłok był w szynku. Jeden zwłaszcza, chłop młody i rosły, obchodził ją to z lewej, to z prawej strony, jakby szukając zaczepki. Płaciła właśnie za traktament Hanka, kiedy stanął wprost przed nią i, zajrzawszy jej w oczy, zawołał:

— A, jak Boga kocham!... Tośmy się zeszli!

Hanka spojrzała i poznała go także. Był to Józek Calik, co z nią przeszłego roku razem w więzieniu siedział.

Zapaliła się na twarzy i pociągnęła za fartuch Janową. Chciała wyjść ztąd coprędzej.

Ale babie po oném piwie z anyżówką na gadanie się zebrało, więc się łokciem na szynkwasie podparła, na ręce brodę położyła i opowiadała Szapsiowej, jak to przeszłego roku chłopaka jój do wojska brali. Ani sposób było wyciągnąć ją w tój chwili. Calik tóż ode drzwi zastępował i, wsparłszy się pod boki, śmiał się i głową kręcił.

— No, no! kiedy my się tóż tak tutaj zeszli! No, no! I dawno tu Hanusia?

Dziewczyna ścisnęła zęby i milczała.

— A cóż to Hanusia zaniemówiła, czy co? Zawsze taka harda?

Zbliżył się do dziewczyny, która znów pociągnęła Janową. Baba odwróciła głowę, a biorąc zaczepkę Calika za zwykłą galanterię, rzekła:

— Daj sobie pan spokój! Bo ta panna nietutejsza i z tutejszemy kawaliramy nieznająca...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Calik hucznie. — Moja pani! Wiem ja lepiej niż pani, z czém ta panna znająca, albo nieznająca.

— A ja panu powiadam, co sobie pan daj spokój, bo ja tę pannę do służby prowadzę.

Calik obrócił się do dziewczyny.

— Co Hanusia, zgłupiała? Do służby Hanusia idzie?

— Gdzież pójdę? — przemówiła Hanka z jakąś niecierpliwą żalością w głosie.

Calik pociągnął ją na stronę.

— Hanusia lepiej z nami trzymaj — przemówił zcicha. — Kupa nas tu jest, ze strażnikiem się znamy

i co nam kto zrobi? Zawierska tu jest, i Walera jest, i Korbielakowa... Człowiek sobie czasowy, nad karciem mu nikt nie stoi, we świat tóż czasem wyjrzy, to na folwark gdzie, to na jarmarczynę jaką. Ze żydkami wszystko można, powiadam Hanusi... Ja już tu trzy kwartały siedzę i jakoś się żyje. Insze tam pouciekały do Warszawy. Warszawa im pachnie. A niech im tam pachnie! A ja Hanusi powiadam, że i tu nie najgorzej...

— Muszę już iść — rzekła.

— A gdzie Hanusia siedzi? u tój baby?

— Nie mam jeszcze nijakiego posiedzenia...

— No, to Hanusia napróżno służby nie szukaj, bo dziś o Walerze obębnili na rynku, to się każdy będzie wagował wziąć, a do mnie się Hanusia na Utratę pytaj, to się możemy zejść... No, jakże?

— Muszę już iść — powtórzyła dziewczyna jakby odurzona.

Calik puścił jój rękę i pokiwał głową.

— Już ja widzę, że się Hanusia zmarnuje bez tę swoją hardość...

Nie odpowiedziała, ale szarpnąwszy zagadaną babę za rękaw, rzekła:

— Abo idźcie, abo nie idźcie, bo ja idę.

Janowa spojrzała na nią zamglonemi oczyma.

— Gdzie panna idzie?

— Do rzeźniczki idę...

— No, to niech panna idzie, bo ja tam nie pójdę.

Odrzuciła się do szynkwasu.

— Jak go, powiadam pani Szapsiowej, ostrzygli, jak ja go zobaczę, jak mnie żalność nie zeprze, jak nie ryknę...

Dziewczyna wyszła. W głowie jej się kręciło, nie wiadomo z czego. Z kieliszka anyżówki może, z gorąca, z Calikowego gadania... Wyszedszy, spostrzegła, że się już dobrze zmierzchno i że na bladej wieczorowej zorzy cztery latarnie w rynku świecą, żółte i dymiące jakby... Ano, niema już co i myśleć o chodzeniu do rzeźniczki po nocy. Jutro pójdzie.

Przeszła ulicę wpoprzek i stanęła. Jutro... A gdzie teraz pójdzie? A gdzie zanocuje? Wtém drzwi szynkowni brzękły i wyszedł Calik, rozglądając się wzdłuż ulicy na prawo i na lewo. Dziewczyna cofnęła się w bramę i czekała, aż przejdzie. Dopiero kiedy się chłopak znacznie oddalił, wyszła i powlokła się w przeciwną stronę. Szła, gdzie oczy poniosą.

Wieczór był cichy, ciepły, wilgotna mgła perłowa wisiała nisko nad ziemią, tu i owdzie słychać było skrzypienie studni i śmiechy biorących wodę. Z godzinę szła, wracała się, stawiała, właśnie jak ta owca błędna, co się od gromady odbija. Przez niskie okna drewnianych domków widać było ludzi, krzątających się w oświetlonych izbach. Gdzieś tam zabierano się wieczerać, a zapach świeżych kartofli i skwarek rozchodził się szeroko.

Jak we dnie od ludzi, tak teraz od tych drzwi i okien odwracała Hanka głowę, zwieszoną pod ciężarem wielkiej swojej chustki; wiedziała ona, że żadne z tych okien nie otworzy się dla niej, że żadne z tych drzwi nie puszcza jej do wnętrza... Kilka suchych bułek niewiele ją posiliło, noga też zaczynała dojmować coraz bardziej. Szła jednak, bo nie miała się gdzie zatrzymać, aż poczuła w powietrzu woń skoszonej trawy i wyszła na łączkę podmiejską, pomiędzy kupki prze-

schniętego potrawu. Pod jedną z kupek takich usiadła i oparła głowę.

...Niech jeno ranek, zaraz pójdzie do rzeźniczki, sama pójdzie, prosić będzie, a musi służbę znaleźć. Już jej nikt nie namówi na takie życie... Ręce sobie do łokci pourabia, a na złe się nie puści... Niech Calik co chce gada, albo i inni, nie puści się i nie puści... Takie ma postanowienie w sobie. Pana Jezusa oto na pomoc wezwie i świętego Antoniego... Ach, Panie Jezu Chryste i święty Antoniu... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego... Ojciec nasz, któryś jest w niebie... Zasunęła się głębiej w siano, opuściła głowę, usnęła.

Sen miała ciężki, męczący.

Śniło jej się, że ojciec jej, stary Kacper Blacharz, szewc z Pabianic, trzewiczki jej szyje... takie małe trzewiczki. Szyje, szyje, młotkiem podeszwy klepie, dratwy dociąga nakrzyż, szpilki struże, a to wszystko na drogę dla niej, bo ona w pobyt idzie... A taka z niej mała dziewczeczka, taka mała, że jej ledwo z dzieśnięć latek... Matka ją w czystą koszulę obłóczy, warokczyki jej plecie, starsza siostra fartuszek pierze, starszy brat wozem zajeżdża, a to wszystko dla niej w pobyt... Przyszedł ksiądz proboszcz, pieśni z organistą śpiewa, święconą wodą wóz kropi, a tu jak nie hukną dzwony... Wstrząsnęła się i otworzyła oczy.

Wiatr nocny mgły gdzieś na strony rozegnał, nad nią wisi szafir ciemny i głęboki, a wielka, jasna gwiazdka, jak złoty jaskier, w pośrodku się pali. Księżyc się już ku zachodowi obrócił, a łąka, jak okiem zajrzeć, pod tumanem srebrnym, jakby pod jeziorem, stoi. Derkacz odzywa się to bliżej, to dalej, wilgotny chłód po kościach chodzi...

Skuliła się, głowę przechyliła na drugie ramię, zasnęła.

Śni jęć się, że dokoła niej wielka woda huczy i coraz wyżej, wyżej się podnosi, a ona w pośrodku stoi, głowę pod wodą trzyma i już, już ma się zalać... A co się wychyli, co głowę podniesie nad wodę, to kamień z góry spada i w głowę ją trafia. A ona krwią się oblewa i znów na głębiej idzie.

Woda huczy a huczy, zimno przenika jęć ciało... Już, już dochodzi do brzegu, już trzcinę chwytą, już głowę wystawia, oddycha, aż tu patrzy—na brzegu ludzi tłum, a każdy ma wielki kamień w ręku i czeka tylko, żeby w nią uderzyć... Składa ręce, prosi... Dobrzy ludzie, dobrzy, wielmożni panowie! Nie rzucajcie jeszcze kamieni... Niech się aby na brzeg dostanę, niech z onęj wody, z onęj głębin na powietrze wyjdę... Trzcina piszczy u brzegu, woda huczy za nią, ona się kępek chwytą, wodę rozgarnia, do brzegu dochodzi... Aż tu buch! Zakotłowało się wszystko, kamień największy w głowę ją trafił, padła w tył, głęбина ją porwała... A ludzie śmieją się i klaszczą, a woda huczy nad nią, a trzcina piszczy u brzegu...

Zbudziła się. Serce jęć biło mocno, w gardle zaschło, jakby od wewnętrznego krzyku. Przetarła oczy i siadła.

Był ranek. Niebo zachodziło różaną zorzą od wschodu. Gęsi dzikie, które przed odlotem żerowały na pobliskim ścierniu, podniosły się teraz z głośnym gęganiem i, wyciągnawszy długim, długim sznurem, chwiały się w powietrzu cichem, jak szarfa położona z jednej strony wschodzącym słońcem, a z drugiej sina od sinych tumanów lęnych.

Zerwała się dziewczyna i patrzyła na nie.

Szarfa niesła się coraz dalej, coraz wyżej, a ku ziemi szedł od niej głos, jakby brzęk gędzby dalekiej. Czasem tylko ostrzejszy krzyk gąsiora przecinał ten brzęk nagle i rozbrzmiewał szeroko w porannej ciszy.

Żrenice Hanki rozszerzyły się, otwarła usta, głębokie odetchnienia podniosły jęć piersz szczupłą, drobną, włosy nocną rosą zwilżone opadły jęć na twarz i szyję, a z gardła wyszedł dźwięk krótki, arwany, jakby mimowolny okrzyk niepowstrzymanego instynktu wolności, swobody...

Ale to była jedna tylko chwila.

Z ostatnim brzękiem ginącej w dali gędzby lecącego ptactwa dziewczyna spojrziała po sobie, po stronach i zawstydziła się czegoś. Głowa jęć zwisała, ręce zasunęła głęboko w rękawy grubego kaftana, skurczyła ramiona, zacisnęła usta i wolnym krokiem wróciła do kupki potrawu, pod którą chustka jęć leżała. Musi iść, musi się śpieszyć, do rzeźniczki musi iść, służby musi szukać...

Wyszła na drogę do miasta. Ruch się już po domostwach budził, w podwórkach kozy beczwały, gdzie-niegdzie wznosiły się z kominów cienkie pasma dymu. Szła, nie podnosząc oczu od ziemi, a w myśli jęć majaczyły sny nocne i gęsi lecące, a tak jęć coś w głowie huczało, jakby wielka, wielka woda...

... ..

Nie wiem, jak tam sobie radzą wogóle babskie języki, kiedy je sekret jaki przypieczę, ale to wiem, że język owęj straganiarki, co to pierwsza raila Hance służbę u rzeźniczki, należał do takich języków, na któ-

re zgola żadnej rady niema. Kwadrans jeszcze nie minął po rozstaniu z Hanką, kiedy owa właścicielka pościeliła na cztery łóżka i wszelakiego porządku zwierzyła się kumie Mateuszowej, jako Kolasińską „objeździe” i „pobytówkę” jęj do domu wręci.

Mateuszowa słuchała zadumana. Zdarzyło się bowiem, że jak raz potrzebowała wziąć tego dnia trzy nogi wołowe na kredyt i miarkowała sobie, że za taką nowinę łatwiej je dostanie. Niewiele tedy myśląc, chwyciła chustkę, koszyk i wprost do rzeźniczki poszła.

Konfidencyja zacnych niewiast podwójny miała skutek. Pierwszy był ten, że Mateuszowa wróciła do domu, niosąc w koszyku trzy bure, kosmate nogi wołowe, na kredyt wzięte, czerwona od gadania i kieliszka pomarańczowej, którym ją za życzliwą przestrożę poczęstowano; drugi zaś ten, że imci pani Kolasińska całą noc parowała i fukała, zatykając się niemal z hamowaną pasy i nie mogąc doczekać ranka. Sama ze siebie możeby i wzięła „pobytówkę” na służbę, ale żeby zaś kto na urągowisko, z umysłu taką stręczyć jęj miał... Niedoczekanie czyjel...

Zaledwie tedy Hanka weszła i usta otworzyła, kiedy rzeźniczka zerwała się ze stolka, na którym siedząc piła kawę z kwartowego garnka, a przyskoczywszy z pięścią do dziewczyny:

— A ty złodziejko! — wrzasnęła. — A ty wywłoko! A do straganu ruszaj! Do dobrodziejki swojej, nie do mnie!... A ty...

Nie podejmuję się tu powtarzać całego repertuaru zacnej pani Kolasińskiej; zaręczyć wszakże mogę, że był on bardzo obfity i urozmaicony, tak w oryginalnej swojej części, jako też i w przyswojonej z innych,

pięknie w tym względzie uposażonych języków. Na uwagę zasługuje także nadzwyczajna szybkość tak dykcji, jak i samej akcji w tej sprawie, a to tak dalece, że nie minęły jeszcze trzy zdrowaśki, kiedy już Hanka została nietylko zwymyślana kategorycznie, ale poturbowana i wypchnięta za drzwi, sama zaś pani Kolasińska, wróciwszy do swojej kawy, belkotała resztę klątw zapehanemi bułką ustami, sapiąc silnie i wygrażając od czasu do czasu pięścią w stronę ulicy.

Tak oddalająca się burza ciska za sobą ostatnie błyskawice, warcząc z chmur poszarpanych — niewyraźnym grzmotem.

Wypchnięta za drzwi dziewczyna chwilę stała na ulicy ogłuszona, przeleżała, machinalnym ruchem poprawiając na sobie potarmoszoną odzież; kolana pod nią dygotały, świst i szum napelniał jęj uszy. Ludzie przechodzili i potrącali ją; nie czuła prawie tego, patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem. Zaczynała pojmować, że służby w miasteczku nie znajdzie. I zdawało jęj się, że w świecie tym, którego miała pełne uszy, słyszy wyraźnie głos Bamblowej, a potem głos Józka, a potem sto innych głosów, które jęj jak wiatr huczały w głowie. Jakiś ruch instynktowny pechnął ją wreszcie z miejsca, na którym stała. I znów szła, nie wiedząc gdzie i po co, a czując tylko, jak ją ciężka, twarda jakaś ręka pcha dalej a dalej, przygniatając coraz głębiej ku ziemi. Pod uczuciem tego nacisku zanurzyła głowę w ramiona, wlokąc za sobą nogi coraz wolniej, aż opadłszy z sił zupełnie, osunęła się pod płotem, grodzącym jakiś szmat półka, zasadzonego kartoflami. Tuż na górze wiatrak klekotał jednostajnie, a poruszający się na żółtym piasku cień jego

szmig, podnoszących się i opadających kolejno, skracał się już ku południowi, które przychodziło znojne, gorące. Dziewczyna nie poruszała się z miejsca, ale objawszy rękoma podniesione kolana, siedziała skurczona, zmrużywszy zmęczone oczy. Wkrótce wszakże, pod działaniem promieni słonecznych i klekotu wiatraka, ręce jej się rozplotły i opadły wzdłuż ciała, nogi wyprostowały, osuwając się po ziemi, a głowa ku pierśsiom zwisała.

Nie spała wszakże Hanka i pacierza, kiedy ją zbudził głos ujadającego psiaka, za którym postępował młynarz Fabich, w rozpiętej kamizelce nankinowej i z krótką fajeczką w zębach. Już z ganku wiatrakowego widział on, że mu się ktoś po polu włóczy, i już ztamtąd posłał kilka energicznych „donnerwetterów” siedzącej pod płotem postaci. Skorzystał też z południowego spoczynku, ażeby zobaczyć, kto to tam taki, a ujrzawszy dziewczynę, zdaleka już trząsał wyciągniętą fajką i krzyczał:

— Was Teufel tam dziewczucha na mój grunt lazi?... Nie wiedziała, że to moje pole?... He?...

Hanka powstała śpiesznie.

— Już idę... nie wiedziałam... Niech się pan nie gniewa.

— Nech sze pan ne knifa! Nech sze pan ne knifa! U nich wszystko: nech sze pan ne knifa! Aber ja sze chce knifać, donnerwetter! Ja mam prawo sze knifać na swój grunt, na swoje pole!... Do roboty to ich nie ma, aber lazić w szkodę, to mają czas. Żeby dziewczucha co porządna i mądra była, toby sze ne leciała cygańić po polu, tylko do pielenia by szła, do kopania... Ja lu-

dzi do kopania szukam, ja dobrze płaci i znaleźć nie mogę, a ona pod płot drzyma...

Oczy Hanka błysnęły nadzieją.

— Ja też roboty szukam...

— So! Das ist was anders! Teraz taki czas, że każdy roboty szuka. Was Teufel komu po tych wszystkich robotnikach? Teraz pieniądz droga, aber robotnik tania. Cóżby dziewczucha chciała od kopanie?

— Jak tam pan innym płaci, tak i ja wezmę.

Niemiec się nadał.

— Ja płaci... — Tu chciał powiedzieć zwykłą cenę, ale spojrzawszy na nędzną odzież dziewczyny, w czas się powstrzymał i rzekł: — Ja płaci dwadzieścia cztery grosza i kartofli co zje.

— Dobrze, będę kopala — rzekła Hanka skwapliwie.

— A motyka i plachta jest?

— Nie... motyki nie mam... ani plachty...

— Das ist was anders! Jak bez motyk i bez plachta, to ja płaci bischen weniger... ja dać 20 groszy i kartofel na południe.

Hanka była zrezygowana.

— Niech i tak będzie — rzekła, — będę kopala.

Młynarz wypuścił fajkę z zębów. Powolność dziewczyny zastanowiła go.

— Dziewucha aber może chora? Może nie poradzi kopania?...

Hanka się przelekła. Ciemne rumieńce zaogniły jej twarz wychudłą, rozśmiała się suchym, przymuszonym śmiechem.

— Cobym zaś nie miała poradzić! Zdrowa jestem, mocna jestem! — rzekła, prostując szczupłe ra-

miona i wyciągając przed siebie z dziką jakąś energią swoje chude ręce. — Jak będzie trzeba, to i kamienia ugryzę, wiatrak przeskoczę...

— Ne! ne! ne!... — wołał Fabich, trzęsąc głową i ręką. — Gott bewahre! Na co wiatrak? Nie trzeba wiatrak!... I kamieni nie trzeba. Aber, jak ja motyk dam swoje i plachta swoje, to ja muszę swego pewny być, i ja muszę wiedzieć, gdzie robotnik swój dom ma.

W Hance serce zamarło.

— Ja ta nie mam nijakiego domu—odrzekła.

Spuściła chmurne oczy i milczała przez chwilę. Nagle jęł się łązy po twarzy rzuciły, przypadła do kolan młynarza.

— Mój panie! mój złoty, mój miłosierny panie! Weźcie mnie do kopania! Mój panie! Będę wam jak pies do późnej nocy harowała, jednej peruszki w ziemi nie ostawię, za dwoje robić będę, jeno mnie poratujcie, jeno mnie weźcie! Mój złoty panie!

Młynarz cofał się zdumiony. Dziewczyna wybuchnęła płaczem.

— Ani ja roboty, ani ja zarobku, ani nijakiego opatrzenia, ani przyjaźni nie mam!... Niech tam, niech co chce będzie! Wszystko lepiej odrazu powiem, niech się co chce stanie! Mnie tu w pobyt kazali...

— W pobyt? — zawołał, zatrzymując się młynarz.—Ach, so! Das ist was anders! Ach, so!...

Zacmokał grubemi ustami i kiwał głową. Po chwili odsapnął, pociągnął parę razy z przygaskiej fajeczki, wypuścił cienkie pasemko dymu, pod nos wysunąwszy wargi, i rzekł:

— Na, na!... Das ist was anders! To jest głupie sprawa z ten pobyt... To jest bardzo głupie sprawa...

Aber jak tak, to ja nie mogę dać tyle. Jak tak, to ja dam dziesięć groszy za każdy dzień i kartofli na obiad. So! so! I żeby sobie nocleg sama szukała, a plachta i motyk mnie na każdy wieczór oddawać do ręki.

Hanka otarła oczy.

— Niechże będzie dziesięć. Bóg wam zapłać i za to. Kaźcie ino dać motykę.

— Aber na co zara motyke? Das wäre je kein Rechnung. Do wieczora redlinę przekopie, a musiałby kartofle dać...

Hanka machnęła rezolutnie ręką.

— A niech je ta i kartofle! Będę kopala i tak, bez obiadu.

— Das ist was anders! Das ist richtig! — kiwnął głową Niemiec i kazał iść za sobą dziewczynie.

.

III.

Zaczęły się tedy dla Hanka dni nowego życia. Zrazu pracowała gorączkowo, świtem na redlinie stając, nocą z pola schodząc, palcami ziemię przesiewając niemal. W południe piekła garść kartofli, do których kupowała sobie trochę soli, reszta zarobku szła na chleb, który dziewczyna dzieliła na dwie części, na ranny i wieczorny posiłek. Po tygodniu wszakże ta-kićj pracy znacznie osłabła; i chociaż z równą gorliwo-ścią kopać usiłowała, często przecie w oczach jej ciemniało nagle, a trzęsące się ręce nie mogły już z ta-kiem, jak wpierw, natężeniem uderzać motyką w ko-rzenistą ziemię. Zdarzało się też, że młynarz, który od czasu do czasu kopania doglądać przychodził, znaj-dował za dziewczyną jeden i drugi kartofel w redlinie, krzyczał wtedy, czapkę o ziemię ciskał, nogami tupał, za głowę się darł i po groszu, po dwa z mizernej za-platy wytracał. Hanka przecie znośła to wszystko. Owszem, czuła się niemal szczęśliwą. We dniu miała robotę, jak i inni ludzie, nocą tuliła się gdzie w bru-ździe i nakrywała płachtą, na pewnoś której Fabich wziął do siebie jej czerwony paszport. Mogła wyżyć. Noce wprawdzie coraz to były chłodniejsze, a dzie-

wczyne nieraz zimno od rana wytrzęsło, że to i rozgrzać się nie było czego. Przewidywać się nawet dawał czas, w którym zgoła w polu nocować nie będzie można. Han-ka usiłowała nie myśleć o tém, a ile razy Fabich nad-chodził, machała motyką tak, że aż grudki wilgotnej ziemi rozpryskiwały się na wszystkie strony. Skoń-czyło się nareszcie kopanie Fabichowych kartofli, ale dobra jakaś gwiazda i dalej przyświecała dziewczynie, sam Fabich bowiem nastęrczył ją Gawrońskiemu, szynkarzowi, który tuż za wiatrakami półko swoje miał i kopaczy szukał. Nie widział wszakże zacy młynarz żadnego powodu, aby Gawrońskiemu życzyć tak tanićj robotnicy, jaką sam znalazł; powiedział tedy szynkarzowi, że płacił Hance 20 groszy dziennie. Szynkarz na tę cenę przystał chętnie, ale się Hanka teraz uparła, że mnićj nie weźmie jak 24. Trzewiki z nóg jej spadały, odzienie zgniło prawie od ciągłej wilgoci ziemnej, musiała więc coś zebrać, oszczędzić i oporządzić się trochę. Gawroński się targował, ale zważywszy, że naokoło płacono kopaczom po 40 gro-szy, zgodził się na wymaganie dziewczyny i na zgodę przepił anyżówką do Fabicha. Poczem czerwony paszport Hanka przeszedł w ręce szynkarza, a dzie-wczyna, pełna otuchy, dostała zamiast płachty—wo-rek.

Stawała znów tedy w półku za wiatrakami coraz to mglistszym rankiem, schodziła coraz to ciemniej-szym wieczorem, bo dni skróciły się znacznie. Jesień zapowiadała się wczesna, słotna; stada wron i kawek ciągnęły od pobliskiego boru, deszcze przechodziły drobne, zimne, uprzykrzone... Owo „zimno,” o którym Hanka mawiała, że ją „ograża,” zmieniło się teraz

w stale wracającą co czwarty dzień febrę, z którą wszakże dziewczyna kryła się przed ludźmi, żeby jej roboty nie odjęto. Głowa jej wtedy ciężyla jak kamień, w kościach łamało jak kołem, a takie miała pragnienie, że nieraz się nad rowem położywszy, piła a piła, aż ją odeło całą.

Ponieważ Gawroński pozwolił jej piec dwa razy na dzień kartofle, przestała chleb kupować, a nawet nie kupowała i soli, której dzieciaki z szynku czasem przyniosły. Składała za to grosz do grosza, dziesiątkę do dziesiątki, a kiedy po dwóch tygodniach pracy złożyła dziesięć złotych, poczerwieniała z radości i zawiódła piosnkę, przypominaną z dawnych, dawnych lat. Dzień to był wyjątkowo ciepły, chociaż mglisty; przydrożne topole stały bez ruchu, cienkie niteczki babiego lata srebrzyły się nad ziemią, unoszone jakimś niewidzialnym, leciuchnym podmuchem, a słońce zachodziło blado-złote, bezpromienne, wsiąkając zwolna w liliowy tuman ponad lasem.

Od miasta szło towarzystwo, damy i panowie, a idąc, rozmawiali wesoło. W małych miasteczkach często się zdarzają takie przechadzki: to na szosę, to do jakiegoś uprzywilejowanego punktu, to między pola podmiejskie. Hanka śpiewała. Zdawało się, że uciśniona, zagłuchła jej dusza dostała nagle i skrzydeł i głosu. Jakaś zorza wyszła z pod serca dziewczyny na jej twarz wychudłą, w zapadłych oczach paliła się reszta gorączki po wczorajszej febrze, usta jej drżały. Głos zrazu rwał się i łamał, potem się zwolna rozciągnął do jakiejś dziwnej skali, aż rozbrzmiał na całe pole, pod las poleciał, na łąki, pełny, dzwoniący, wilgotny, jakby nabrany rosą. Rzecz dziwna. O trze-

wikach tylko myślała dziewczyna, a w śpiewie jej brzmiała cała bezwiedna poezya, do jakiej serce ludu jest zdolne. Była szczęśliwa, radośna, a w śpiewie jej brzmiała bezgraniczna żałość i tęsknota...

Towarzystwo, idące od miasta, musiało poczuć urok tego głosu, gdyż rozmowy i śmiechy przycichły nagle, a kilka głów odwróciło się w stronę śpiewającej dziewczyny. Pomiędzy głowami temi była jedna, pokryta jasnym, krótkim, szczeciniastym włosem, z której oczy błyskały przykrém, czerwonaśm światłem. Głowa ta i oczy były własnością znanego nam pana sekretarza, który w tej chwili właśnie przystanął, usta przygryzł, powieki na oczy zasunął i lekko poblądł na twarzy. Nie trwało to wszakże i minuty, i kiedy inni słuchali jeszcze, pan Aleksander Stanisławowicz Kosickij, uważany w miasteczku za bardzo miłego kawalera, do dam się zwrócił i rozśmiał swoim skrzypiącym głosem, jakimś kancelaryjnym conceptem nawiązując przerwana rozmowę. Rozmowa ta wszakże nie kleiła się jakoś. Sam też pan sekretarz, przypomniawszy sobie bardzo pilny interes, odprowadził towarzystwo tylko do tak zwanych „Dąbków,” niewielkiej polanki, zarosłej zrzadka tarniną, wśród której stały tu i owdzie pojedyncze dęby,—poczem śpiesznie ku miasteczкови wracał.

Hanka śpiewała. Jej szara, szczupła, przygięta ku ziemi postać odbijała ciemną sylwetką na tle zórz zachodnich, niewiele się różniąc od tych kamieni polnych, które, wyzbierane przez pastucha, na miedzy kupkami leżały. Zajęta myślą o trzewikach, dziewczyna dokopywała redliny, posuwając się śpiesznie ku żerzdom, grodzącym półko od strony szosy. Blisko już

była, kiedy cień jakiś upadł jęj pod nogi. Podniosła głowę i nagle zamilkła. Przed nią, oburącz wsparty na żerdzianym płocie, stał pan sekretarz, błyskotliwie spoglądając z pod zmrużonych powiek. Jeszcze dziewczyna nie zdążyła się opamiętać w swojém osłupieniu, kiedy szanowny filar magistratu zaskrzypiał głosem przyciszonym nieco:

— Ty czemu się nie jawiła do mnie w kancelaryi? Czemu się nie meldowała?... a?...

Po Hance ciarki przeszły. Przez parę ostatnich tygodni zapomniała zupełnie, przy ciężkiej swojej pracy, o meldunkach, o kancelaryi, o wszystkich urzędach. Chwilami zapominała nawet o pobycie, o więzieniu, o całej przeszłości. Zdawało jęj się wówczas, że całe życie zeszło jęj na wygrzebywaniu kartofli z czarnej, wilgotnej ziemi, i że nadal całe téż tak samo schodzić jęj będzie. Były to dla nięj najszcześniejsze chwile. Ale przeszłość była i dopominała się o nią, a cień złotego więziennego gmachu wydłużał się i aż tu padał na nią. Była w pobycie. Zafrasowała się i spuściła głowę.

— Tak cóż? — przemówił pan sekretarz, rozszerzając nagle źrenice i jaskrawém spojrzeniem obejmując postać stojącą przed nim dziewczyny. — Gadajl... a?...

Hanka podniosła ku niemu oczy strwożone.

— Kiedy ja, wielmożny panie, służby nijakiej w mieście nie znalazła... ja tu tak tylko na wyrobek kopię...

— Tak trzeba ci było i tak się jawić i meldować. Ja ciebie na dniach szukać kazał. Tobie kara będzie za to, sztraf... rozumiesz? a?... Trzy niedzieli temu na zad przyszła i nie meldowała się ani raz... Ot co! A paszport twój gdzie?

Dziewczyna była jakby skamieniała. Wszystkie złote nadzieje, jakie przed chwilą roila z powodu owych dziesięciu złotych i spodziewanych trzewików, opadły jęj z serca tak, jak opadają liście z drzewiny pod technieniem jesiennego wichru. Nie znając ani istoty prawa, które ją dosięgało, ani zakresu władzy, pod którą tu była, lękała się wszystkiego. Owszem, zdawało jęj się, że każdy ma moc uczynienia z nią co mu się podoba. Sztraf, kara, majaczyły jęj po głowie niby dwa dziwaczne widma, z których każde wyciągało długie, długie ręce po jęj zarobek krwawy. Pod wpływem niepokoju tego przycisnęła obie dłonie do szczupłej piersi, gdzie w zanadrzu miała chuścinę z swemi dziesięciu złotemi.

Pan sekretarz tymczasem obejrzał się ukradkiem na prawo, na lewo, błysnął oczyma, zasunął je powiekami i zapytał zeicha:

— A gdzie ty nocujesz? a?...

— Tu, wielmożny panie, nocuję.

— Gdzie „tu?” W karczmie?...

— Nie, wielmożny panie, tutaj...

— Tam, w szopie?... a?...

— Nie, tu... tu, na polu...

Pan sekretarz zadziwił się.

— Jak?... Na polu?... sama?...

— Juści-że...

— A tobie nie zimno? a?...

— Juści-że... wielmożny panie.

— Tak na tobie na wódkę. — Tu pan sekretarz sięgnął do kieszeni i rękę z dziesiątką do dziewczyny wyciągnął. — Do karczmy idź, rozgrzej się.

Chciał więc coś mówić, ale na drodze podniosła się kurzawa i rozległy krzyki chłopaków, spędzających bydło.

Skoczył tedy pan Kosickij przez rów na drugą stronę szosy i, zanim Hanka podziękować mu zdążyła, oddalił się pośpiesznym krokiem. Dziewczynie zrobiło się czegoś dziwno. Młody pan był miłosierny, ale coś ci srogiego miał w oczach... O sztrafie mówił, o karze, a dziesiątkę jój zadarmo dał... No, no... Patrzała za odchodzącym, obracała pieniądz w rękę i kiwała głową; a jakby nie będąc pewną, czy dziesiątka ta sprawiedliwie do niej należy, nie śmiała jój wiązać w swoje chustcinę, tylko ją w kieszeń wsunęła. Zebrała potem resztę wykopanych kartofli i z trudem sobie zadawszy worek na plecy, poszła go wysypać na przykryty słomą kopezyk, który stał pomiędzy karczma a stodołą.

Widok słomy nasunął jój myśl, że gdyby szynkarz użyczył jój choć płachetkę trzęsionki, jaką bydlu ściela, byłoby jój daleko i suszej i cieplej spać, niż na tej świętej ziemi... Przystanęła tedy przed karczmą, czekając, aż Gawroński wyjdzie, gdyż szynkarka nawet do sieni po motykę niechętnie ją puszczała, utrzymując, że ino patrzeć, jak ten obieżyświat co porwie.

Stała więc Hanka pokornie pod ścianą, głęboko zasunawszy ręce w rękawy i wtuliwszy głowę pomiędzy ramiona, jak to był u niej ruch zwykły. Nadszedł Gawroński, pokłoniła mu się do kolan, prosząc o „żdziebluchno” słomy. W téjże wszakże chwili wypadła czatująca przy oknie szynkarka i, ujawszy się pod boki, krzyknęła:

— Widzieliście, moi ludzie, żeby na taki ciężki

rok słomę po polu roznosić? Własnym krowinom człowiek ujmuje, aby ino, aby ino, póki Pan Jezus żyta omlócić nie da, a takie tam ledaco będzie tu sobie posłanie „rządziła.” Może ci jeszcze pierzynę wynieść? Abo łóżko? Co?... A ty, głupi, czego stoisz i czy wytrzeszczasz? — fuknęła na męża. — W izbie pełno ludzi, a on tu będzie stał i „balamoncił.”

— Ino nie wrzeszczyć, matka! ino nie wrzeszczyć, bekowiska po próżnicy nie robić! — odrzekł Gawroński wolnym i dobitnym głosem, — Panu Bogu ino z tego obraza, a ludziom śmiech. A cóż to ja nie gospodarz, żebym zaś sam ze siebie nie wiedział, co do czego jest należące? Juści, że krowy pierwsze, to się wie. Anoby się i dziewczynie patrzyło żdziebko słomy.

Zaniosła się do nowego krzyku karczmarka, ale Gawroński energiczniej jeszcze machnął ręką i do Hanki się zwrócił.

— Słuchajże, dziewczucha, — rzekł. — Zrzucił ta Bartek z kalenicy parę snopków, co bez nie do sąsiaka ciekło; idźże ty za stodołę i snopek albo i dwa snopki sobie weź. Choć to tam nietęga obrada, boć to wszystko zbutwiało do licha, ale równo cieplej, niż na szczerzej roli.

Pocałowała Hanka szynkarza i szynkarkę w rękę i za stodołę poszła. Okazało się jednak, że zrzuczone z kalenicy snopki były zupełnie przegniłe i aż ciężkie z mokrości, że ich zatém i brać nie było co. Wróciła tedy na kartoflisko, posłanie sobie „rządzić” z wilgotnego worka, jak i dawniej.

Tymczasem owe przedzachodnie mgły i tumany zgęstniały i zaczęły mżyć drobnym, przejmującym deszczem. Kilka gwiazd, które tuż po zachodzie słońca

wybłysły były, skryły się teraz i roztopiły w szarém, bezbarwném powietrzu.

Okrywała się Hanka jak mogła, a co na jeden bok zmokła, to się przewracała na drugi. Przewracanie się wszakże takie z boku na bok nie dozwalało jęj zasnąć. Otworła tedy oczy i rozpatrywała się dokoła w coraz gęstniejącej ciemności. Patrzyła najpierw na niebo i wyraźnie widziała, gdzie się ono zaczyna, a gdzie kończy; patrzyła na karczmę, a z pod jęj wysokiego czarnego dachu spostrzegła wyblyskujące w dwóch oknach światelka mętne i żółte; patrzyła na las i widziała, jak pochmurzone jodły stoją martwo i jak pod niemi jałowce czernieją. Wreszcie zatrzymała oczy na wiatraku, którego nieruchome śmigi sterczały ku niebu, jakoby podniesione ramiona. Wkrótce wszakże linie zaczęły się zacierać, kształty niknąć, a coraz grubsza ciemność rozlewała się z każdą chwilą dokoła. Najpierw zniknął las, potem wiatrak, potem owe światelka w karczmie, wreszcie i niebo zlało się z ziemią, a dziewczynę objęła bezgraniczna noc, w której jeśli i były nawet jakie widma, to oko ludzkie dojrzyć ich nie mogło.

Chwilę jeszcze patrzyła Hanka w tę ciemność, potem skuliła się pod swoją chustką i zamknęła oczy.

Koło północy być już musiało, kiedy ją doszły jakieś niewyraźne szmery, jakoby deptanie przywiedlonych łęcin kartoflanych. Podniosła głowę i patrzyła. Nie wszakże dojrzyć nie było można w tych gęstych, dotykalnych niemal mrokach. Dziewczyna znów zasypiać zaczęła.

Wtém zdało jęj się, że czuje jakiś gorący oddech tuż nad sobą i że jakieś chłodne, wilgotne palce

ślizgają się po jęj włosach i szyi. Otworła szeroko oczy, wstrzymując oddech, i ręce wyciągnęła przed siebie. Ręce trafiły na schyłego ku niej w ciemnościach człowieka. Serce jęj się w piersiach rzuciło. Ani chybi, złodziej przyszedł ją okraść z jęj krwawicy...

Zerwała się w jednej chwili, chwyciła leżącą przy sobie motykę, której, zajęta ową słomą, nie odniosła z wieczora do karczmy. Niech się co chce dzieje, broń będzie swojej chudoby. Stała pochyłona naprzód, z otwartemi, bez głosu ustami, ścisnąc oburącz motykę. Ciało jęj dygotało jak w febrze.

Wtém posłyszała tuż przy sobie szept świszczący i stłumiony:

— Czego się zrywasz, głupia?...

Jednocześnie dał się słyszeć suchy trzask z portatęj w ciemnościach zapalki, a przy jęj błękitnym płomyku ujrzała Hanka pana sekretarza. Stał przed nią, z twarzą wzburzoną i bladą. Ujrzawszy go, dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie i, cisknąwszy motykę, jak szalona w stronę się karczmy rzuciła. Pan sekretarz puścił się za nią; ale już psy młynarskie wściekle od wiatraka ujadać zaczęły, a tuż za niemi słyhać było głos Fabichowego parobka, który z gan-ku krzyczał:

— Huź go! złodzieja... Huź go!...

Wtedy goniący Hankę człowiek stanął, a wyciągnąwszy za dziewczyną pięść, potrząsnął nią w ciemnościach nocy i szepnął z mściwym zgrzytem:

— Ja ci!... Ja tobie!...

Wrzawa, jaką uczyniły psy młynarskie, nieprędko ucichła. Z godzinę jeszcze słyhać było, jak z krót-

kiem, rekognoskującym łajaniem oblatywały w wielkich skokach pole, jak się wiehrem pod las poniosły, a zawietrzywszy karczmarzkiego brytana, skomląc, ku niemu przypadły, jak potem wytarzawszy się po roli w trójkę, na drogę się rzuciły z głośnem, docierającem, zajadłem szczekaniem.

Gawroński, który mało spał téj nocy, zdziwił się wielce, ujrawszy nazajutrz Hanę wcisniętą pod wóz w rogu podwórka, i, mimo późnej godziny, głęboko uśpioną.

— A ty co tu robisz?—huknął na nią z góry.

Dziewczyna drgnęła i, otworzywszy szeroko oczy, patrzyła na szynkarza jakby nieprzytomna. Trącił ją butem.

— Czegoś ty tu wlaźła, niemrawo? Dzień jak wół, a ta się wyleguje, jak za dobrych czasów. Potrzebnaś tu?...

Wygramoliła się zawstydzona z pod woza i, zawróciwszy w milczeniu, na kartoffisko poszła. Idąc, patrzyła przed siebie zwykłym swoim, trochę tępym, trochę znużonym wzrokiem. Zdawało się, że sen poranny zatarł w niej wspomnienia ubiegłej nocy. Nawet natknąwszy się na porzuconą motykę, podniosła ją powolnym, obojętnym ruchem, jakby nie pamiętając, z kąd się tu wziąć mogła. Dopiero kiedy nieopodal od legowiska swego zobaczyła w bruzdzie czapkę z lampasem i gwiazdką, rozjarzyła się na twarzy gwałtownym rumieńcem, chwyciła chustkę i worek, a omijając zdaleka zostawioną przez napastnika zgubę, poszła na drugi koniec redliny i z pośpiechem kopać zaczęła.

Od miasteczka tymczasem ukazał się strażnik.

Szedł zwolna, z głową spuszczoną, pilnie się rozglądając po drodze. Gawroński zobaczył go zdaleka, do izby wpadł, barylkę araku i stojącą za piecem flintę do alkierza wynióśł, z szynkwasu butelek kilka sprzątnąwszy, w łóżko je pod pierzynę schował, poczem przed karczmą stanął, tyłem się do drogi obrócił i czmychał nosem.

Fedorenko podszedł tuż do niego.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry! Dzień dobry! — Szynkarz udał wielkie zdziwienie. — A pan starszy z kąd się tu tak rano wziął?

— Z kąd się wziął? Ot, wesoly z was człowiek, pan Gawroński! Z kąd się miał wziąć? Z nieba spadł... A co nowego słychać?

— I... coby tam miało być nowego? Stara bieda i tyła... — Gawroński poskrobał się w głowę. — Człowiek od kłopotu i dospać nie może...

Fedorenko obejrzał się na strony.

— A gdzie to, pan Gawroński, ta dziewczyna, co tu u was służy?

— A hajno w polu... Tylko że to ona u mnie służyć nie służy, ino tak na dnie wyrabia.

— A paszport jój u was jest?

— A dyć ta leży w półskrzyneczu... Co ta taki paszport!...—Wzruszył ramionami.

— No, tak ja jego do kancelaryi wezmę i dziewczynę wezmę...

— O lo Boga! A to bez co?

— Czort znajet. U mnie naczalstwo jest, i rozkaz jest, i służba. Tak ja po służbie idę i po rozkazie idę. A co mnie robić? Jaby wolał w spokojstwie żyć.

Tak cóż, kiedy nie można. U mnie dziś żonka chora, a mnie trzeba tam iść, i tam iść... Ot co!

Gawroński w głowę się drapał i językiem cmokał.

— O lo Boga, lo Boga!... Adyć my jeszcze wszystkich kartofli nie wygrzebali, a tu pluchoty idą... A niechże cię z taką robotą!... Choroba mi nadała taką dziewczkę brać...

Weszli do izby. Po chwili wyszedł z niej sam strażnik z czerwonym papierem w rękę i prosto się ku dziewczynie skierował, oczyma po ziemi wodząc, aż obaczywszy w bruzdzie czapkę pana sekretarza, obejrzał się, podniósł ją i szybko pod płaszcz schował. Od karczmy ukazał się teraz Gawroński, wciąż markotny i skrobiący się w głowę. Kilkanaście kroków uszedł i stanął, nie wiedząc, czy iść ma, czy zostać.

Hanka, ujrawszy strażnika, nie okazała wielkiego zdziwienia. Usta jej tylko nieco zbieleły i ręce trząść się zaczęły. Niżej się tedy jeszcze ku ziemi schyliwszy, wygrzebywała palcami kartofle, bo motyki jakoś utrzymać nie mogła. Tuż przy niej był Fedorenko, kiedy się nagle rozprostowawszy, podniosła ku niemu twarz mroczną, postarzałą jakby od wczoraj.

Chwilę tak stała ciemna i szczupła na tle pochmurnego ranka, słuchając, co strażnik mówił, poczem zabrała swoje manatki i ku karczmie poszła. Fedorenko szedł za nią; niepokoiła go obojętność dziewczyny. Zbliżyli się do Gawrońskiego.

— Ostańcie z Bogiem, gospodarzu...—przemówiła posępnie Hanka.—Będzie tam jeszcze ze dwie kupki niewyzbieranych kartofli w redlinie, a tu macie worek i motykę.

Gawroński skrobał się w głowę.

— Adyć cię tam trzymać nie będą, kiej nie mają za co. Wrócisz, to i wybierasz.

Dziewczyna schyliła mu się do kolan.

— Ostańcie z Bogiem!

— Idź z Bogiem! — odrzekł karczmarz miękkim jakimś głosem. Żał mu się teraz zrobiło tej cichój, śniadój dziewczyny, od której pies jego podwórzowy lepsze miał wygody.

— Brrr... zimno!—przemówił, otrząsając się, Fedorenko.—Tak my by może, pan Gawroński, wodoczki się napili?

— Czemu nie! Żeby tak o co, jak o to...

Poszli we troje ku karczmie. Fedorenko i Hanka zatrzymali się przed progiem; szynkarz wyniósł flaszkę i kieliszek.

— W ręce wasze, panie starszy...

— Na wasze zdrowie!

Fedorenko wypił, otrząsnął się, splunął i kieliszek karczmarzowi oddał.

Gawroński do Hanki się zwrócił.

— Naści i tobie, mizeroto, zagrzej się...

— Bóg wam zapłać za wszystko dobre.

— A wracaj się, jak cię ino puszcza...

Nie odpowiedziała i pierwsza w stronę miasteczka ruszyła. Droga leżała przed nią równa, prosta, szara. Wiatrak stał we mgle bez ruchu, wilgotne pary rozwlokły się po polach szeroko. A kiedy tak szła wśród tej pustki głuchój, słysząc za sobą człapiące kroki strażnika, wydało jej się, że znów nad nią huczy owa wielka, wielka woda.

.

IV.

Koza w G. niewiele się różniła od innych tegoż rodzaju instytucyj małomiasteczkowych. Zabite deszczulkami okienko rzucało skąpe światło na błotnistą podłogę, odrapane ściany krzywiły się każda w inną stronę; pod jedną ze ścian tych stała brudna, wązka ława, przez drugą słuchać było wesołe krzäkanie magistrackiej trzody. Grube płachty pajęczyn zwieszały się od pułapu i po mrocznych kątach, garść słomy leżała pod oknem, pieca wcale nie było. Zbytówną część budynku stanowiły drzwi, nieheblowane wprawdzie, ale z nowych, mocnych desek wielkimi bretnalami zbite, na urząd dopasowane, rygłem i kłódką z zewnątrz opatrzone.

Koza w G. nigdy nie bywała pusta. A jeśli w niej nawet chwilowo lokatora brakło, wstawiano tam stare beczki od kapusty, zesypywano wióry, plewy, ogrodowiznę, łupiny od jarzyn — co Bóg dał.

Powietrze też było tu ciężkie, duszące, zastarzałym jakimś kwasem przejęte, a przegniłe przyciesie od strony chlewika sączyły wilgoć nieustanną.

W takiej to kozie od trzech dni siedziała Hanka, kiedy wpuszczono do niej nową lokatorkę. Była to

Walera, wesoła towarzyszka Calika, amatorka spódnic z wszywkami i pończoch w paski, które po długich poszukiwaniach i licznych przygodach udało się wreszcie odebrać pani kasyerowej, w stanie pozostawiającym coś nie coś do życzenia.

Hanka tylko co przebyła silny paroksyzm febry i, leżąc nawznak w gorączce, szklistem i oczyma wodziła po brudnym pułapie. Brudnego pułapu nie widziała wszakże, tylko napelniony niebieskawym dymem tytuniowym pokój kancelaryjny, w którym ją Fedorenko przed wielmożnym sekretarzem trzy dni temu stawił. Pokój ten pusty i mroczny majaczył teraz przed dziewczyną, jak otehłań bezdenna, z głębi której czerwone źrenice pana sekretarza gorzały ku niej, niby dwie latarnie. Przewróciła się na bok, nie mogąc znieść ich widoku, i przymknęła oczy. Wtedy w uszach jej zaczęły skrzypieć i zgrzytać wiatrakowe śmigły, a w ich pisku słyszała wyraźnie świszczące szepty: Czego się zrywasz, głupia... głupia... głupia...

Szepty te zmieniły się po chwili w jakiś jęk przeciągły, który, nie wiedziała, czy szedł z ziemi, czy z nieba, czy z jej własnej piersi; potem zahuczał gdzieś dzwon i huczał, huczał, aż w huku tym zabrzmiał rozkaz pana sekretarza: Na trzy dnia w komorku, a potem do mnie, do prania... Won! — Zerwała się i siadła. U drzwi słysząc było krzyki, płacz i szamotanie. Zaciśnęła zęby i pięście. Zdawało jej się, że to ją ciągną już do tego prania, i że się ona bronić musi, musi...

Nagle rygiel odskoczył, a wepchnięta do izdebki Walera znowu się z wrzaskiem do drzwi rzuciła, lżąc strażników na czém świat stoi, dopóki kłódka nie zo-

stała zamkniętą, a kroki odchodzących nie ucichły zupełnie. Wtedy uspokoiła się w jednej chwili, obejrzała, otarła oczy, a poznawszy siedzącą na słomie Hanke, przyskoczyła do niej i na znak radości z tak szczęśliwego spotkania z całej siły ją kulkami okładać po plecach zaczęła.

Oprzytomniwszy w ten sposób chorą, na słomę się przy niej rzuciła i, przerywając sobie cochwila kłatwami i śmiechem, rozповідаła, w jaki ją sposób razem z Calikiem na Utracie chwycono. Chwycenie to wszakże niebardzo ją martwiło.

— Co oni mi tam robią, pogańskie dusze! — kończyła z wielką fantazyą. — Koza... wielka mi rzecz, koza! A cóż to ja kozy nie znam, czy co? I jeszcze co to za koza! Powiadała mi Korbielakowa, że tu cała jedna ściana taka zgniła, że jakby kto dobrze kichnął, toby się to wszystko do licha rozleciało. Żeby ich!...

Obejrzała się po kątach.

— A co oni? drugiej słomy dla mnie nie dali?

Skoczyła do drzwi i zaczęła w nie bić pięścią.

— Nie szumi! — odezwał się głos przeciągły z zewnątrz.

— Ty sam nie szumij, sadło niedźwiedzie! — wrzasnęła Walera. — A czemu to wy nam drugiej słomy nie dali? Idź zaraz dokładaj panu burmistrzowi, co tu na dwie tylko jedna słoma. Żeby was!...

Ucichła na chwilę i, jak stała, tak przykucnąwszy przy drzwiach na ziemi, głowę rękami podparła i szlochać zaczęła. Wyszlochawszy się, na barłóg poszła, wpoprzek się na nim rzuciła i wkrótce chrapnęła głośno.

Hanka siedziała ciągle z twarzą rozpaloną, wyciągniętą szyją i wlepionym w kąt izby wzrokiem. Wzrok ten wyrażał najwyższą, graniczącą niemal z obłędem trwogę. Splecione jej ręce obejmowały kolana, dreszcz wstrząsał jej szczupłym, wątłym ciałem. Ubiegła tak godzina, ubiegły dwie, a w miarę zapadającego zmierzchu zaczęły się po kątach z piskiem gonić szczury, żerujące tu na resztkach głabów po niedawno sprzątniętej kapuście. Z za ściany dolatywało głuche krząkanie. Walera chrapała, jakby ją kto dusił. Coś ohydne było w tych szmerach, toczących ciszej tej brudnej izby, jak czerw toczy trupa...

Hanka usiłowała myśleć. Nigdy jej to łatwem nie było, a teraz przychodziło z podwójną trudnością. Myślała jednak.

...Trzeci dzień siedzi już w kozie... Trzeci raz słyszy, jak szczury żerują nocą... A pan sekretarz mówił: na trzy dni w komórkę... A potem... do prania... do niego...

Wstrząsnęła się.

Kto jej to mówił kiedyś, że... aha, Walera mówiła Korbielakowej... Walera spi... O, jak to chrapie... Nie, to Korbielakowa powiadała, że tu ściana zgniła...

Obróciła się z trudem za siebie.

...Która też to ściana?... Matko najświętsza, jak jej też w głowie huczył! Żeby tak choć jedna deska...

Opuściła ręce i wsparłszy się niemi na barłogu, usiłowała powstać. Ale tylko ramiona dźwignęła w górę i znowu opadła.

...Nie pójdzie jutro do prania... Ani jutro, ani nigdy... nie pójdzie do niego... Żeby się ta święta zie-

nia pod nią rozstąpiła — nie pójdzie! Tak jęć Panie Boże dopomóż i wszyscy „święci...”

Wyciągnęła rękę, a natrafiwszy poomacku dzbanek, wypila resztkę wody.

Upłynęła jeszcze godzina. Sen morzył dziewczynę, ale gorączka ustąpiła nieco.

...Jeśli to prawda, że tu ściana zgniła, to chyba ta, co przy niej beczka stoi... Widziała we dnie, że tam deska spaczona odstaje i że przez nią dzień świta.

...O Matko przenajświętsza!... żeby też tak...

Nie dokończyła swojej myśli, ale jakby dzwignięta jęć siłą, wstała i macając wzdłuż ściany, do beczki szła wśród pisku spłoszonych szczurów. Doszedłszy, rękoma się jęć wierzchu chwyciła, bo ją znów zimno ogarniać zaczęło, i stała tak, dygocząc cała i szczękając głośno zębami. W głowie jęć huczało, zapomniiała, gdzie jest i po co tu z barłogu się przywlokła; instynkt wszakże jakiś trzymał jęć zaciśnięte ręce, a usta poruszały się same przerywanym szeptem: ...O Matko przenajświętsza...

Oprzytomniała wreszcie, ścisnęła szczękające zęby i, wszystkie siły zebrawszy, beczkę piersiami i rękoma pchnęła. Beczka wszakże nie poruszyła się z miejsca. Wtedy dziewczyna zagłębiła w nią rękę i przekonała się, że prawie pod wierzch nasypała jest plewami. Schyliła się tedy i zaczęła je wybierać z gorączkowym pośpiechem. Pot wystąpił jęć na twarz, nogi się pod nią trzęsły, ale kupa plew rosła, a tuż do niej zbiegały się żerujące szczury. Poruszyła się wreszcie beczka z głuchym dudnieniem, a przyciśnięta nią poprzednio do połowy deska więcęć

jeszcze odchyliła się od zrębu. Hanka przysiadła na ziemi i, dysząc ciężko, odpoczywała przez chwilę. Potem nagle za deskę chwyciła, ciągnąc ją do wnętrza. Ciągnęła, odpoczywała i znowu ciągnęła, usiłowania jęć wszakże długo były daremne. Dziewczyna przecież nie puszczała deski. Paznokcie jęć, konwulsyjnie w drewno wszczepione, krwawić zaczęły, zaciśnięte zęby nie przepuszczały już teraz żadnego szeptu, jakaś rozpaczliwa energia rozdymała jęć nozdrza, a świszczący oddech coraz chrapliwszym się stawał.

Zatrzeszczała wreszcie nadgniła deska raz, potem drugi raz i trzeci, aż pękła wpośrodku ściany, a ciągnąca ją do siebie dziewczyna nawznak zamroczona padła. Zimne wszakże powietrze nocy, szeroką falą wpływające teraz do wnętrza komórki, orzeźwiło ją prędko. Zerwała się i ku Walerze, nadsłuchując, wyciągnęła szyję. Walera spała mocno, chrapiąc przewlekłe żalosnym, minorowym tonem. Przyklekła wtedy Hanka i wsunęła głowę przez otwór zrobiony w ścianie. Cicho było dookoła i ciemno. W ciemność tę wpatrzyła się dziewczyna chciwie, jakby ją piła wzrokiem. Przesunęła się potem cała na drugą stronę ściany i z bijącym sercem przy niej stanęła, niepewna, którędy uciekać. Wtém przypomniało jęć się, że zostawiła na barłogu swoją wielką chustkę. Pokiwała głową i westchnęła, poczem, skuliwszy się jak mogła, chyłkiem pod ścianami na tyły zabudowań gospodarskich wyszła. Kołowrot tu stał, który pod ręką dziewczyny skrzypnął lekko. Skrzypnięcie to uderzyło w nią nagłym jakimś przypomnieniem. Sięgnęła do kieszeni i, wyjąwszy z niej dużą miedzianą dziesiątkę,

którą pan sekretarz dał jój był w polu na wódkę, na słupku ją położyła.

Przez chwilę jeszcze widać było drobną postać uciekającą dziewczyny w stronę pola, poczem postać ta wsiąknęła w ciemność i znikła...

.

V.

Mżyło. Zimny i chmurny dzień miał się ku schyłkowi, coraz grubszym zachodząc zmierzchem. Gromady robotników i robotnie, wypuszczone z śródmiejskich fabryk, rozbijały się na pojedyncze kupki, drobniejące w miarę zapuszczania się w odleglejsze uliczki ubogich dzielnic miasta. Gwar ich rojny i nieokreślony zrazu słabł i przycichał stopniowo, zmieniając się na wyraźniejsze rozmowy dążących w jedną stronę towarzyszy. Środkiem ulicy szli ciężkim krokiem murarze, niosący cebrzyki, kielnie, sznury lub kawałki drzewa, to w ręku, to na plecach, jak któremu dogodniej się zdało; obok, po stronach, nadążały im kroku najemnice w białych płóciennych świtkach, z czerwono-żółtymi od pyłu ceglanego twarzami.

Pomiędzy tą rzeszą ludzką, posuwającą się hałaśliwie, zamaszyście, śmiało, snuł się wzdłuż parkanów cień drobny, skulony, trwożliwie rozglądający się dookoła. Była to Hanka. Szła szybko, ostrożnie, popychana usuwała się, znikając niemal, starając się tyle tylko zabrać miejsca, ile koniecznym było do postawienia dwóch stóp bosych, w drewnianych trepkach tkwiących. Chude jój łokcie przyciśnięte były do boków

szczelnie, ręce głęboko wsadzone w rękawy zwisającego z pochylonych pleców kaftana, mała, szara chustczyna, na głowie związana, niedostatecznie okrywała ciemne włosy. Była to ta sama chustczyna, którą Hanka w zanadrzu nosiła ze swemi dziesięciu złotemi; teraz w nią wiązać nie było co, a kupno trzewików przeszło w sferę niedościgłych marzeń.

Tydzień już minął od owéj nocnej ucieczki z magistrackiej kozy, a dziewczyna teraz dopiero wkradała się do Warszawy pod osłoną wieczornych mroków i rojowiska wracających gromad robotniczych. Instynktem jakimś wiedziona, z miejsca zaraz odbiła się daleko na stronę, a unikając gościńca, nie ku Warszawie, ale ku Mszczonowu się puściła, po zaroślach nocując, manowcami idąc, a do ustronnych karczmem zrzadka tylko, dla ogrzania się i kupna chleba zachodząc. Jak jéj na to wszystko rozumu starczyło — dziwowała się sama sobie. To, na co się ważyła pod wpływem gorączki i nieokreślonej zgrozy, obudziło w niej ducha głuchego buntu i oporu. Było to uczucie nowe dla niej i sprawiające dziwny przewrót w jéj biernéj, trzechletniem więzieniem do reszty zgłuszonej naturze. Czyny jéj i ruchy tępéj zawsze myśli i teraz były przeważnie instynktownemi; ale instynkt ten zaostrzył się, odkąd mu w pomoc przysłał posępna świadomość, że sam na siebie liczyć tylko musi. Kluczyła tedy dziewczyna w tę i ową stronę, jak zwierzę obławą ścigane; dwa razy przeleżała w torfiarskich szopach w febrze, psy poszarpały na nią odzież, wyszła z głodu i niewczasu, i teraz dopiero, kiedy ją wszystkie siły odeszły, zawróciła i, zakreśliwszy w swéj drodze szeroki łuk, zaczęła się zbliżać ku Warszawie, omijając gościniec, a tylko

zdala kierunku się jego pilnując. Warszawa zdawała się jéj uchroną najbezpieczniejszą. Instynktem odgađywała, że jak gąsienicy na liściastym krzewie, tak i jéj łatwiej się będzie ukryć w wielkiej ludzkiej gromadzie. Przeszła jeden zaułek, przeszła drugi, pod mury, pod parkany się cisnąć i ginąć w cieniu, aż dopadła furtki nizkiej, odemknęła ją do połowy i przemknąwszy się, na podwórku, zawałoném tarcicami i kłocami drzewa, stanęła. Posesya nie miała frontu, ale po obu stronach podwórka wznosiły się oficyny. Hanka, dobrze widać drogi świadoma, skreśliła na lewo, w sień weszła i schyliwszy się pod brudne, błotniste schody, zaczęła się spuszczać w czarny otwór, do suteryn wiodący. Ciemno tu było jak w rogu, a idąca dziewczyna potknęła się dwa czy trzy razy, to o szaflik z mydlinami, to o miotłę i łopatę stróża. Kierując się wszakże wzdłuż wilgotnej ściany, doszła do drzwi ostatnich, na które, przez zatkanie do połowy wiechem słomy okienko, nieco światła od latarni padało, drzwi te pchnęła i w odzwierku schyliła się wchodząc. Zrazu nie widziała nic przed sobą, gdyż izbę wypełniały kłęby pary, unoszącej się z balii, która zajmowała honorowe miejsce przy kominie. Tylko plusk wody i tarcie bielizny, w połączeniu z głośnem sapaniem, oznajmiały obecność praczki Walentowej.

— A kto tam?—odezwiała się od balii baba, kiedy drzwi pchnięte uderzyły klamką o ścianę.

Hanka nic nie odrzekła zrazu, tylko ciężko dysząc, o odzwierzek się wsparła. Obtarłszy tedy czerwone ręce z mydlin w mokry fartuch, Walentowa do drzwi podeszła.

— Wszelki duch... a toć to Hanka!—zawołała na-

pół z dziwem, napół z radością. — A odstępże ode drzwi, Hanuś! a pójďte na izbę!

Odrzuciła z drogi pęk brudnej bielizny i pociągnęła dziewczynę za sobą. Hanka dała się prowadzić jak dziecko. Suchy kaszel wstrząsał nią całą. Walentowa zwróciła ją twarzą do komina, nad którym paliła się lampka mdlém, migotliwém światełkiem, a sama stanawszy przed dziewczyną, żałośnie w ręce kłaśnieła.

— Patrzajcież, moi ludzie, co oni z nią zrobili!... A to ci ją wyblechowali, jak na blechu... A to ci z niej węckę zrobili... Naści, popij trochę — dodała, poczerpnawszy wody półkwartkiem ze zbutwiałej konewki.

Hanka, uspokoiwszy się nieco, wodę wypila, pocałowała Walentowę w rękę i objęła za kolana. Baba przytuliła ją do szerokiej, spoconej, przesiąkniętej wonią mydlin piersi. Uścisk ten przepelnił serce dziewczyny. Padła na stółek i głośno płakać zaczęła. Walentowa stała nad nią, kiwając głową.

— A to ci ją zmizerowali, niech ich choroba! A to ci ją ususzylili!... Dziewczyna była jako kwiat, a tera spojrzeć niema na co... I cóż ty poczniesz, chudobo?... Na dobre cię puścili?...

— Ale! Na dobre tam... — przemówiła wreszcie Hanka i znów mocno płakać zaczęła.

Zaniepokoiła się Walentowa.

— To i jakże ty, Hanuś...

— Bijcie mnie, zabijcie, ale mi się o nie nie pytajcie! — odrzekła Hanka z jakąś rozpaczą w głosie. — Aby tę nockę u was przebęde, a potem niech się co chce dzieje...

— Widzieliśta, moi ludzie, głupia? — przemówiła

Walentowa, pod boki się rezolutnie ujmując. — A co to my nie swojaczki, czy co, żebyś ty u mnie poratowania nijakiego nie miała? Nie byłam to twemu ojcu kumą, co mi jeszcze półpięta złotego pożyczył na drogę do Częstochowy, świeć Panie nad jego duszą...

Hanka znów po jej rękę sięgnęła.

— Nie gniewajcie się, moi złoci! moja Walenta! Już wam wszyscyusko opowiem, tylko mnie ten żal odejdzie... moi święci!

Baba się udobruchała.

— To czekajże Hanuś — wyrzekła po chwili z namysłem, — skoczę ja do sklepiczarki, prania licha nie weźmie, nagotuję ci herbaty, przyniosę bułek, boś ty i głodna może, mizeroto...

Chwyciła z łóżka chustkę, zarzuciła ją na głowę, zakrzętnęła się po izbie i wyszła.

Hanka oparła się plecami o wilgotną ścianę i przymknęła oczy. Ciepło ją rozmarzyło, blada jej twarz pokryła się kroplami potu, spuszczone rzęsy rzucały długie cienie na wychudłe policzki, uboga odzież podnosiła się nierównym ruchem na wstrząsanych ostatkiem łkania piersiach. Po chwili uspokoiła się i — przejęta wilgotném ciepłem izby — zasnęła.

Walentowa tymczasem wróciła, rozdmuchała przygasyły ogień, przystawiła garnek, na stole położyła kawałek wędzonki i kilka bułek, znów się schyliła, dmuchając pilnie na ogień, który jaskrawo oświeślał jej szeroką, pocziwą twarz mazurską, — a kiedy wszystko było gotowe, stanęła przed Hanką, nie wiedząc, czy ją budzić, czy nie budzić...

Dziewczyna miała oczy niedomknięte, zmrużone, a usta zaciśnięte żałośnie. Wyraz cierpienia przywarł

do jęj twarzy maską pełną głębokich, tragicznych cieniów. We dnie twarz tę młodą a znędziałą szpeciła tępość jakaś, jakieś ogłupienie, które po brutalnych ciosach życia, jak po ciosach obucha, zostaje. We śnie panował na niej bez podziału ból i czynił ją na swój sposób piękną.

Walentowa nie zdawała sobie z tego sprawy, a jednak stanąwszy przed dziewczyną, była jakby pod wpływem jakiegoś uroku. Załamała grube, czerwone ręce, kiwając głową, a na usta przychodziły jęj słowa pacierza, jakby nad umarłym.

— Matko Boska Częstochowska! Matko wielkiego miłosierdzia! Co oni z niej zrobili, pogany... Dziewczyna była jak róża, jak łania, a teraz rodzony ociec by jęj nie poznał... ptak by jęj zapłakał... Ino ją do trumny kładź, taka ci bledziuska... Oj, skrzywdziły ją, pogany, skrzywdziły, niech ich Bóg skarzel... A psik!—zawołała nagle na burego kota, który, zapachem wędzonki zwabiony, z komina skoczył i, najeżywszy grzbiet w kabłąk wygięty, obcierał się, mruczając, o leżące na stole specyały, — a psik, ty złe nasienie! A bodajżeś...

Nazajutrz stanęło na tém, że dopóki dziewczyna się nie odgryzie, Walentowa nie puści jęj od siebie.

...A cóż to ona, nie kuma? A w stancyi albo to roboty mało? Choćby tylko tyle, co wody przynieść i strawę uwarzyć, to i tak się dziewczucha przygodzi. A i to jest człowiekowi markotno, że gęby w izbie nie ma do kogo otworzyć, i sam się jak kolek obraca po tych czterech kątach... Żeby tak, Boże zachowaj, choroeba, toby kropli wody podać nie było komu. Juści się dziewczynie noga powinęła, co prawda, to prawda,

niech ją tam pan Jezus sędzi. Ale równo się sama ze siebie na złe nie puściła, ino z tego głupiego kochania. Wiadome rzeczy... Jak się chłop ladaco zawęźmie, to i najpoczeiwszą skusi.

Decyzja, która po tém rozumowaniu w statecznym umyśle pani Walentowej stanęła, była niewzruszona. Nie puści dziewczuchy od siebie—i tyle. Hanka ze strachem jakimś przyjmowała nadzieję nowego życia i spokoju. Nie dowierzała swęj doli. Przez pierwsze dwa dni chodziła około porządku w izbie jakby zatrwożona, to we drzwi, to w okienko razwraz poglądając. Na trzeci dzień oswoiła się nieco, na Walentowę zaczęła wołać „ciotko,” głaskała burego kota i snuła się koło komina cicha, rozradowana, z twarzą, której śniadość zdawała się ustępować przed jakimś światłem, z wnętrza bijącym. W oczach jęj tylko zostały dawne cienie, właśnie jak te mroki, co się po lasach kryją, kiedy już cała okolica pełna jest świtania.

Na czwarty dzień siedziały obie kobiety w południe przy misce, kiedy drzwi skrzypnęły i stróż wszedł do izby. Hance łyżka wypadła z ręki.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków. A co tam nowego Pan Bóg dał?

— A wedle meldunku...

— Jakiego zaś meldunku? Abom to się nie meldowała? Abom to „karty pobyt” nie wykupiła?

— Ja téż do pani Walentowej nie mam nijakiej sprawy, ino do téj panny.

Zaperzyła się praczką. Hanka mocno trząść się zaczęła.

— No to co? To i ta panna będzie miała meldu-

nek i kartę pobyt. Cóż to pan Franciszek rozumie, że to, nie przymierzając, taka, jak te z drugiej oficyny? U mnie się takie rzeczy, chwalić Boga, nie najdują!

Stróż czapkę na głowie przekręcił i skrobał się za uchem. Wymowa pani Walentowej imponowała mu widocznie; postanowił wszakże być nieugiętym.

— A co mnie tam kaci do kogo! Ja porządku patrzę w kamienicy, bo mam z tego chleb. A panna niech meldunek szykuje, bo ino patrzeć naczelnika... Ja tu zaś przyjdę pod wieczерz...

Cofnął się i drzwi za sobą zamknął.

Kobiety spojrzwały po sobie. Hanka miała wzrok przerażony, Walentowa kiwała głową. Znała już historię czerwonego paszportu dziewczyny.

— Na śmierć ci zapomniałam, że tak tera z temi meldunkami pędzą... Bodaj ich choroba!

Hanka wybuchnęła płaczem.

— Oj, nie dajcie mnie od siebie, ciotko, na stracenie, nie dajcie!

— Cichoj! cichoj!—uspakajała ją praczka.—Możeć to jeszcze wszystko Pan Jezus przemieni...

Głaskała ciemne włosy dziewczyny wielką, szorstką dłonią, ale w mięsistém jéj obliczu znać było ciężką troskę.

Nadszedł wieczór. Hanka ze drżeniem oczekiwała ukazania się stróża, ale stróż nie przyszedł. Nazajutrz nie przyszedł także. Otucha wstąpiła w serce dziewczyny.

— Może też Pan Jezus da... — powtarzała sobie w duszy. Co ma dać, nie wiedziała dobrze, ale się wiary téj chwytala, jak deski zbawienia.

Upłynął tydzień, była niedziela. Walentowa wy-

brała się po pieniądze za pranie do „kawalerów z przeciwnika,” gdy w bramie niespodzianie natknęła się na pana rządce. Pan rządca był człowiek młody, elegancki, w kamienicy nie mieszkał i zaglądał do niej jak mógł najrzadziej. Właśnie odbywszy to, co nazywał pańszczyzną, naciągał rękawiczkę, kiedy mu baba w drogę weszła. Przystanął, zapinając guziczek, i zatrzymał ją skinieniem głowy.

— Co mi to tam stróż mówił, że pani jakąś dziewczynę u siebie bez meldunku trzymasz?

Zatrwożyła się praczka, ale nie straciła miny.

— Iii... cobym zaś miała kogo trzymać, proszę łaski pana. Tak się ta do mnie przygarnęło mizernictwo jedno, żeby aby febrę zgubić... A stróż by lepiej patrzył tych hamanów z tamtéj oficyny, co bez całe dnie i noce obrażę boską robią...

— No, a ja panią przestrzegam, żeby tego nie było. Albo dziewczynę meldować, albo niech rusza, zkad przyszła. Ja za nią odpowiadać nie chcę. Rozumie pani?

Walentowa pocałowała go w rękę.

— I... co ta proszę łaski pana! Kto tam potrzebuje zara o tém wiedzieć. Niech ta jeszcze z jaki tydzień posiedzi, co aby zimno zgubi. Adyć tu ona ni-jakiego placu nikomu nie zastępuje...

Zniecierpliwiony rządca językiem o podniebienie klasnął.

— Ale co to za głupie gadanie! Przecie ja za to jestem odpowiedzialny, karę mogę zapłacić, z rządco-stwa, do licha, wylecieć. Cóż to, nie wiecie, jakie teraz porządki?

— Adyć wiem, wiem, proszę łaski pana...

— No więc, jak wiecie, to dobrze.

Odwrócił się.

— Franciszek! Meldunek od dziewczyny téj dziś ściągnąć, słyszysz?

— Słyszę, proszę pana.

Pan rządcą zapiał palto pod szyją, zapalił cygaro i poszedł. Walentowa chwilę stała w bramie z wyrazem mocnego namysłu w grubiej twarzy i małych siwych oczkach, poczem się zawróciła do stancyi. Przez dziwną jednak delikatność serca, właściwą wielu prostym kobietom, choć obcą niejednej damie „z towarzystwa,” o spotkaniu swoim z rządcą nie odezwała się do Hanki ani jednym słówkiem, tylko się po izbie pokręciwszy, jakby zapomniawszy czego, wyjęła z półskrzynka węzełek z pieniędzmi, nie będąc widać zbyt pewną owych kawalerów z przeciwka, i jedną jeszcze chustką obwiązawszy głowę, na miasto poszła.

Hanka tymczasem nagotowała obiad i, przykrywszy garnuszki, u komina siadła, patrząc na czerwone węgle i modre płomyki. Siedziała, kiwała głową, medytując i wzdychając ciężko. Od owego pojawienia się stróża była ona jak trawa, po której wichry idą. Ani dla niej snu w nocy, ani spokoju we dnie. Po kątach tylko ugląda, a patrzy, a nasłuchuje, z której strony zle na nią przyjdzie... A serce się w niej trzęsie, jako ten liść osikowy na podzimie. O Jezus, Jezus! I co by to komu szkodziło, żeby o niej ludzie zapomnieli, żeby już tu tak zostać mogła do jakiego końca...

Obejrzała się po izbie.

— A toć jęj tu tak jest, jakby do rodzonej matki trafiła. A toćby ona, wstając, kładąc się, Bogu dziękowała... Prawda, że wielkiego zdrowia Pan Jezus nie

dał; ale równo, wezwawszy Boga na pomoc, dzień albo i dwa przy balii przestoi... Oj prałaby, prała z Walentową, inoby się migoty robiły... Oj, po co to ludzie wymyślili te meldunki, po co...

Kiwała jeszcze głową, ale już myśleć przestała. Duszę jęj tylko zalała wielka gorycz, której smak czuła niemal w kurczowo zaciśniętych ustach. Niedawno jeszcze bała się ludzi, teraz zaczynała ich nienawidzić. Węgle na kominie wygasły, w izbie zrobiło się ciemno.

Jakiego rodzaju były zabiegi Walentowej podczas kilkugodzinnej wyprawy na miasto, nikt nie wiedział o tém; ale powróciła z niej rzeźka, wesola, odmlodzona jakby.

— Słuchaj Hanus — szepnęła od proga zrywając się ku sobie dziewczynie. — Chustkę moję bierz i chodźma...

Hanka stanęła wpośrodku izby, niepewna i zadowolona.

— Dalej, dalej... — nagiła praczka, — nie marudź, bierz chustkę, póki się ten zapowietrzony kożuch nie zmiarkuje...

Epitet ten stosowała pani Walentowa do stróża, z którym w ciągłej żyła kolizyi z powodu mydlin, wylewanych, jak utrzymywał Franciszek, „na samym trakcie.”

Zakręciła się dziewczyna, ręce jęj się trzęsły, nogi płatały, o mało się nie przewróciła przez burego kota. Znalazła wreszcie poomacku chustkę, zarzuciła ją na głowę i wyszły, ostrożnie przywierając za sobą drzwi skrzypiące.

Szły śpiesznie i cicho. Hanka zatrwożona w so-

bie, Walentowa sapiąca z ukontentowania, ale także czegoś wzruszona.

— To jakże będzie, ciotuchno?—zagadnęła dziewczyna, kiedy się już znacznie oddaliły od domu.

— Jak ma być? Dobrze będzie. Pan Jezus miłosierny dopomógł i tyła. Nie mój w tém rozum i nie moja wola, ino ludzki rozum i boska wola. A ty się nie nie frasuj, nie sobie do głowy nie dopuszczaj, ino się do roboty bierz...

— A gdzie mnie dajecie, moi złoci?...—nalegała Hanka.

— Gdzież cię to mam dawać? Do ludzi cię daję. Znalazłam ci taką służbę, że to ha! Te dwa kawaliry z przeciwnika, co to do nich chodziłam po pieniądze, to ci się jeden ożenił i aże na drugi koniec miasta wyciągnął, co mu rządcostwo dali za mieszkanie. Tak idę ja do niego i mówię mu tak i tak, co tu dziewczyna jedna jest, ino że jój stary paśport wyszedł, a nowego jeszcze nie dosłali...

— O Jezul! — przerwała Hanka wystraszonym głosem.

— Ino cichoj, cichoj! — ofuknęła ją ostro Walentowa. — Nie mój w tém rozum, ani twój, ino mądrzejszój głowy dorada... A Pan Jezus miłosierny grzesznemu człeku odpuści, choć się ta co i nie tak akuratanie powie... Ino, że trza będzie we gminie pisarza ujednać...

Hanka zamilkła. Nie o grzech jój szło, ale się bała, żeby ją ten wykręt w gorszą jeszcze matnię nie wpędził. Spuściła głowę i posepnie się obok praczki wlokła.

— Jak ja jemu to powiadam, tak on do mnie:

Z nieba-ście, moja kobietko! Żeby tak co porządnego, toby my zaraz sami ją wzięli, bo nas ta baba pijaczka co tu na obsługę dochodzi, do ena zmarnuje...

— Tak ja go w rękę. Czemu nie, proszę łaski pana. Dziewczyna jest, co się nazywa. Tak on znowu: Bo widzicie, moja kobietko, ja tu meldunki w kamienicy trzymam, toby się to jakoś jedno z drugim tymczasowie polatało. Tak ja go znów w rękę... Co prawda, to mi już więcej jak pół roku za dwa ręczniki i pięć kołnierzyków od prania winien. Ale myślę sobie: Zarówno tam! Nie będę mu się upominała. Abo ta człowiek ma tę parę groszy, abo nie ma...

Machnęła ręką i zamilkła.

Tegoż dnia jeszcze odbyła się instalacya Hanki na nową służbę. Dziewczyna szła do niój, jakby na stracenie, tak się już bała tych ciągłych odmian, z których każda przynosiła jój nową biedę. Walentowa fukała na nią zrazu, ale kiedy przyszło do rozstania, jój samćj po czerwonych, gąbczastych policzkach puściły się łzy drobne, jasne, szybkie...

Młodzi państwo zachwyceni byli swoją nową służącą. Wogóle zachwycali się oni jeszcze wszystkiem, a najbardziej sobą. Pierwsza to była prawdziwa służga na ich własnem gospodarstwie; zdawało im się téż, że sami przez nią nabierają powagi, znaczenia. Szczególniej pochlebiali to pani, która, skazana dawniej na przymusowe milczenie w towarzystwach damskich, teraz razem z innemi mogła zabierać głos w niewyczerpanej nigdy kwestyi sług złych i dobrych. Trzeba téż było widziéć, z jaką dumą zaczynała dyskurs od słów: Moja służąca... lub: moja Hanusia... Była to prawdziwa rozkosz.

W Hance także dusza tajała powoli, a chmurne jęj oczy zaczynały miewać spojrzenia ciche i słodkie. Walentowa odwiedzała dziewczynę zrazu często bardzo, przynosząc jęj to fartuch jaki, to podszarzaną spódnice, to poduszczynę, to kołdrę wyłataną przez siebie; potęm przychodziła rzadziej, bo nogi jęj puchły i daleko puszczać się nie mogła. Nie było przecięz niedzieli, żeby się, choć stękaająca, nie przywlokła obaczyć, czy jęj Hanusia krzywdy jakiej nie ma.

Upłynęła tak miesiąc i drugi miał się ku schyłkowi, kiedy Blacharzówna, wybrawszy się w dzień targowy z koszem na Ordynackie, nagle zobaczyła kręcącą się po rynku Walerę. Walera wyglądała wspaniale. Miała na sobie piękne syberynowe okrycie i żółtą włóczkową chustkę na głowie; nie zdawało się tęż, żeby tu przyszła po jakie sprawunki, gdyż nie niosła ze sobą koszyka, a obie ręce trzymała w futrzanej mufce.

Odwróciła Hanka corychlęj oczy i zeszła parę kroków z drogi; zdało jęj się przecięz, że i Walera zobaczyła ją, i także się na stronę cofnęła. Po niedługiej chwili dziewczyna znów spojrzała. Obok Walery kręcił się teraz wysoki i chudy mężczyzna; szeptali coś z sobą, a Walera wzrokiem pokazywała ją towarzyszowi.

Zatrwożyła się Blacharzówna i między ludzi w największy tłok się rzuciła; ale chudy jegomość widocznie miał ją na oku i wkrótce go naprzeciw siebie ujrzala, tym razem samego.

Skręciła wtedy nagle na prawo, coraz większą uczuwając trwogę; on jednak i tu zaszedł jęj z przeciwnęj strony i obtarł się niemal o nią, przechodząc niby

obojętnie, a w twarz jęj patrząc bystro, przenikliwie. Wtedy Hanka, nie załatwiwszy nawet połowy sprawunków, ku domowi się w najwyższém przerażeniu puściła; chudy jegomość jak cień postępował za nią, trzymając się wszakże w pewnej odległości. Dopiero kiedy już dopadała bramy, zrobił kilka wielkich kroków i położywszy rękę na koszyku, który niosła, rzekł zcicha:

— Dasz panna rubla, to dobrze. A nie dasz, to drugie dobrze. Pójdziem do ratusza.

Zatrzęsło się serce w dziewczynie. Wiedziała teraz, że to „łapacz.” Obróciła ku niemu twarz nagle zczerniała, oczy jęj zapłonęły posępnym błyskiem, otwarła usta, po których przelatywało jakieś kurezowe drżenie. Nie wszakże nie rzekła, tylko popatrzywszy w ziemię, jakby nieprzytomna, sięgnęła do paskich pieniędzy, wyjęła z nich rubla i dała.

Łapacz paperek wziął, obejrzał, do brudnego mieszka schował, spojrzał na numer domu, rozejrzał się po bramie, kiwnął głową i rzekł:

— Za tydzień przyjdę. Do widzenia z panną.

Dziewczyna ciężkim krokiem powlokła się na górę.

Dnia tego młoda pani była cokolwiek zdziwioną nieuwagą i pomieszaniem swojej służącej. W mieście mnóstwa rzeczy zapomniiała kupić, a w domu wszystko jęj z rąk leciało, jak to mówią. Zdziwienie to wzrosło jeszcze, kiedy z obrachunku pokazało się, że Hanka ze zmienionych pięciu rubli bez opowiedzenia się wzięła rubla na jakiś własny sprawunek, o który wszakże zapytana nic nie odpowiadała. Uwag swoich w tym względie udzieliła młoda pani przy obiedzie „naj-

droższemu Lutkowi;" ale ponieważ najdroższy Lutek do biura się śpieszył, jedynym przeto wnioskiem, jaki z nich wyciągnął, było to, że ucałował oba rumiane policzki „żonusi" i wyszedł, ani o rubla, ani o pomieszanie służącej nie kłopotząc się w należytej mierze.

Skończywszy w domu robotę, pobiegła Hanka do Walentowój.

Jaka tam była pomiędzy nimi rozmowa, nie podejmuje się powtarzać. To pewna, że w niej więcej leż niżeli słów było. Upływały godziny, stara praczka płakała, przeklinając zcicha dla ulżenia sobie; Hanka, jak padła na stół, tak siedziała na nim, w chudych rękach trzymając zwieszoną głowę.

— Choćby gdzie uciekać... — szepnęła Walentowa. Mówiła cicho, jakby się bała obudzić większe jeszcze nieszczęście.

— Gdzie? Do kogo? — odrzekła, nie podnosząc głowy, Hanka. — Zostanę w mieście, to mnie o meldunek ścigać będą... Pójdę we świat, to mnie, jak tego psa zapomnianego, ulapią... Abo to nade mną prawo jakie, abo co?

Mylili się dziewczyna. Było nad nią prawo. Prawo twarde, mocne, bezwzględne, którego każda litera była powrozem na jej ręce, łańcuchem na jej nogi, biczem na jej plecy, głodem dla jej ciała, przepaścią dla jej duszy. Było nad nią... prawo pobytu.

Pod tym to prawem łamała się dziewczyna, sprawy sobie nie zdając z całego szeregu następstw jego, które ją fatalnie coraz ciśniejszém obejmowały kołem. Pod tym prawem wyczerpywały się jej siły, obumierała wola ku dobremu, budziła nienawiść, serce zachodziło goryczą. Nie wiedziała o tém, bo prawo

było wysoko, a ona nisko; prawo nazywało się sprawiedliwością, a ona przestępczynią; prawo było jasne, potężne, szanowne, a ona ciemna, słaba i wzgardzona.

Mylili się więc. Było prawo. Ale w prawie tém leżała jej krzywda.

Tegoż dnia jeszcze objawiła „żonusia" „najdroższemu Lutkowi," który już usypiał, że jedenasta dochodzi, a Hanka jeszcze niema. Na co „najdroższy Lutek" zaproponował „żonusi," aby zgasila lampę, bo mu w oczy świeci. Młodą panią to oburzyło. Dwie jasne łezki gniewu, jak iskry, zabłysły w jej modrych oczach, i bardzo stanowczym głosem powiedziała mu, że on, jako mężczyzna, może być niemoralny, wszyscy bowiem mężczyźni są, jak wiadomo, niemoralni. Ale ona inaczej była wychowana i nie pozwoli nigdy, to jest nie spodziewała się nigdy, aby... żeby...

Lecz tu „najdroższy Lutek" przykrył głowę kołdrą, a „żonusia" rozplakała się z oburzenia nad jego zatwardziałością.

Nazajutrz Hanka krzątała się cicha i uspokojona jakby, tylko jej ruchy były powolniejsze, a w głęboko podkrążonych oczach paliły się jakieś gorączkowe blaski.

Przeszedł tydzień. Jak i kiedy—dziewczyna nie wiedziała sama. Każda godzina w dniu taka ciężka jej była, jako kamień młyński; a przecież tyle ich przeleciało nad nią, jak te kruki czarne...

...Oj dolo, dolo... Na czarnych ty skrzydłach, na czarnych piórach nad ziemią sięnosisz... A nie jesteś ty, dolo, jako ten gołąb biały, ale jesteś jako ten kruk krącający...

Był dzień piątkowy. Hanka od rana zawiązała

w gałganek przyniesionego od Walentowej rubla, w kieszeń go włożyła i czekała.

Ani na rynku wszakże, ani na drodze do domu nie spotkała nikogo. Wybiegła raz przed bramę, wybiegła drugi raz — nikogo. Przeszło południe, niepokój jej wzrósł. Może się łapacz rozmyślił... może dał znać do ratusza... W męce przeżyła ten dzień i dopiero późnym wieczorem, wybiegając po wodę, spotkała go w bramie.

Stał i brudną kraciastą chustką ocierał pot z czoła.

— Ale też panna służbę sobie wybrała, niech pannę Bóg kocha! Taż to miła drogi do panny. Czyste przedpiekle...

Nie odpowiedziała, tylko sięgnąwszy do kieszeni, rozwinęła rubla, i obejrzawszy się, szybko mu go podała.

Łapacz się skrzywił.

— Cóż to panna myśli, że ja po głupiego rubla będę tutaj chodził? Daj panna chociaż z dziesięć złotych...

Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem. Nie spodziewała się, że może zażądać więcej. Nie miała zresztą...

Odważyła się przemówić, a głos jej wydał się jej samą jakąś obcą, jakby nie z własnej piersi idący.

— Miejcie sumienie... I to nie moje. Zkąd ja...

Nie dał jej dokończyć.

— A co mnie do tego. Mnie tam wszystko jedno!

— Zaraz... Niech ino pan tak nie krzyczy... Pójdę do pani...

Udobruchał się w jednej chwili.

— No, to ja zaczekam w bramie.

Pobiegła na górę. Pani przeraziła się jej bliskością.

— Co ci się stało? co to? z czego?...

— Nic, proszę pani. Nic. Chciałam tylko prosić o pół rubla...

Pani nie było to na rękę. Miesiąc się skończył, wydatki były obliczone ściśle, zasługi miały być Hance wypłacone dopiero po pierwszym. Próbowwała tedy paktować.

— Na cóż ci to tak pilno pieniądze potrzebne? Wieczór już... nie przecież kupować nie będziesz...

Dziewczyna nie ustępowała, nie mogła ustąpić. Dostała wreszcie garstkę miedziaków i zanosła je łapaczowi.

Przeliczył, wyspał do kieszeni zielonkowatego paltota i, kiwnąwszy głową, rzekł z odcieniem życzliwości w głosie:

— Bądź panna zdrowa. Jak będę miał czas, to zajrzę.

Mówił to tak dobrodusznie, jakby był najszczerzej zapraszany gościem.

Po Hance przeszedł płomień nienawiści.

Jak będzie miał czas! Bodajżeś go nigdy nie miał, przekletniku! Bodajże ci brakło czasu na skonanie... na wezwanie imienia boskiego w śmiertelnej godzinie!

Zacisnęła splecione ręce, aż jej w stawach trzasło.

Łapacz tymczasem szedł sobie zwolna ulicą, rozglądając się obojętnie dokoła. Można go było wziąć za podupadłego oficjalistę jakiegoś prywatnego biura.

Rozmowa wszakże Hanki z obcym mężczyzną w bramie wieczorem zwróciła w kamienicy uwagę.

— Cóż to sobie panna za kawalera wybrała? — zapytała przechodząca stróżka. — Co prawda, to mogła też sobie panna święcie inszego poszukać. A toć to jest dziad przeciw panny... Co to? tutejszy? Wdowiec? Profesyant?

— Hi... hi... hi!... Jabyłm za takiego za żadne pieniądze nie chciała... — śmiała się młodsza z pierwszego piętra. — Żeby on mnie tam i miodem smarował... Dziadziśko takie!...

Hanka nie odpowiedziała na te zaczepki. Stała w miejscu, jakby ścierpnięta, nie widząc, nie słysząc, co się koło niej dzieje. Aż wyszedł z jej piersi jęk przeciągły, jedyny wyraz, jaki ta wpółśpiona, sponiewierana dusza umiała znaleźć na swój ból i na swoją krzywdę.

Odtąd było jej jeszcze ciężiej żyć w ciągłej niepewności i strachu, nie wiedząc dnia, ani godziny. Nie dosypiała po nocach, nie dojadła we dnie, wszystko jej się obracało w gorycz i w truciznę. Kiedy upłynął tydzień, prosiła pani znów o dziesięć złotych. Bała się, aby ją prześladowca nie zaskoczył gdzie na ulicy — chciała mieć pieniądze w pogotowiu. Ale pani się to nie podobało wcale. Miała właśnie jakiś sprawunek nadetatowy na myśli i liczyła potroszę na to, że Hanka po owym półrublu tak prędko nie zażąda pieniędzy.

Powiedziała jej zatem, że z góry zasług dawać nie może, a po obiedzie zawiadomiła „najdroższego Lutka,” że służąca się zupełnie zepsuła, że ją stróżka widziała, jak w bramie z kawalerem wystaje, i że jak

tak dalej będzie, to ona... jako pani domu... nie może przecież...

Zachłysnęła się. Niedobrze jeszcze знаła rolę swoją. Nie wiedziała zresztą napewne, co może, a czego nie może. Arcy-poważna jednak minka miała zastąpić resztę niedopowiedzianej myśli. „Najdroższy Lutek” wysłuchał z wielką flegmą całej tej oracyi, a ponieważ był już po czarnej kawie i po papierosie, zdjął palto z kołka i, kładąc je, rzekł:

— To ja, żonusi, później dziś trochę przyjdę na herbatę, bo mam dyabłą robotę...

Wyszedł, a „żonusia” uczuła, że jest najnieszczęśliwszą w małżeńskim stanie, i że teraz dopiero widzi, jacy to są ci mężczyźni...

Nie mogąc dostać pieniędzy od pani, Hanka raz jeszcze pobiegła do Walentowej. Zastała ją w łóżku, chorą, stękającą, z nogami opuchniętymi jak kłody, bez dozoru, bez wygody, w zimnej, wilgotnej izbie leżącej. Ścisnęło się serce dziewczyny, i nie już o pieniądzach nie mówiąc, zakrzętnęła się tylko, żeby izbę ogrzać, strawę zgotować i felczera sprowadzić. Okazało się, że po zapłaceniu felczera parę dziesiątek ledwo zostało w półskrzynku Walentowej. Dziewczyna z tej wyprawy jak błędna wróciła do domu, i ledwo podawszy samowar, chwyciła swoją marną poduszczykę i do fancieski poszła.

W parę dni potem, a było to zrana, skrzypnęły drzwi od kuchni, a w progu jej stanął łapacz.

Dziewczyna chwyciła się komina i patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

— Dzień dobry pannie — przemówił uprzejmie łapacz. — Jak się panna miewa? Byłem wczoraj w bra-

mie, ale mi powiedzieli, co panna gdzieś poszła. Tak dziś przyszedłem zobaczyć. Człowiekowi pieniędzy potrzeba... A cóż tak goło jakoś koło panny? Ani pościeli, ani kufra!... Moja panno! to tu widzę u panny nietęga obrada...

Truchlejąc, żeby państwo nie posłyszeli obcego głosu w kuchni, sięgnęła dziewczyna pod siennik i podała przybytemu przyniesione od faniarki pieniądze.

Wziął, przeliczył i ramionami z politowaniem wzruszył.

— Półszosta złotego?... Phii... I to już wszystko?

— Jedyną poduszkę zastawiłam... — szepnęła dziewczyna głuchym, zdławionym głosem.

Popatrzał na nią.

— No, kiedy tak, to niema nam się co ze sobą bawić, moja panno. Bądź panna tymczasem zdrowa.

Odszedł. Hanka runęła przy drzwiach, wybuchając gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

W godzinę potem zabrano ją do ratusza, a młoda jęć pani przez cały następny tydzień prym trzymała na wszystkich damskich posiedzeniach; żadna bowiem z jęć znajomych nie miała do opowiedzenia o służącej swojej takiego, jak ona, „skandalu.”

VI.

W chwili, kiedy łapacz prowadzący Hanke ukazał się w trzecim podwórzu ratuszowego gmachu, szereg zakratowanych, czerniejących tu i owdzie powybijanymi szybami okien w tęg jego części, która zamyka perspektywę od strony ulicy Daniłowiczowskiej, zapelniony był męzkami i kobiecami głowami. Nie stanowiły wyjątku pod tym względem nawet tak zwane „obywatelskie” numery, w których ośiadują areszt policyjny osoby, korzystające z przywilejów stanu.

Przedmiotem ciekawości całej tęg galeryi był brudny, zabłocony, chudy pudel, którego strażnik uczył aportować i służyć. Ilekroć pies przybierał postawę pionową, u góry robiła się cisza, przerywana zaledwie pojedynczemi wykrzykami: „ustoi!... nie ustoi!” Kiedy wszakże znużony psina opuścił przed czasem mdlejące łapy, a ciężkie razy grubego rzemienia na drżący grzbiet mu spadały, galerya wybuchała szalonym śmiechem i tupaniem, które, w połączeniu z żałosnym skowytym pudła, tworzyły prawdziwie piekielną wrzawę.

Pojawienie się w podwórzu łapacza z dziewczyną zrobiło w tęg widowisku powszechną dywersję. Stra-

znik kopnął psa, który w koziołkach przeleciał pod drugą oficynę, skomląc przeraźliwie, a grube i piskliwe głosy zwróciły się do przybyłego.

— Ojczulek! ojczulek! Jak się ojczulek miewa?...

— Dzień dobry ojczulkowi! Dzień dobry! Dzień dobry!

Łapaczowi pochlebiała widocznie ta popularność. Podniósł głowę, zmrużył lewe oko, i pogroziwszy ku oknu długim, chudym palcem, pokazał w uśmiechu kilka wielkich, żółtych zębów, sterczących pod opustoszałymi w większej połowie dziąslami.

Wrzawa jeszcze się wzmogła.

— Co to? Ojczulek z polowania? Jakże się udało?... Zwierzynka jest?—krzyczeli jedni.

— Panno! panno! spuśćno panna chustkę!—wrzeszczeli drudzy.

— Do nas ją tu! Do nas!

— Dawaj ją, ociec!

— Ciszéj, zbóje!—krzyczały kobiety, wysuwając pięście i głowy przez potłuczone szyby w stronę męskiego oddziału.

— Wy same, baby, ciszój!... — odpowiadali mężczyźni.

— Hej, ty tam, niuńka!... Nie słyszysz, że się do ciebie gada?

— W kark ją, ojczulkul!... A dobrzel!...

Hanka szła wyprostowana, krokiem równym, przyspieszonym, z jakąś ponurą determinacją w ruchach. Mocno ściągnięte brwi nadawały jej twarzy wyraz groźnej boleści. Wąskie usta lekko drżały, a nieruchomo utkwione w przestrzeni oczy zdawały się patrzeć w otchłań krzywdy i klęski. Przeszła tak

podwórze, bramę, schody i dopiero kiedy ją w końcu długiego kurytarza „pod numer” wpuszczono, oparła się plecami o ścianę, jakby upaść miała, przygarbiła się, opuściła ręce, a oczy jej chodziły jak błędne po wielkiej, brudnej izbie, w której, stosownie do litery prawa, miała odsiedzieć dwa tygodnie aresztu za ucieczkę swoją z pobytu. Izba ta nie było to właściwie więzienie, ale ohydny etap, przez który przepływały coraz to nowe fale nędzy, znikczemnienia i hańby, zostawiając tu swe ponure ślady. Kilkanaście brudnych, zbitych z desek tapezanów stanowiło sprzęt jej jedyny. Na tapezanach chrapało parę pijanych kobiet, kilka innych tłoczyło się do drzwi dla zobaczenia i wypytania przybyłej.

Rozczarowały się prędko. Było to jakieś „głupie dziewczysko,” z którym się dogadać nie było można.

W południe przyniesiono szaflik kaszy, przy którym powstała gwałtowna kłótnia o skwarki ze starego sadła. Hanka w tym pierwszym obiedzie nie brała udziału. Nikt jej nie wołał, łyżki dla niej nie dano. Przyszła późno, kasza nie była na nią „rozrachowana,” jak utrzymywały dawniejsze lokatorki izby.

Dziewczyna nie czuła głodu, nie dopominała się też o nic, a zwinąwszy się w kłębek, na ziemi w kącie siadła, głęboko na twarz zapuściwszy chustkę Walentowej.

Zmierzch zapadał szybko. Przyszła noc, a przy migoczącym świetle zapalonych nade drzwiami latarni można było widzieć rojące się po ścianach robactwo. Nowa kłótnia, którą aż strażnik uciszać musiał, powstała przy zajmowaniu tapezanów. Baby do oczu

sobie niemal skakały, nie mogąc się pogodzić o miejsca; potem, zmuszone interwencją strażnika, pokładły się, klnąc i lamentując; a kiedy odszedł, długo jeszcze warczały jedna na drugą, aż je nareszcie sen zmorzył. Hanka też skulona w kącie na ziemi zasnęła.

Wkrótce przecież po północy zbudził ją hałas w kurytarzu. Zgrzytnęły zasuwu u drzwi, a pod numer wpuszczono śmiejącą się i ujadającą ze strażnikami dziewczynę. Hanka poznała ją natychmiast. Była to Mańka Czerkas. Wyglądała tak, jakby ją prosto z jakiejś ulicznej bachanalii chwycono. Różowa, szeroko z boku rozerwana suknia, zmięta papierowa róża we włosach, zaognione policzki, błyszczące oczy, lekka chusteczka na wpółodkrytych piersiach. Widocznie była nietrzeźwa. Wepchnięta do izby, jak kleszczmi trzymała się rękawa strażnika, który ją prowadził, i puścić go od siebie nie chciała.

— Hu... u... ul... Jak tu zimno! A to psiarnia! Huu... Jaka to para idzie! A toć ja wam tu zmarzną, do licha!... Panie strażnik, abo pan funduj wódki, abo co... Hu... u... u...

— Poszła! — krzyknął grubym głosem strażnik, szamocząc się z dziewczyną. Nie mógł sobie wszakże dać rady.

— Jak nie, to z panem strażnikiem wywinę z jednego...

Zaczęła się śmiać szalenie i ciągnąć go wkołko za sobą.

— Hul ha!... — przyspiewywała sobie, tupiąc drobniemi stopami.

— Puskaj, tyl... — wrzasnął strażnik w ostatniej pasyi.

— Co tam, puskaj... Abo to nie zapust? Tylko że mi jakoś nogi chodzić nie chcą. Musiały mi te bestye zadać co w gorzałce... No, panie strażnik! Daj go!... na lewo...

Zatoczyła się i, zawadziwszy o tapezan, padła na ziemię. Padłszy, śmiała się jeszcze, ale się nie podnosiła.

— Ojej, jak mi się też kręci w głowie! ojej!...

Strażnik splunął i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Nad ranem nowe wrzaski. Przypędzono całą gromadę kobiet, zebranych po zaułkach i złodziejskich norach.

Była to żywa hańba i nędza. Wychudzone, brudne, obdarte, po większej części młode jeszcze, jedno obrzękle, inne naznaczone sińcami na twarzy, nosiły w całej swojej postaci znamię ostatniego upodlenia.

Dwie z nich miały dzieci przy piersi. Niektóre rzuciły się zaraz na tapezany, chcąc sobie zdobyć miejsce, ale zbudzone baby z wrzaskiem i klątwami broniły im przystępu. Inne padły na ziemię, w ostatecznym, jak się zdawało, znużeniu. Uciszyło się wreszcie. I dziw, wpośród téj ciszy tu i owdzie dało się słyszeć westchnienie, zmieszane ze słowami pacierza...

Dwa tygodnie, jakie Hanka spędziła w ratuszu, zostawiły głębokie ślady w całej jej istocie. Dusza jej zwiędła, zestarzała jakby. Instynkt nienawiści dojrzał w powietrzu téj wielkiej, brudnej izby, rozprzestrzeniał się, ogarniał ją całą i pełzał po sercu jej tak, jak to robactwo pełzało po ścianach. Kiedy kto przemówił do niej — ścisnęła zęby, żeby nie kląć; krzywdą

jój leżała na jój piersiach dzień i noc, jak wielki, ciężki kamień.

Po dwu tygodniach zaprowadzono ją razem z Mańką do kancelaryi w więziennym gmachu, w którym odsiadywała swój wyrok. Miano je wysłać w pobyt z całą partją. W kancelaryi stała już u drzwi gromadka kobiet, oczekująca na wejście „wielmożnego.” Wielmożny spóźnił się dzisiaj. Miał u siebie wczoraj partyjkę winta, karta mu nie szła, wstał późno, kwaśny był i niewyraźny jakiś.

Kiedy wszedł, jedna z kobiet, Michalakowa, u nóg mu runęła z przeraźliwym krzykiem:

— A mój ojczel! A mój dobrodzieju! A mój przewielmożny panie! A nie dajże mnie od dzieci ginąć! A ulitujże się nade mną sierotą! A toć-em wysiedziała, com miała wysiedzieć... A toć się na mnie nic nie okazało... A teraz mnie znowu mają gnać... A nieszczęśliważ ja sierota! O Jezu... Jezu!... Chłopisko mi się rozpiło, dzieciśka mi się po ludziach poniewierają, jak te szczeniaki... A kiedyż ją je wychoduje? A kiedyż ja im matką będę?... O Jezu! Jezu!...

Nie leżało to w zwyczajach pana radcy pozwalać na tak długie perory. Wzruszenie psuło mu apetyt. Ale przed gwałtem téj żalości oniemiał narazie i zaczął się cofać ku stolowi.

Kobieta wszakże nóg jego nie puszczała, wlokąc się za nim z swoim strasznym jękiem. U drzwi slychać było chlapanie stojącej gromadki.

— Upamiętajże się, moja kochana! — przemówił wreszcie wielmożny. — Co wyrabiasz? Na co ci się te krzyki i lamenty zdały? Choćbyś lamentowała, nad-

lamentowała, to ja ci nie nie poradzę. W wyroku stoi pobyt, jak wół, i musi być pobyt. To już tam święty Boże nie pomoże... Czemużes nie apelowała, kiedy był czas na to? Czemużes się nie ratowała?

Pan radca dobrze wiedział, że Michalakowa cały ten czas właśnie przeleżała w tyfusie; ale weszło mu to w zwyczaj w razie czego mówić: czemużes nie apelował? czemużes nie apelowała? i teraz powtarzał to machinalnie prawie, dla ulżenia sobie.

Kobieta wybuchnęła nowym płaczem.

— Jakżem się miała ratować, wielmożny panie, jakżem się miała ratować, uboga sierota, kiedym sama nie wiedziała o sobie, ani o bożym świecie w onéj chorobie... A! nieszczęśliwa moja głowa, nieszczęśliwa godzina!.. Oj, moje dzieci, moje dzieci, moje sieroty!.. A czegoż ja doczekałam takiéj ciężkości... a czegożem ja dożyła! Adyc mi wszystko zmarnieje! Adyc mi już ni do czego będzie się powracać... O Jezu! Jezu!...

Pan radca podniósł ramiona i rozkrzyżował ręce. Był to gest wymowny, jako on nie na to wszystko poradzić nie może. Położenie jego było rzeczywiście nie do zazdrości. Kobieta ścisłała mu konwulsyjnie nogi, buty jego od jój lez straciły glans ze wszystkiém. Cofając się wszakże ciągle potrochu, dosięgnął wreszcie ręką stołu, oparł się na nim silnie i rzekł twardszym jakimś głosem:

— No, moja kochana, skończ już te lamenty. Co w wyroku stoi, tego językiem nie zliże. Stoi pobyt i musi być pobyt. To już jak amen w pacierzu. Takie prawo.

Gdy zaczął mówić, Michalakowa podniosła się

w połowie ciała i przysiadła na ziemi, patrząc mu w oczy przenikliwie. Spodziewała się jeszcze czegoś, chwyciła ostatnią nadzieję. Gdy skończył, wyrzuciła załamane ręce nad głowę i, przechyliwszy się w tył, buchnęła ogromnym łkaniem.

— A bodaj takie prawo!... A bodaj taką krzywdę!... Tyło lat!... Tyło czasu!... O Jezu najśłodszy, Jezu!...

I zanosła się nieludzkim rykiem, uderzywszy czołem w podłogę. Pan radca zniecierpliwił się nadobrze. Znał to do siebie, że serce miał miękkie, ale ta scena trwała już zbyt długo.

— Gadajże z głupią! — zawołał porywczo. — Ja swoje, a ona swoje. Cóż to? Na Sybir cię pędzą, czy co? Pójdiesz, to i wrócisz... Straszna historia! Dzieciaków dyabli nie wezmą, kiedy ich dotąd nie wzięli!

Spróbował się ruszyć, ale kobieta już znów obejmowała nogi jego jakby kleszczami.

— Jakób! — krzyknął tedy zirytowanym głosem. — Zabrać babę! Niech mi tu nie wyprawia hałasów! — A kiedy strażnik się ruszył: — To tak z niemi — dodał. — Ludzkim bądź, gadaj jak do człowieka, a ta swoje i swoje. Czyście bydlę!

Pan radca o ludzkości swojej lubił wspominać często. Roztkliwiało go to, napępiało jego piersi jakimś błogiem ciepłem. Pełniąc swój znojny urząd, czuł on niekiedy coś, jakby lekkie lechtanie pod lewem żebrzem, coś, co skrupulat jakiś gotówby nazwać wyrzutem sumienia. Natychmiast wszakże przypominał sobie, że jest ludzkim, bardzo ludzkim, i to go uspaka-

jało zupełnie. I teraz spróbował tego środka, ale lechtanie było uparte jakieś.

Tymczasem strażnik chwycił Michalakowę za ramię i chciał ją podnieść; ale kobieta leżała jak kłoda, piersią na ziemi, i przyłgnęła do niej, rozkrzyżowawszy daleko przed sobą zwiędłe, wychudłe ręce. Wyciągnął ją tedy tak jak leżała, pomagając sobie olbrzymim swoim butem. Podczas wyciągania tego głowa kobiety uniosła się i opadła kilka razy z głuchym łoskotem, któremu towarzyszył jęk coraz cichszy.

Stojąca u drzwi Hanka zaczęła drżać na całym ciecie.

Po raz pierwszy objawiło jej się prawo w swój ponuręj grozie.

Dotychczas nie umiała go ona odróżnić od ludzi. Trzy lata siedziała w więzieniu, bo sąd tak zapisał; w pobyt szła, bo wielmożny biecć kazał; w kozie była, bo ją pan sekretarz wsadził; w ratuszu dwa tygodnie ją trzymali, bo łapacz oddał. Zdawało jej się owszem, że cała jej bieda i krzywda ztąd idzie, że „prawa nad nią nie było.”

Teraz słyszy, że prawo jest, i że sam wielmożny nie przeciw niemu nie poradzi. Usiłuje myśleć i zaczyna rozumieć, że kiedy ono Michalakowej do dzieci nie puszcza, a ją samą pędzi tam, gdzie ani służby, ani chleba dla niej, ani nijakiej opieki, jeno głód i poniewierka krwawa, to już musi być twarde i „zakamieniałe.”

I w tępych tym umyśle powstaje niewyraźne pojęcie jakiejś ślepej, groźnej i nieujednanej mocy, która ludzkie karki gnie aż do ziemi, do czarnej mogiły,

a ludzką dolą jako wichler trzęsie, a kim zatrzęsie, to go tak połamie, jako burza łamie sosny w lesie...

Uczuwa przestrach i instynktową potrzebę bronięcia się przed tém prawem. Z ponurą, zbladłą twarzą i szeroko otwartymi oczyma stoi w progu, wpatrzona w wielki stół, na którym leżą wielkie książki.

W téj chwili pan radca spostrzegł ją i przywołał łaskawie.

— Blacharżówna! A ty co tu robisz? Toś ty z pobytu uciekła?

Zatrwożyła się i, spuściwszy głowę, milczała.

— Al wiesz, żem się tego po tobie nigdy nie spodziewał!

Pan radca miał wymowę łatwą, niekiedy nawet kwiecistą, a moralizować lubił niezmiernie. Wytwarzało to, podług niego, pewną etyczną atmosferę w instytucji powierzonej pieczy jego, która to atmosfera jeżeli szwankowała czasem, to przynajmniej nie z braku dobrych rad i ojcowskich uwag pana radcy. Teraz wprawdzie był zirytowany „tą głupią babą,” no i partyę trzeba było wyprawić, nie mógł wszakże odmówić sobie przyjemności małego przemówienia do tych „istot straconych.”

— Jakto—ciągnął więc dalej,—ja ciebie zawsze miałem za porządną aresztantkę, za przykład cię stawiałem innym, a ty tak sobie postąpiłaś? To tobie milsza włóczęga niż praca, niż życie uczciwe i spokojne? Posłałem cię, jak co dobrego, samą, a ty mi taki wstyd zrobiłaś przed ludźmi? No widzisz! sama powiedz, coś ty warta?...

Hanka milczała.

— Taka młoda, taka przystojna dziewczyna!—

mówił po pauzie pan radca, kiwając głową.—Toż ty mogłaś los jeszcze zrobić! Nie było ci to do służby iść, uczciwiej pracy się chwycić, z porządnymi ludźmi po ludzku żyć, po chrześcijańsku, po bożemu...

Tu brakło panu radcy dalszych omówień i zamilkł na chwilę. Czuł wszakże, że, ze stanowiska swego wychodząc, powinien jeszcze parę uwag dodać.

— Prawo — rzekł więc, — moja kochana, nikogo nie potępia. Ono chce poprawy, nie zguby winowajcy. Ono cię umyślnie odrywa od wszystkich dawnych pokus i okazji, daje ci sposobność rozpoczęcia nowego życia, otacza cię dobroczynną opieką, ułatwia ci odrodzenie moralne. Tak tu, jak tam, widziałas zawsze ludzi, którzy choć surowo, ale po ojcowsku obchodzili się z tobą... Czy nie tak?

Hanka milczała.

— Puszczoneś byłaś na swobodę, mogłaś robić wszystko, co ci się podoba, byle uczciwie, mogłaś, żyjąc skromnie i mając w służbie wszystkie potrzeby zaspokojone, odłożyć coś, zebrać sobie, za mąż wyjść. Te trzy lata pobytu to prawdziwe błogosławieństwo boskie dla ciebie. A ty wolałaś uciec, wolałaś do szajki złodziejskiej przystać!... Nie, nie, nigdy się po tobie tego nie spodziewałem!

Hanka zacisnęła usta, a z oczu padały jęj łzy ciężkie, wielkie, jasne. Inne kobiety wzdychały, stara Fajerowa ucierała nos hałaśliwie.

Wymowa pana radcy nie była bez skutku. Ta prosta, nędzna dziewczyna uczuła taką skrucę, jakby wszystko, co mówił wielmożny, nie było właśnie najpotworniejszą sprzecznością z tém, czego w pobycie doznała. Serce w niej tajało, jakby naprawdę puciła

się na co złego z własnego wyboru. Oczarowanie to trwało póty, póki brzmiała i z łagodną stanowczością wypowiedziana przemowa nie dobiegła końca. Gdy dźwięk tych pięknych i pustych słów przycichł, dziewczyna ocknęła się w sobie, zmieszała, a przypomnienie o głodzie i hańbie krwawą chmurą po twarzy jej przeszło.

— A równo ucieknę — pomyślała, — jeśli mnie on tam...

Nie dokończyła. Krwawa chmura podeszła jej aż pod śniadą skronie. Podniosła oczy i, spojrzawszy na stojący przed panem radcą krucyfiks, rzekła w duszy:

— Tak mi dopomóż Jezu miłosierny i najświętsza męka twoja...

Wysyłanie w pobyt partyi zawsze zgromadza garstkę ciekawych przed murami więziennego gmachu, którego tajemnice mało komu przeniknąć jest dane. I teraz stała na przeciwległym trotuarze kupka przechodniów: bab, dzieci, wyrostków, mężczyzn, którzy obserwowali tymczasem tłoczące się na schodkach więziennych kobiety. Kobiety te były to: matki, żony i siostry tych, których pędzić miano. Wszystkie one prawie miały zrana tak zwane „widzenie” w izbie, przyległej kancelaryi, gdzie jest jakby rodzaj klatki okratowanej, do której z jednej strony wpuszczają więźnia, a z drugiej odwiedzającego. Dziś wszakże po widzeniu nikt nie odchodził. Tłoczono się i czekano. Czasem wybiegło słowo jakie, częściej westchnienie ciężkie, spojrzenia były niespokojne i zgnębione.

Otworzyły się drzwi, a strażnik przepuszczał partyę, licząc głośno. Najpierw szli mężczyźni. Drobnii,

chuderlawi, pokrzywieni jacyś, plecy w pałąk, kolana ku przodowi wygięte i drżące, twarze żółte, jakby nalane, niektóre poczerniałe, jakby dymem zaszłe, oczy błędne lub biegające, głowy pogolone. Jeden zaledwie pomiędzy nimi był roślejszy.

Ruszyły się kobiety ze schodków z jękiem i szlochaniem. W partyi także ten i ów ocierał oczy rękawem. Strażnik naglił, zaczęto się żegnać. Pogolone głowy schylały się ku wyschlým rękóm starych kobiet, to ku dzieciom, przyniesionym z domu przez matki. Ale dzieci te odwracały się z przestachem. Zapomniały już tych ojców, bały się.

Za mężczyznami wyszły kobiety. Najwięcej było dziewcząt młodych, dziwnie zwiędłych, z śladami moralnego nieładu na twarzy. Ledwo się ukazały, zaraz na przeciwległym trotuarze dały się słyszeć koncepty i śmiechy; niektóre z dziewcząt odpowiadały na zaczepki także śmiechem. Nie brakło wszakże i starszych aresztantek. Do tych cisnął się kupkami i pojedynczo różnego wieku drobiazg, to obdarty, to dosyć schludnie nawet odziany. Za kobietami wyszedł mający prowadzić partyę strażnik i zaraz ją zaczął ustawiać do drogi. Trójkami szli, prawie wszyscy nędznie odziani. Dwóch tylko mężczyzn miało kożuchy, a kaptany i chustki kobiet mroźny wiatr przewiewał. Ten i ów się obejrzał, ten i ów przeżegnał, a byli tacy, co podśpiewywali sobie. Najweseliej szli ci, których nikt nie odprowadzał, za którymi nikt nie patrzył. Niektórzy wywijali czapkami, wołając: „do widzenia” tym murom, które ich wypuścili. Ruszyli.

Tego dnia był pan radca na proszonym obiedzie, a tłumacząc się z braku humoru swojej uroczej sąsiad-

ce, wyznał jej, że wysyłał dziś partyę w pobyt i że to go zalterowało.

— Cóż to jest ten pobyt? — zapytała młoda dama.

— Pobyt, łaskawa pani?... Ależ nie prostszego nad to! Pobyt polega na tém, że przestępcy, po odsiedzeniu wyroku, nie wolno jest przez rok, przez dwa, przez trzy i cztery, to już wyraz określa, znajdować się bliżej Warszawy, jak w promieniu czterdziestu wiorst. W takiej to odległości jest kilka punktów, do których odstawia się więźniów po kilku, po kilkunastu, różnie.

— A to ciekawe...

— Bardzo ciekawe! Wogóle nasza procedura karna jest bardzo ciekawa. Pani nigdy nie czytała naszego kodeksu karnego?

— Nigdy. Zkądżeby?...

— Naturalnie! Bardzo to pojmuję.

— A czy tam, proszę pana—odezwała się młoda panna, która, siedząc poza uroczą damą, od chwili już przysłuchiwała się rozmowie,—czy tam jest jakaś opieka nad tymi więźniami?

Pan radca przechylił się ku mówiącej uprzejmie.

— To jest niby gdzie, proszę pani?

— No tam, w tym pobycie.

— O, naturalnie! Muszą się meldować w miejscowym magistracie, otrzymują czerwone paszporty i...

— Czerwone?... — zadziwiła się uroczą, — a to zabawne! Nigdy jeszcze nie widziała czerwonego paszportu!

— I są pod dozorem policyi — zakończył pan radca.

— Ale ja nie o tém mówię, proszę pana—przemówiła panna. — Ja chciałam zapytać, czy im tam kto dostarcza pracy... no i wsparcia moralnego do wejścia na uczciwą drogę?

— To jest, żeby tak specjalnie coś w tym guście było, to nie. Puszczają ich na miasto, a kto chce, to sobie roboty szuka.

— Ale tam w mieście wiedzą, że to złodzieje?

— Naturalnie! Przecież się ich przez całe miasto prowadzi, to raz. A powtóre, kto czerwony paszport pokaże, to już wiadomo, że złodziej.

— Więc któż ich tam do roboty weźmie?

— Owszem. W lecie większa część znajduje robotę w polu.

— Większa część... A w zimie?

— Ha! — pan radca rozkrzyżował dłonie,—trafi się, że i w zimie czasem jakaś się robota znajdzie.

— Więc z czegoż oni żyją, kiedy pewnego zarobku niema?

— Kradną, proszę pani! To niepoprawny naród! Prawdziwe szajki złodziejskie tworzą w okolicy i kradną...

— Co za okropne zepsucie...—wtrąciła uroczą.

— A inni—kończył pan radca — uciekają napowrót do Warszawy, bo tu niejeden rodzinę ma, warsttat, stosunki...

— I pozwalają im zostać?

— Ale zkąd znowu! Cóżby to był za porządek?

— Więc coż oni robią?—przemówiła panna?

— Kryją się po różnych norach złodziejskich, póki ich znów nie złapią.

— A jak złapią?

— To sadzają ich do kozy, a potem prowadzą napowrót w pobyt.

— To okropne! — rzekła z ciecha panna.

— A czy pani myśli, że to złodzieja poprawia? — zapytał pan radca. — Gdzie tam! Ledwo się strażnik odwróci, już znów ucieka.

— A jak go powtórnie złapią?

— To idzie na dwa miesiące do więzienia, a potem znów w pobyt.

— I tak ciągle? A to zabawne! — rozśmiała się urocza.

Panna patrzyła na pana radcę przerażeniami oczyma.

— I tak ciągle? — rzekła.

— O, nie! — odrzekł wesoło pan radca. — Takiego ptaszka...

Nie mógł dokończyć, gdyż gospodarz w tej chwili powstał i, wzniosłszy kieliszek wina:

— Zdrowie dam! — zawołał głośno.

Urocza się uśmiechnęła, pan radca się zerwał, zrobił się rumor — i tak rozmowa przerwana została.

Tymczasem gromadka aresztantów posuwała się naprzód rażno, bo mróz przejmował, a wiatr świstał w polu, miecąc suchym, drobnym śniegiem. Blacharzówna i Mańka Czerkas trzymały się razem. Obie były zsiniałe i drżące, a odzienie ich, razem wzięte, jednej nawet nie zabezpieczyłoby dostatecznie od zimna.

— Hanusia, siostrzyczko — szeptała Mańka. — Nie wytrzymam! Jak mi Bóg miły, nie wytrzymam! Drapnę... Chcesz ze mną?

— Nie chcę — odrzekła posępnie Hanka. — A ty

wstydu w oczach nie masz, kiedy cię po takiej poniewierce jeszcze do tej Sodomy ciągnie...

Mańka zaczerwieniła się i wzruszyła chudymi ramionami.

— Co mnie ma ciągnąć? Do jakiej Sodomy? Jak Bożę kocham, tak ja wcale nie do Bamblowej! A cóż to mnie Bamblowa? matka, czy co?

Szły chwilę w milczeniu. Mańka znów szeptać zaczęła.

— Ja tam, widzisz, w ratuszu poznałam się z jedną, co ci bez meldunku więcej niż pół roku przesiedziało spokojnie...

Hance błysnęły oczy.

— I gdzie ona przesiedziała?

— U jednej tam, na Zakroczymskiej, wprost kosszar, u jakiejś Pajęczakowej... Wdowa podobno, czy kto ją tam wie, ale że bardzo porządna kobieta. Handluje, sklepik jakiś trzyma, i dzieciaków tam u niej różnych, bo swoich nie ma, pełno.

— I ona tam u niej siedziała?

— A siedziała! Więcej jak pół roku siedziała. I nijakiej tam nie było Sodomy... tylko ją na robotę baba posyłała...

Zmierzchało. Strażnik popędzał, mieli jeszcze z pół mili do wsi, gdzie była kancelarya gminy. Tam miał zdać partję, pilno mu więc było. Śnieg jakoś ustał, wiatr się uciszył, kilka gwiazd błysnęło na niebie. A już też i psy zaczęły ujaść w opłotkach, zda-leka słyhać było bęben i piskliwe skrzypce. Chrzciły były wczoraj u sołtysa, a teraz poprawiły w karczmie. Niektórzy z aresztantów zaczęli sobie pogwizdywać, a wszyscy przyspieszyli kroku.

— Śpiewaj, śpiewaj! — mruknął jeden. — Pośpiesz ty lepij jutro w kozie.

— W jakiej znów kozie? Albo to ja do kozy idę? Przecie mnie tam nie zamkną.

— No, ciebie może nie. Ale te „stepowce,” te uciekiniery, co ich drugi raz pędzą, to najpierw pójdą do kozy.

— A przecie! — przytwierdził inny. — Taki Józik Werda, taki Sobiecha, taka Blacharżówna...

Hanka stanęła, jakby ją kto targnął. Do kozy? Ona do kozy? Tam, gdzie...

— Idi! — krzyknął na nią strażnik.

Spuściła głowę i zaczęła iść śpiesznie. Dochodzili już do pierwszych chałup, psy wypadały na drogę szczekając zajadle, taneczny bęben brzmiał coraz głośniej. Hanka patrzyła po stronach niespokojnie; oczy jej szukały Mańki Czerkas. Ale dziewczyna odbiła się gdzieś na przód i tylko jej śmiech słychać było. Szli tęgim krokiem. Jednych pobudzało zimno, drugich odgłosy rzepolącej od ucha kapeli. Już byli niedaleko kancelaryi gminnej, kiedy się z nimi zetknęła kupka kobiet, idących od strony karczmy z głośną rozmową, śpiewami i pokrzykiwaniem.

— Niech będzie pochwalony! — przemówiła pierwsza.

Sąsiadka pociągnęła ją za chustkę.

— Adyc to złodzieiska! Frackowo!

— A niech ta będą! Równie nie żydy...

Strażnik zatrzymał baby.

— Tak gdzie tut soltys żywie?

— Adyc żyje! — odrzekła jedna z bab wesolo, — w karczmie siedzi!

— A stójka gdzie? stróż?...

— Adyc i stójka w karczmie. Cała kancelarya tam siedzi...

Rozśmiały się baby. Strażnik zafrasowany kręcił głową.

— A skocz ino, Maciuś, do karczmy i powiedz soltysowi, coby duchem szli — rzekła jedna z kobiet, pochnawszy w kark chłopaka, który, spódnicy jej się trzymając, wytrzeszczał oczy na strażnika.

Kopnął się Maciuś, ale niemało czasu upłynęło, nim wrócił z soltysiem i stójką. Jednemu i drugiemu płatały się już języki. Wymowa wszakże soltysa o tyle była przekonywająca, że w chwilę potem strażnik, zostawiwszy przy aresztantach stójkę i dwóch parobków, co na ochotnika wyszli pilnować złodziei, poszedł z soltysiem do karczmy ogrzać się nieco. Stójka był człowiek miękki, a już kiedy się napił, to go choć na palec owinąć było można; nie też dziwnego, że kiedy ten i ów z aresztantów zaczął narzekać na siarczyste zimno, jedna i druga faszka wódki znalazła się jakoś na rozgrzewkę, a po drugiej przyszła trzecia i czwarta. Rozwiązywano węzłki, kto miał grosz jaki — fundował sobie i innym. Podeszli jakoś niechęć ku karczmie, żeby było bliżej nosić, a że tu już skrzypice akuratnie słychać było, ten i ów, potaczając się, zawijał poły i do tańca się rwał.

Z progu karczmy dziewczyny i chłopaki przypatrywali im się ciekawie.

Werda posunął do jednej.

Szarpnęła się i pokazała mu połowę pleców.

— Zaś bym tam... z takim... łbem golonym...

Zaczerwieniła się jak wiśnia, inne wybuchnęły śmiechem.

Tymczasem Hanka podeszła do Mańki Czerkas, która, już się w boki ująwszy i zrzuciwszy chustkę z głowy, kołysała się na biodrach, przyspiewując sobie:

Poszła panna do gaju,
Nakopała rozmaju...

— Mańka!—szepnęła Blacharżówna,—Mańka!
Dziewczyzna spojrzała na nią pobielającą od wódki oczyma. Zmyliła jęć się piosenka.

Zaczęła z inną nutą:

A ja sobie poradzę:
Czarną kurę nasadzę,
A kurczęta poprzędam,
Kupię sobie w mieście dom...

Hanka szarpnęła ją za ramię.

— Mańka! słuchaj! Mańka... idziesz?...

Ale Mańka już wyskakiwała.

Jak mi będzie jeszcze brak,
Doloży mi starszy brat;
Jak mi jeszcze nie stanie,
Dolożą mi mieszczanie...

— Hu! ha! — zaczęła hukać do taktu bębna i skrzypicy.

Hanka szarpnęła ją znowu.

— Słuchaj ty zatracona, miałaś biec... miałaś iść...

Mówiła przyciszonym, gorączkowym głosem.
Mańka spojrzała na nią.

— Co mi ta uciekanie!—rzekła głośno.—Dajcie jeszcze wódki!

Hanka obejrzała się ze strachem, ale wszyscy sobą byli zajęci.

Usunęła się wtedy w cień, poza baraszkującą gromadę.

Nazajutrz rano strażnik, zdając aresztantów w ręce wytrzeźwionego sołtysa, nie mógł się jakoś doliczyć jednego „nomeru.” Trzy razy ich ustawiał, trzy razy rachował, to od prawej, to od lewej strony zaczynając, i zawsze mu brakowało do liczby. Z początku zafrasował się tępym mocno, potem wpadł w złość i pięścią po karkach aresztanckich przejechał, nareszcie, widząc, że i to „nie nada,” machnął ręką, zaklął, i z pisarzem gminnym, który na Mańkę zerkał, papierosa paląc, poszedł się rozgrzać na drogę.

Aresztanci śmieli się w kulak. Oni wiedzieli dobrze, kogo brakuje.

Krwawe, bezpromienne słońce podniosło się już nad ziemią, kiedy Hanka, naoslep biegnąca tą samą drogą, którą prowadzono partyę, dopadła znanych sobie zaułków nad Wisłą. Tym razem była to ucieczka bez premedytacji nawet, bez zamiaru, rzeczyby można, jeśli za zamiar nie będziemy uważali głosu, który strażnikowi krzyczy w piersi: ratuj się, bo zginiesz!

Ona sama byłaby może zdumioną, gdyby jęć kto powiedział, że to ucieczka. „Ratowała się” tylko, nie więcej.

Los sprzyjał jęć nadspodziewanie. Szła a szła, zrazu patrząc na wieczorną gwiazdę, potem na jutrzenną. Spotykając z wieczora ludzi, zwalniała kroku. Ten i ów przemówił do niej „pochwalony;” nikt

Cztery nowele.

nie przypuszczał, patrząc na tę drobną, ciemną postać, że to kryminalistka, zbiegła aresztantka. Dopiero kiedy nikogo nie było naokół, puszczała się co sił, a wiatr, targający jej lichą spódnicykę, czuł ją ciągle przeciw sobie idącą. Wreszcie znużył się wiatr i przycichł, ale dziewczyna szła dalej, dalej... Szła, a nędzne jej serce oddawało się jeszcze jakiś nieokreślonej nadziei.

Wszedłszy już w zaułki, zboczyła, nadkładając kawał drogi, aby wpaść do Walentowej, przesiedzieć dzień w ukryciu, a zmrokiem puścić się dalej. Sześciło jej się; stróża nie było w bramie. Wpadła do suteryny zdyszana. Wszedłszy do długiej, ciemnej sieni, zadziwiła się, że widnieć tu jakoś było niż zazwyczaj. Posunawszy się nieco dalej, spostrzegła, że widność ta idzie przez drzwi, jak szeroko od izby Walentowej otwarte. Zadziwiła się bardziej jeszcze i szła dalej. Cisza była zupełna. Doszła wreszcie do drzwi i cofnęła się od nich jakby pchnięta. Stancya była zupełnie pusta; na środku tylko, na ubitej ziemi czarnej leżała powięź słomy rozwiązana, prosta.

Jeszcze się Hanka nie opamiętała, kiedy drzwi naprzeciwko skrzypnęły, a w progu ich stanęła kobieta z konewką w ręku.

— A do kogo to panna?—zapytała.

— Do Walentowej, do praczki... ona się już, widzę, ztąd wyprowadziła.

Kobieta zaczęła kiwać głową.

— Oj, wyprowadziła się, moja panno, wyprowadziła! Tyle tylko, że nie sama, ino ją ludzie wyprowadzili.

Hance nagle rozszerzyły się źrenice. Patrzała na mówiącą, otworzywszy usta...

— Matko najświętsza! — wyszeptała po chwili zdławionym głosem.

— Tak, tak, moja panno! Zmarło się babinie. Co to panna z „famielii?” Mój Boże! Jak teraz to się najdują, za groszem przeważają... A jak starowinie kapki wody nie miał kto podać, to nikogo nie było. Ot, sieroctwo ciężkie na stare lata i tyle. Dobrze, co się Pan Jezus miłosierny ulitował i zabrał do swojej chwały...

Hanka stała jak słup, utkwivszy oczy w leżącej na ziemi słomie. Sąsiadka wzdychała i mówiła dalej:

— Cztery dni ciało stało... to ci, świeć Panie nad jej duszą, wzdęło ją, aż strach. Co nie miało wzdać? Tać to i choróbsko takie było, co jej najpierw nogi puchły, a potem dalej i dalej, aż też jak doszło do serca, tak nie mogła zwyciężyć, niebożatko. Wczoraj ją pochowali... A jakże. I to żeby nie mój, toby do dziś dnia stała, bo trumny nie było kupić za co. Dopiero my się zakrzętnęli, do cyrkułu dali znać i graty poprzedali. Ale cóż! Jak gospodarz zaczął za komorne liczyć a potrącać, tak i na pochów niewiele zostało... Oj, namęczyła się, namęczyła, ażeśmy ją musieli na prostą słomę na ziemi kłaść, takie ciężkie miała skonanie...

Zawołał ją ktoś z izby. Westchnęła głośno i poszła.

Hanka się jakoś z miejsca ruszyć nie mogła. Jak zalamala ręce, tak stała, zapomniawszy sama o sobie.

Wtedy z zapiecka wywłókł się kot bury, miaucząc zduszonym i ochryłym głosem. Boki miał za-

padłe, oczy błyszczące jak dwie żółte iskry, podszedł i zaczął się obcierać o nogi dziewczyny. Hanę porwał płacz nagły, rześisty. Rzuciła się twarzą na powięć słomy, a głuche łkania wstrząsały jej nędznym ciałem. Uspokoila się wreszcie, zmówiła pacierz, i ucałowawszy ziemię, ubitą stopami staréj praczki, wstała. Kot miauczał ciągle, ale coraz słabiej. Wtedy schyliła się dziewczyna, i wzięwszy go pod chustkę, obejrzała się raz jeszcze po pustych kątach i wyszła.

VII.

Domostwo Pajęczakowój, lubo w ustronnej części miasta leżące, zawsze było pełne ruchu. Patrząc na nie z zewnątrz, od strony Sapieżyńskich koszar, widać było przedewszystkiém mały sklepik z wiktuałami, którego wpółoszlone drzwi za każdym poruszeniem rozbudzały cienki, silnie brzęczący dzwonek. Dzwonek ten odzywał się tak często, iż zdawać się mogło, że mały sklepik zaopatrzony jest we wszystko, czego ludziom wogóle, a mieszkańcom Zakroczymskiej w szczególe do życia potrzeba. Wnętrze jego wszakże nie odpowiadało tym nadziejom. Półki były prawie puste i kurzem zasute, na niższych tylko porozkładane pudełka z papierosami, wyschłe cytryny, ołówki tabaki, tytuń, kawalki mydła, szuwaks i zapalki. Na kramnicy, za którą kręciła się usługująca dziewczyna, stał koszyk z bułkami i parę słoików z farbowanemi przysmakami dla dzieci. W jednym kącie wysoko spiętrzone drwa w wiążkach, w drugim worek soli, nafta i kupka kartofli — oto prawie wszystko, co na pierwszy rzut oka spostrzedz tu było można. Drugi rzut oka zatrzymywał się zwykle na zmiętój, wybladłej perkalowój france, która, rozwieszona pomiędzy dwie-

ma sklepowymi szafami, zasłaniała schodki, prowadzące do dalszych części domostwa. Brudna ta szmata ciągle prawie drżała, to od pędu powietrza z zewnątrz, to od jakiegoś stłumionego ruchu, który się poza nią odgadywać dawał. Ten, kto w tym sklepiku posiedział choćby z godzinę, z łatwością mógł zauważyć, że większa część przychodzących tu klientów przynosi z sobą jakieś zawiniątka, paczki, tobolki, i że wielu z tych nawet, którzy nic nie przynoszą, mają coś do szepciania ze sprzedającą dziewczyną. I jednych i drugich puszczała ona za firankę, niedługo zatrzymując w kramie, i wtedy to odsłaniały się owe trzy schodki, prowadzące do niewielkiej, lecz dostatnio wyglądającej izby. Kufry, szafy, komody, wszystko tam było zamczyste, z widocznym względem na bezpieczeństwo sporządzone, a wysoko zasłane łóżko pod ścianą, pełną palm i obrazów świętych, nadawało całemu przybytkowi temu wyraz dobroduszości i powagi. Mało kto wszakże z przychodniów dłużej się tu zatrzymywał. Wszyscy dążyli na lewo, gdzie przez nawpół ciemną śpiżarnię czy komorę wchodziło się do niskiej, zakopconej, bardzo obszerniej izby, gdzie główne miejsce zajmował wielki komin z okapem, w pobliżu którego stał długi, z tarcie zbity, na krzyżulcach oparty stół sennowy. W przeciwnym kącie ustawiony był jakby rodzaj niskiego a bardzo szerokiego, napchanego słomą tapczana, z której to słomy wyglądały niekiedy główki jasne i ciemne młodszych i starszych dzieci. Chmura tytoniowego dymu wisiała pod brudnym pułapem. Do izby tej, którą z pierwszego wejrzenia wziąć było można za jakąś nędzną garkuchnię, przesuwno się we dnie ukradkiem, porozumiewano w niej

szepcem. Czasem tylko wybuchały tu nagle głosy dziecięce, jak świegot wróbli, wpędce uciszane w jakieś zdławione szlochanie i płacze. Nocą za to było tu gwarno, jasno i wesoło. Na kominie wrzały garnki, na stole dymiły misy, porozwalani na ławach przybysze kopcili tytuń i popijali gorzałkę. Pomiędzy nimi widać było małych chłopców, dzieci prawie, którzy tak samo pili i palili, jak starzy.

Przy kominie stawała wtedy pani Pajęczakowa, lub Pajęczewska, osoba zażywna, pod sześćdziesiątkę mieć mogąca, której małe, bure oczy były w nieustannym ruchu, a ruchomy koniec cienkiego, nadgryzionego przez ospę nosa zdawał się wietrzyć na wszystkie strony. Ten nos i te oczy same jedne trzymały na wodzy burzliwe żywioły tej izby, z której, pomimo szczelnie zamkniętej okiennicy, aż na podwórze wybiegały nieraz odgłosy kłótni i bójek. Pajęczakowa, niegdyś sama karana kilkakrotnie więzieniem, jako złodziejka, spoważniała obecnie i, nie narażając się na zmienne losu igrzyska, została „paserką,” a także tak zwaną „aferzystką.”

Ani paserka, ani aferzystka nie kradnie sama. Pierwsza przechowuje, nabywa i sprzedaje rzeczy kradzione, druga trzyma u siebie większą lub mniejszą „komendę,” złożoną z różnego wieku dzieciaków, które „na robotę” wysyła, zaopatrując je w odpowiednie instrukcje. Komenda znosi łupy, a dostaje za to miszkę strawy, łachman jaki na grzbiet i miejsce na wspólnym barłogu. Kto nie przyniesie, także coś dostaje, jak o tém świadczą since mniżej zręcznych lub mniżej szczęśliwych. Aferzystka bierze się do dzieła roztro-

pnie i z namysłem. Ona się nie skompromituje ladajakim wyborem, zwłaszcza co do starszych.

Jeszcze wtedy, kiedy sama siedzi w więzieniu (aferzystki zwykle przechodzą tę kolej), upatruje sobie najmłodsze z dziewcząt, opiekuje się nimi, oddaje im swoje skwarki, pożycza mydła, nici, częstuje wódką, a nieraz nawet odstępuje im swoje „sztuczki,” to jest kawałki mięsa wydzielone dla siebie.

Kiedy odsiedzi wyrok, odwiedza je, przynosi im to pomarańcze, to bułki, to parę groszy; kiedy zaś młoda delikwentka ma być wypuszczoną, aferzystka u bramy na nią czeka, aby ją wziąć pod opiekę swoją. Rekrutacja taka odbywa się niezmordowanie i z pewnym, jak widzimy, zachodem i kosztem. Nie dziwnego, że się opłacać musi—i rzeczywiście się opłaca. Młodsza komenda zbiera się bez trudu. Dzieci głodnych, odartych, gotowych na wszystko i nienależących do nikogo, zawsze jest dosyć w wielkiem mieście.

Pajęczakowa drobiazgu tego miała u siebie z dziesięcioro może. Były to „sieroty po siostrze,” to znów „sieroty po bracie,” a czasem „sieroty wzięte z miłosierdzia.” Całe też suteryny z oficynami włącznie podziwiała litościwe serce tej dobrej osoby. Czasem wprawdzie przepadało któreś z tych sierot w jakiejś mniej fortunnej wyprawie; wtedy mówiło się, że Jasiiek albo Antek poszedł do terminu, a opróżnione na tapczanie miejsce zajmował na upatrzonego wybrany nowicyusz.

Starsze dziewczęta także przepadały czasem. Pajęczakowa wdychała wówczas głośno nad niewdzięcznością ludzką, a normalna liczba sińców na grzbietach młodszej komendy zwiększała się znacznie.

Tyle co do ludności stałój. Ludność niestała co raz to świeżo napływała falą. Złodzieje z profesyi i okazyonalni, rekrutowani z pomiędzy wszelakiej holoły, wyrobnicy bez zajęcia, służba obojętnej płci i różnej kondycyi, żydzi, żołnierze urlopowani i nieokreślonego gatunku wolontaryusze — wszystko to wsuwało się chyłkiem we dnie, a zbierało tłumnie nocami, kłócąc się, godząc i dokonywając tajemniczych tranzakcyj, których lwia część padała do kufra Pajęczakowej. Jaki był stosunek tej nory do policyi—trudno określić. Kłamstwem byłoby utrzymywać, że policya nie wiedziała o jej istnieniu. Owszem, z policją miała Pajęczakowa jakieś zastarzale zatargi i nieporozumienia, dla zażegnania których co środa zapalała lampkę przed Matką Boską, a co piątek przed Panem Jezusem. Ale niżsi przedstawiciele tej wrogięj władzy, pojedynczo wzięci, mieli dla Pajęczakowej jakąś szczególną słabość, która polegała na tém, że jedni wchodzili do mieszkania jej nasrożeni, a wychodzili uśmiechnięci, często wprost rozezuleni, z piękną rumianością na marsowych obliczach, inni zaś nie wchodzili tam wcale. O tych ostatnich myśląc, wdychała Pajęczakowa ciężko i poglądała z troską na swój zielony kufer. Prócz tego miała jeszcze jeden kłopot. W policyi zmieniali się ludzie, a z nimi zmieniał się stopień czynności i energii. Niema nic niebezpieczniejszego, jak tacy ludzie nowi, dopóki się nie oswoją.

U takich to drzwi, późnym zimowym wieczorem, stanęła Hanka. Wiatr mroźny dał od strony Wisły, ze świstem przelatując puste, niezabudowane przestrzenie, kilka drzew przed Sapieżyńskim gmachem szumiało obnażonemi z liści gałęziami, na ulicy nie było wi-

dać nikogo, a migocząca gdzieś latarnia zdawała się powiększać jej głęboką ciemność.

Dziewczyna chwilę już stała, dygocząc z zimna i jakiegoś mimowolnego przestachu, kiedy u Franciszkanów odezwał się dzwon wieczorny. Było coś przejmującego w tych dźwiękach. Odezwał się raz, ciężko i żałośnie zakółysał na wietrze, zmięszał jego świsty i ucichł. Wtedy wiatr rozwinął skrzydła, zagwizdał przeraźliwie i słupem śnieżycy zakręcił. I znów cisza. Hanka trzęsącymi się ustami zaczęła odmawiać „anioł pański,” z pod chustki jej dobywało się przyduszone miauczenie burego kota Walentowej. Szepcząc machinalnie pacierz, dziewczyna oglądała się z trwogą poza siebie, serce jej było w dziwnym jakimś ucisku.

Dzwon znów zahuczał. Natężony, ponury, groźny, bił w powietrze powolnym, przerywanym jękiem. A tuż zaraz leciał z za rzeki wicher z wielkim świstem, niosąc jakby wołania o pomoc przerażonych głosów. I znów cisza. Tylko drzewa przed koszarami skrzypiały, to gnąc się, to prostując swoje obumarłe czoła. Dziewczyna skończyła pacierz i już rękę na klamce kładła, kiedy się na nią natknął jakiś, z workiem na plecach idący człowiek, który też do sklepiku wchodził.

— Co, u diabła! — zaklął, — żeby tak na drodze stać! Wchodzić, to wchodzić, a nie, to miejsca nie zastępować.

Cofnęła się wystraszona. Drzwi się otworzyły i zamknęły z brzękiem. Dziewczyna została za niemi wahająca się, niepewna...

Wtedy dzwon ozwał się po raz trzeci, a milknące łkania jego spizowój piersi rozplywały się w powie-

trzu mroźnym wielkimi kręgami, budząc jakieś echa dalekie.

Ale zrywająca się z nową siłą wichura stłumiła je i uniosła. Świst przeraźliwy przeleciał po kominach i dachach, potem się rozciągnął w jęki, potem w wycie głucho.

Hanka znów pacierz szeptać zaczęła. Nie wiedziała, czy ma iść, czy zostać. Coś ją przed tym progiem trzymało. Zdawało jej się, że w poświstach wiatru słyszy trwożny głos starej praczki, która woła na nią: „Hanuś! Hanuś!...” Odwróciła głowę ku Wiśle, szepecząc „wieczny odpoczynek...”

Naraz od strony miasta dało się słyszeć szybkie tupanie, któremu towarzyszyły świeże, dziecięce głosy.

Kilku chłopców zatrzymało się u poblizkiej latarni. Oglądali coś pilnie, pochyliwszy głowy.

— Abo ja głupi — mówił jeden, — wszystko babie dawać? Co papierki, to papierki, to już niech tam! Ale czterdziestówka i miedziaki nasze.

— To się wie — potwierdził najmniejszy, siedmioletni może. — Albo to się człowiek nie napracował? nie namarzył?...

I, jakby na potwierdzenie tego, tupał w miejscu drobnymi stopami i silnie pociągał zsiniałym, zadartym noskiem.

— Tylko dziel, Józik, po sprawiedliwości! — upominał trzeci.

Józik się oburzył.

— Głupi! Po sprawiedliwości będę mu tam dzielił! Aboś ty co zarobił dzisiaj?

— Jak matkę kocham, Józik! Żeby tak szczęśliwie jutra nie doczekał, żeby się z tego miejsca nie

ruszył — tłumaczył się zaatakowany, bijąc kulakiem w pierś drobną, — jak nie ja pierwszy zaczął tego grubasa.

— Widzicie go? pierwszy!... A nie Wicek to mu zastąpił od cukierni?...

— Ale!—dodał mały.—Nie Wicek to?...

— Dać spokój! Dać spokój!—przemówił inny.— To gorzej, że ci Wicka chwycili... psianoga!... Znów się stara wścieknie...

— Stójkowy idzie, stójkowy!... — zawołał nagle malec stłumionym głosem.

Rozpierzchnęli się w jednej chwili.

Istotnie ktoś nadchodził ciężkim, miarowym krokiem. Hanka z determinacją nacisnęła klamkę. W tej chwili właśnie stała sama Pajęczakowa na schodkach, prowadzących z tak zwanego „pokoju” do kramu.

— Co to panna?—zapytała, widząc, że się dziewczyna przy drzwiach zatrzymuje.

Hanka podeszła i pocałowała ją w rękę.

— Chciałabym... chciałabym...

Nie wiedziała, jak ma to powiedzieć.

— Pójdźno panna za mną — rzekła Pajęczakowa, cofając się ze schodków.

Brudna firanka poruszyła się i opadła za wchodzącą do „pokoju” Hanką.

— Czegożes to panna chciała? — przemówiła paserka.

— Chciałabym zostać tu... służyć...

— Zostać? Może po to, żeby kąty przewachać, a potem uciec?

— Nie ucieknę — rzekła Hanka głucho. — Nie mam do kogo uciekać...

— Panna co? Z pobytu? Czy może wprost?...

Dziewczyna milczała.

— I długo panna siedziała?

— Trzy lata...

— Fiuu!... To o grube rzeczy szło widać...

Dziewczyna spuściła głowę.

Wtém z sąsiedniej izby buchnął krzyk, gwałt, słychać było szamotanie się, bójkę.

Pajęczakowa żywo zwróciła się ku drzwiom.

— A bodajże ich zaraza i z wraskiem takim!...—rzekła.—Znów się, kanalie, pobily... Skaranie boskie!

Czekała chwilę, nasłuchując, ale hałas wzmagał się jeszcze. Co gorsza, wydało jej się, że słyszy jakieś obce głosy. Ruszyła się do wyjścia.

— Czekaj tu panna—rzekła,—zaraz...

Nie domówiła jeszcze, kiedy drzwi, do których szła, otwarły się gwałtownie, a w progu stanął policyant. Tuż za nim szedł drugi, trzeci, w głębi widać było całą obławę. Ten, który szedł pierwszy, skoczył ku dziewczynie i chwycił to, co mu się zdawało ukrytym pod chustką łupem. Wrzasnęła Hanka przeraźliwie, i zostawiwszy w ręku policyanta chustkę wraz z miauczącym kotem, jak szalona rzuciła się na schodki, potem przez kram do drzwi, a potraciwszy obławnika, który się tu z drągalem jakimś szamotał, pędem puściła się ku Wiśle. W uszach miała świst i szum, w oczach ogień. Zdawało się, że ją wiatr niesie. Za sobą słyszała pogoń, przed sobą widziała rzekę. Głos jakiś żałośny, strwożony wołał na nią: „Hanus! Hanus!...”

Dopadła brzegu, na lód, który tu mieliznę chywy-

cił—skoczyła, i zmrúżywszy oczy, głową naprzód rzu-
ciła się w wodę.

Zabulgotała woda i zamknęła nad nią sine, mro-
czne, coraz dalej rozbiegające się kręgi.

W téj chwili nadbiegł strażnik i ujrział dwie
sztywne, bielejące w ciemnościach ręce, które się wy-
nurzyły z rzeki i znów znikły...

Dzwon u Franciszkanów zahuczał przeciągłym
jękiem.

.

VIII.

— No, no! — mówił we dwa miesiące potem mło-
dy lekarz do jednej z chorych aresztantek, leżących
na ogólnej sali więziennego lazaretu. — No, no! wcale
mi dziś nieźle wyglądasz. Za jaki tydzień to cię i wy-
piszę.

Poklepał ją po ramieniu.

— Strasznie wychudła — dodał sam do siebie.

Istotnie, zdawało się, że za każdym poruszeniem
choréj słyhać chrzęst kości, obleczonej zwiędłą
i przyschniętą skórą.

— Porządkowa! — zwrócił się doktor do dozoru-
jącej kobiety. — Nie możnaby choréj dawać trochę mle-
ka, trochę bulionu, coś posilniejszego?...

Porządkowa podniosła ramiona i rozłożyła dłonie.

— A cóż posilniejszego? — odrzekła. — Dostaje
herbatę, kleik... to, co każda.

Doktor cmoknął językiem niecierpliwie. Po-
wstrzymał się przecież i, zwróciwszy do choréj, dźwi-
gnął jéj poduszkę pod głowę.

— Nie leż tak ciągle — rzekł. — Próbuj się pod-
nieść trochę, posiedzieć na łóżku.

Poruszyła się, chcąc spełnić polecenie, ale widac było, że jej to ciężko przychodzi.

Wtém przebiegający posługacz wsadził głowę przez drzwi wpółotwarte.

— Wielmożny z jakąś panią...—rzekł.

Doktor zmarszczył w pierwszej chwili czoło, potém się rozpogodził, i piękną, delikatną ręką przegarnawszy włosy ciemne, podszedł ku drzwiom.

Towarzystwo zbliżało się właśnie.

— Ale co tu — mówił uprzejmym głosem pan radca, — to już nie puszczę pani, póki się nie zapytam, czy niema jakiego niebezpieczeństwa. Doktorze—dodał, stając w progu,—czy można wejść?...

Doktor się uśmiechnął.

— Kto się nie boi, ten wszędzie wejść może.

— A widzisz pan!—rzekła dama.—Ja się nie boję.

Posunęła się ku progowi, weszli.

Na pierwszém z łóżek leżała młoda kobieta, więcéj do szkieletu, niż do żywéj istoty podobna.

Przy niej spało półroczne może, żółte jak wosk dziecko, poruszając przez sen blademi wargami.

Dama pochyliła się nad niém.

— Ach, biedactwo!—rzekła,—musi być głodne!

— Nie mu nie będzie do saméj śmierci! — rozśmiał się dobrodusznie pan radca.—Patrz pani, jaki łaskomy...

Wsadził mu w usta mały palec. Dzieciak chwycił go, wyciągnął i, nie otwierając oczu, zaczął ssać za paleczywie. Krople potu wystąpiły mu na żółtą, pomarszczoną twarzyczkę. Nie czując wszakże skutku swojej pracy, zaczął się krzywić do płaczu.

— Pójdźmy, pójdźmy, bo się rozbeczy — rzekła dama.

Pan radca usunął palec.

Istotnie, dziecko zaczęło piszczeć cienkim, słabym, jakby zduszonym głosem. Młoda matka stęknęła i, obróciwszy się z wysileniem, podała mu pierś wyschlą, pustą...

Zbliżyli się do drugiego łóżka. Leżała na niém nawnaznak kobieta z czerwoną, rozognioną twarzą i szklistem, wlepionemi w sufit oczyma. Usta miała spalone gorączką, otwierała je od czasu do czasu, przełykając ślinę, i dyszała ciężko. Pan radca szepnął coś doktorowi.

Doktor skrzywił się i ramionami wzruszył.

— Nie można wiedzieć—rzekł.—Trzeci dzień dopiero... Tam i tak łóżka zajęte...

Poszli dalej.

— Ot, to natura silna—odezwał się pan radca, ukazując siedzącą na łóżku aresztantkę, z którą doktor rozmawiał przed przyjściem gości.—W styczniu się topiła, z wody ją już nieżywą prawie wyciągnęli, przeszła potém ciężki tyfus, i nic.

— Topiła się!—zawołała z wielkiem zajęciem dama i zaczęła się ciekawie przyglądać choréj.

— To nic! — dodał tryumfalnie pan radca,—ale co za charakter! Ja zawsze powiadam, że gdyby choć połowę miała téj wytrwałości w dobrém, jaką ma w złém, toby była dzielna niewiasta! A podnieśże głowę!—dodał, biorąc chorą pod brodę i kierując twarz jej ku światłu. — Przystojna dziewczyna — rzekł jeszcze i uśmiechnął się łaskawie.

Chora z wysiłkiem odwróciła głowę w żądanym
Cztery nowe.

kierunku. Ciemne włosy wymykały się z pod czepka, rozsypując po zapadłych skroniach. Na chude policzki wybił ciemny, przelotny rumieniec, wąskie wargi drżały, a długie rzęsy u pociemniałych powiek rzuciły jakiś siny mrok na tę twarz wyniszczoną, znędzoną.

— Niech pani wyobrazi sobie — rzekł, puściwszy brodę chorąg, radca, — że to jest niepoprawna złodziejka. Dwa razy wypuszczona z więzienia, dwa razy uciekła z pobytu do złodziejskich szajek. Tak jęj ten chleb zasmakował. Kiedy ją ostatni raz obławę wzięli, to do Wisły im z pod ręki skoczyła.

— Ze strachu? — zapytała dama.

— Gdzie tam ze strachu! z takięj już zaciętości złodziejskięj. O, już to jak się nam uda egzemplarz, to buzi dać! — Przyłożył dwa palce do ust, skłonił się i cmoknął grubemi wargami.

Na twarzy dziewczyny odbił się wyraz niewymownego udręczenia. Spuściła głowę na piersi i zacisnęła splecione ręce na siwęj więziennęj kołdrze.

— Ach, Boże! — szepnęła dama. — Taka młoda dziewczyna. Czyż ci to nie lepięj, moje dziecko, poprawić się, żyć uczciwie?... Widzisz, jakie to skutki złego...

Chora milczała. Brwi miała ściągnięte, usta drżące...

— Co do nięj pani będzie mówiła!... — rzekł pan radca. — Szkoda słów pani. Czy ja się to mało nagadałem, naperswadowałem!... I co? To stworzenie bez żadnego uczucia!

Dama westchnęła i odstaąpiła krokiem, zrezygnowana. Chora przymknęła oczy, pierś jęj się podniosła ciężkim oddechem.

— Cóż, doktorze — odezwał się pan radca, — prędko ona będzie mogła iść?

— Tak — odrzekł z namysłem doktor, — za jaki tydzień... dziesięć dni..

— Do Grójca zajdzie?

— Ojej! Czemu nie!

Z piersi młodej aresztantki dobył się jęk głuchy; głowa jęj opadła ciężko na twardą, więzienną poduszkę.

.....

We dwa tygodnie potęm, osłabła i chwiejąca się jeszcze po przebytej chorobie, szła Hanka nanowo w pobyt. Tym razem pan radca, nauczony smutnem doświadczeniem, przedsięwziął większe środki ostrożności. Z wysłaniem Hanki nie czekał, aż się zbierze znaczniejsza partya, jak to zwykle bywa, ale kazał dziewczynę pędzić samowtór z Michalakową, która tęż już parę razy uciekała do dzieci, i, również jak Hanka, należała do kategorii „niepoprawnych.”

— Czyste zwierzę, jak Boga kocham! — mówił zirytowany zwierzchnik do swego pomocnika, pisząc trzecią już z rzędu „rozpiskę” dla Michalakowej, która z nawpół obłąkanym wzrokiem, obdarta, posiniona przez pijaka męża, u drzwi stała. — Patrz pan tylko, do czego ona podobna! Młoda jeszcze kobieta, a jak wygląda. I na co jęj to? Po co? Ma tam spokój, nikt palca na nią nie zakrzywi. Nie! Ona tu ucieka, żeby ją chłop pijanica poniewierał. Mówi, że do dzieci...

Przechylił głowę ku światłu i zaczął uważnie

zdejmować włosy z końca pióra. U drzwi dało się słyszeć ciche szlochanie.

— To, powiadam panu, miałem raz wyżłocę Wolte, której szczeniaki podarowałem znajomemu ze wsi, coś z pięć mil od Warszawy. I wyobraź pan sobie, że to suczysko trzy razy uciekało i owe szczeniaki po jednym w zębach znosiło. Kazałem zamknąć, to wyla tak, że to ludzkie wyobrażenie przechodzi. No, i musiałem szczeniaki kazać potopić w gliniance, bo sobie rady dać nie było można. I co pan powie? Moja suka póty latała, póty wachała, aż je znalazła, i pozносиła mi je przed same okna. A wyłał... Żona mi mało spaźmów nie dostała, słuchając tego wycia. Jeszcze akurat Ignas był mi wtedy chory... Na, masz! — rzekł, podając strażnikowi rozpiskę. A pilnuj mi ich, jak oka w głowie. Jak baba albo dziewczyna drapnie, sam za to odpowiesz.

Szła tedy Hanka z Michalakową, która tym razem zabrała ze sobą najmłodsze dziecko, z pięć lat już może mającego chłopca, z wielką głową, odętym brzuchem i zgiętymi w pałak, bezwładnymi nogami. Ten brzuch, te nogi i długie, wątłe ręce, któremi dziecko obejmowało szyję niosącej je matki, czyniły je podobnym do wielkiego pajaka, a blade, szkliste, na wierzchu głowy osadzone oczy, i szary lachman, który je okrywał, jeszcze to podobieństwo zwiększały. Dziecko nie mówiło, nie płakało nawet, ale zwiesiwszy swą ogromną głowę na ramię matki, odzywało się niekiedy przykrym, jakby ptasim piskiem.

— Cichoj, cichoj, jagódko! — mówiła wtedy Michalakowa, gładząc jego obręczką, bladą twarzyczkę, — kupi ci matka pierniczek, ino zajdziem.

I uginając się pod ciężarem chłopca, przyspieszała kroku, Hankę wyprzedzała nawet.

— Tfu!... — spluwał idący za niemi strażnik. — Czortby wziął!... Ot, kraszanka!

I znów szli w milezeniu.

A wkoło nich rozmaiła się cudnie piękna wiosna. Był ranek, a powietrze pełne pogody i woni. Wielkie, stare topole, w dwa rzędy wzdłuż gościńca sadzone, złociły się pod słońce lśniącym, żółtawym jeszcze, świeżo z pączków roztulonym liściem; po sadach kwitły czeremchy i tarnie, nad trawami zbóż i łąk brzęczały upojone życiem owady, ze spadków polnych uciekała z głośnym szmerem bystra, modra woda, ciepłe powiewy przynosiły z oddali szумы młodocianych gajów, skowronki zalewały powietrze dzwoniącą pieśnią. Z tych wszakże trojga nikt nie zważał na to.

Owszem, oni sami zdawali się być jakąś ciemną, ruchomą plamą, na ten słoneczny widnokrąg rzuconą.

Plama ta posuwała się coraz dalej, jakby spychana przez ten jasny, wesoły gościeńiec, po którym toczyły się bryczki i wozy, parskwały rzeźwo konie i rozlegały się zmieszane, ochocze głosy ludzkie. Wszystko dążyło w tę samą stronę, bo w miasteczku jarmark wypadał; nikt przecież nie pozdrowił tych idących śpiesznie kobiet, za którymi z karabinem na ramieniu postępował żołnierz, przy wymijaniu każdego woza, każdej kupki pieszych powtarzający grubym, twardym głosem swoje:

— „Idi!... idi!...”

Zbliżali się do wsi. Nad drogą, niedaleko granicznego kopca, na którym stała bosa pastuszka gęsi, w jedną, otwartą na piersiach koszulinię, z zieloną ró-

zga w rękę; pomiędzy czterema symetrycznie zasadzonymi wierzbami wznosił się krzyż poczerwiał, u stóp którego, jakby całą garścią rzucone, zakwitło kwiecie polne.

— O Panie Jezu Chryste! — jęknęła Michalakowa, której coraz grubsze krople potu po czole spływały. — O miłosierny Jezusieczku, zmiłuj się nad nami!

I nie puszczać z rąk dziecka, na kolana padła, a ucałowawszy zroszoną jeszcze ziemię, zaczęła mówić pacierz tym wółgłosnym, przerywanym ciężkimi westchnieniami szeptem, który jest właściwy żarliwej modlitwie naszego ludu.

Stało się to w chwili, kiedy strażnik zapalał swą „trubkę,” klnąc przez zęby, że mu ognia chwycić nie chciała. Hanka przeżegnała się i także uklękała. Na gościńcu nie było nikogo.

Rozkołysało się serce Michalakowej od owych ciężkich westchnień, a stłumiony szept pacierza przeszedł w głośną, jęczącą modlitwę.

— O Panie Jezu Chryste! O najśłodszy Jezusieczku! — mówiła, wznosząc oczy ku wielkim, sterczącym gwoździom, które były przybite nogi Ukrzyżowanego, — ochfiaruję ci też ten pacioryszek na cześć i chwałę Twoję przenaświętszą, na zbawienie duszy mojej, amen! A ochfiaruję ci go, Panie Jezu Chryste, za te moje sieroty, coś je stworzyć i odkupić raczył męką Swoją przenaświętszą, a com ja, matka, ostawić je musiała na poniewierkę i na zatracenie... I ochfiaruję ci ten pacioryszek za tego mizerotę, co go oto niosę, i za tę drogę moję, i za wszystkie grzechy i ciężkości moje i krzywdy!... A jakoś się, Panie Jezu Chryste, w Ogródcu krwawo pociał, tak mnie dowspomóż zwyciężyć tę

krzywdę i tę ciężkość moję. O Jezu, Jezu miłosierny, zmiłuj się nad nami! — Zamilkła. Wielkie łzy spływały po jej zniecznialęj, wzniesionej ku błękitom twarzy. Poruszała wargami bez głosu, jakby się porozumiewając w ciszy z Tym, do którego o pomoc wołała.

Co do Hanki, ta nie zdawała się być bardzo wzruszoną. I ona wprawdzie odmawiała zdrowaśki, ale jej oczy, pełne posępnego ognia, utkwione były daleko przed siebie, a brwi ściągnięte nadawały jej spojrzeniu wyraz twardy i niepocieszony.

Kłęczący jeszcze obie kobiety, kiedy na gościńcu dał się słyszeć turkot. Najeżdżała bryczka.

— Idil idil! — krzyknął strażnik i pchnął kolbą Michalakową, która w zapomnieniu swoim nie słyszała tego rozkazu.

Ruszyli.

— Dlaczego te kobiety, tatku, żołnierz prowadzi? — spytał siedzący na bryczce obok ojca chłopiec.

— To złodziejki! — rzekł ojciec, skrzywiwszy się wzgardliwie.

— Ale ja widziałem, tatku, że one pacierz mówiły pod krzyżem...

— Co tam taki złodziejski pacierz! Pan Bóg takich pacierzy nie słucha.

Kiedy strażnik przyprowadził do magistratu Blacharżównę i Michalakową, okazało się, że miejsca na nie w kozie magistrackiej niema. Przed samym jarmarkiem zdarzyło się kilka większych kradzieży w okolicy, dopuszczono się nawet rabunku na publicznej drodze, wielu więc „pobytowych” było pod tym

czasowém śledztwem, i nietylko oficjalna koza, ale i jój przyległości na areszt zajęte zostały.

W takich okolicznościach nie podobna było bardzo drobiazgowo pilnować się litery prawa, a to tém więcej, że pan burmistrz sam od dni kilku cały ciężar urzędowania na swych barkach dźwigać musiał, ponieważ pan sekretarz wyjechał na parotygodniowy urlop, zostawiając w zastępstwie swoim jakążego się kancelistę, z którym krewki zwierzchnik w żaden sposób dogadać się nie mógł. Chwyciwszy się tedy za głowę, na którą mu spadał ten dodatkowy, niespodziewany kłopot, pan burmistrz od strażnika „rozpiski” odebrał, „kwitancyę” mu odpowiednią dał i kazał się obu kobietom wynosić precz z kancelaryi, gdyż ścis w nię był nie do opisania. Zrobił to tém spokojniej, że istotnie ta zmizerowana dziewczyna i ta kobieta z kalekiem dzieckiem na ręku litość raczej, nie surowość budzić mogły.

Hanka, która, w miarę jak się do miasteczka zbliżała, zaczęła się trząść pod wpływem jakiegoś nieprzytomnego strachu, którym jój oczy gorączkowo pały, uspokoiła się teraz, a raczej nanowo zapadła w tę głuchą, tępą obojętność, jaka od owego wieczora na Zakroczymskiej była właściwym stanem jój duszy. Usłyszawszy, że ma iść precz, raz tylko westchnęła, jakby z uczuciem wielkiej ulgi, a potem zawróciła się powolnym, ociężałym ruchem, nie zdając się słyszeć nawet bardzo dobitnego „rugania,” które strażnik z własnej już gorliwości na drogę jój dokładał.

— I gdzie teraz Hanusia pójdzie?—zapytała Michalakowa dziewczyny, kiedy się znalazły za kancelaryjnym progiem.

— Albo ja wiem?—odrzekła Hanka posępnie.— Tak oto pójdę... Roboty i tak nie znajduję.

— To się już razem trzymajma — mówiła dalej kobieta. — Najgorzej, żeby jakie posiedzenie znaleźć. Już mi do ena ręce pomdlały...

— Ano, to mi go dajcie, poniosę.

Chciała dźwignąć chłopca, ale się sama w tył przegięła i mało nie padła.

— Nie mogę — rzekła, — tak mnie to choróbsko zjadło, co strach. O la Boga!...

Chwyciła się ściany i stała przez chwilę jak zamroczona.

— Pójdźma ino kęs z drogi — odezwała się Michalakowa. — Chłopaka posadzę, Hanusia mi go popilnuje, a samaskoczę tu do jednej... Może się o co przepytam.

Zeszły. Chłopak z wetkniętą w rękę bułką został na opiece Hanki. Nie wiedzieć wszakże dla czego, bułki nie jadł, tylko piszczał i oglądał się na strony. Minęła godzina, minęły dwie, nareszcie Michalakowa wróciła.

— Gdzie tam! — zawołała już zdaleka. — Co się kto dowie, że z dzieciakiem, to ani gadać nie chce.

Zasepiła się i na ziemi siadła, podparłszy rękami głowę. Chłopca na ręce nie wzięła, i z boku tylko na niego patrząc, wdychała ciężko.

Nadchodził wieczór. Dzieciak piszczał nieustannie i wyciągał do szyi matki długie, cienkie ręce.

— A cóż!—rzekła wreszcie kobieta, biorąc go na kolana.—Trzeba się chyba tu dziś przenocować.

Hanka nie odpowiedziała. Siedziała wyprostowana, z przymkniętymi oczyma, z głową w tył przechyloną i o żerdzie plotu opartą. W zapadają-

cym zmroku twarz jój wydawała się przeraźliwie błądą.

— Aby do jutra! — szepnęła półgłosem Michalakowa, jakby dla dodania sobie otuchy, okrywając uciepionego u szyi swój chłopaka, którego wielka głowa zwisała jój bezwładnie przez ramię. — Aby do jutra!

Ale jutro przeszło, przeszło i pojutrze, a kobieta roboty znaleźć nie mogła.

— Z dzieckiem? Cóż to za robota z dzieckiem? jeszcze z takiem! — wymawiał się każdy. Istotnie! Po co mieli brać babę z dzieckiem, „jeszcze z takiem,” kiedy było aż nadto rąk młodszych, swobodnych, które za mizerną zapłatę gotowe były cały dzień kopać, grabić, sadzić, co kto chciał. Małoż to tam „pobytówek” razwraz przepędzano?

Tymczasem Hanka wynajęła się do pielienia, wprawdzie za życie samo, ale i to dobre. Cięższéj roboty poradzić jeszcze nie mogła, a i ta szła jój nie-
sporo; najmniejszy dzieciak wyprzedzał na zagonie tę nędzną, ociężiałą dziewczynę, na którą gospodarz razwraz fukał i obiecywał „przepędzić.” Nie przepędzał jednak, litując się jój nędzy, a nadto pozwolił jój spać „na starym ogrodzie” w szopie, w której się też

Michalakowa z Jaskiem swoim na noc tuliła. Gdzie się obracała we dnie, z czego żyła, czy głód marła, czy zebrała — nie wiedzieć. Ale przez te kilka dni zezerniała i schudła strasznie, a niechcący się już jój szyi puścić dzieciak piszczał po nocach coraz przeraźliwiej. Może był głodny, może mu zimno było w téj ciemnej, zatęchłej szopie. Matka nie miała już ani chustki, ani fartucha, któremi okrywała go zrazu.

Upłynął tak tydzień cały, a Michalakowa roboty dostać nie mogła.

— Choćbym dzieciaka napowrót do ojca odniosła?... — rzekła raz niepewnym głosem do leżącój już w barłogu Hanka. — Tylko że mi nijak ztąd biec. Złapią jeszcze... A i tam... Boże zmiłuj się! Toć go to pijaczysko na nic sponiewiera... zatłuczel... Żeby to jeszcze dzieciak, jak inne... Do ludzi bym, jak te starsze, oddała. Ale takie!...

Nie dokończyła i westchnęła ciężko. Potém zaraz zaczęła piszczącego Jaska głaskać po ogromnéj głowie, jakby mu chcąc powiedzenie to nagrodzić.

— Oj, robaku ty mój, mizerny robakul — mówiła. — Lepsza by tobie śmierć, niż takie życie...

Umilkła i zadumała się, kiwając głową.

Upłynęło znów dni kilka. Jednéj nocy obudziła Hankę.

— O la Boga! Hanuś — rzekła. — Tak mi ino coś szepeze a szepcze, coby Jaska uśmiercić...

— O... co też to Michalakowa wygaduje! — odrzekła dziewczyna. — Albo to Michalakowa nie matka, żeby zaś takie rzeczy wygadywać! Niech ino Michalakowa krzyżem świętym się przeżegna i spi. To tak zle do człowieka okazyi szuka...

Przeżegnała się kobieta, nie usnęła wszakże, i ciężko stękając, przewracała się na garści barłogu. Jasiiek przez sen piszczał, jakby duszony.

I znów przeszło dni kilka, z których każdy był nową męką i nową nędzą dla téj matki i dla tego dziecka. Kobieta ledwo nogi powłóczyła za sobą, dziecko zapuchło na twarzy.

— Hanuś — rzekła raz Michalakowa z wieczora

ra,—połóż ty chłopaka od swojej strony, bo mnie nocami źle spać nie daje, ino żeby go uśmiercić i uśmiercić... Co jego za życie takie z tém kalectwem, albo i moje z nim?... Ani ja roboty, ani ja łyżki strawy...

— W imię Ojca i Syna! — rzekła Hanka. — Niech ino Michalakowa da tu do mnie chłopaka, a jutro do księdza idzie, wypowiada się, to źle odstąpi.

Ale w nocy Michalakowa, nagle się ze snu zerwawszy, na barłogu siadła.

— Jezus, Marya, Józef, ratuj duszy mojej!... — jęknęła głucho, i znów: — Jezus, Marya, Józef...

Nazajutrz, kiedy dziewczyna do roboty poszła, wstała Michalakowa, umyła swego Jaska, rozgarnęła mu włosy na jego ciężkiej, giboczącej się na obie strony głowie, odziała go, przeżegnała, i wygrzebawszy z barłogu skórkę chleba, dała mu ją w rękę. Czyniła to wszystko z jakimś cichym pośpiechem, bez słowa, jakby odbywając konieczną i bardzo pilną pracę, a kiedy dzieciak chleb jeść zaczął, rzuciła się krzyżem na wilgotną ziemię szopy i biła o nią czołem. Głuchy jęk szedł jęj z piersi zamiast pacierza, a załamane i wyciągnięte nad głową ręce podnosiły się i opadały ciężko, jakby w mocowaniu się wielkiem, śmiertelném...

Jasiek tymczasem zjadł chleb i piszczyć zaczął. Wtedy podniosła się kobieta i uderzyła się trzy razy w piersi, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzesznej... poczem przeżegnała się, wzięła chłopaka na ręce i wyszła w pole.

Tegoż dnia miasteczko całe przerażone zostało wiadomością, że jedna z „pobytówek” utopiła dziecko w gliniankach. Sprawiedliwość wszakże pocieszała

się tém, że dzieciobójczynię, dawniej już notowaną jako niepoprawną, ujęto na miejscu zbrodni i miano do głównego więzienia odstawić.

Kiedy po wzięciu Michalakowej pan Majcher Kapuza, cechmistrz stolarskiego kunsztu i starszy bractwa „Miłosiernego Serca Jezusowego,” a obecny chlebowdawca Hanka, dowiedział się, że dziewczyna w jego szopie na starym ogrodzie razem z dzieciobójczynią sypiała, uczuł się tém niesłychanie na swoim brackim honorze dotknięty i wypędził Hankę natychmiast, wprost od miski, do której właśnie w południe na ziemi głodna siadła i w której już nawet łyżkę umaczać zdążyła. Wypędzenie to wszakże nie naraziło Hanka na poszukiwanie innej roboty, tudzież innego barłogu, pod innym gdzieś płotem, gdyż ledwo wyszła za wrota, spotkała się ze strażnikiem, który ją do ratusza zabral.

Potrzebowano jęj tam.

Wnioskowano słusznie, że kiedy sypiała razem z Michalakową, to niezawodnie musi coś i o tém utopieniu dziecka wiedzieć. Wprawdzie matka nieszcześliwego Jaska przyznawała się do wszystkiego sama, krzycząc i lamentując przeraźliwie, bijąc się w piersi, wzywając miłosierdzia boskiego i głową tłukąc o ziemię. Wszelako mogły tu zachodzić jakieś „okoliczności,” a okoliczności, jak wiadomo, zmieniają wszystko. Hanka szła śpiesznie i bystro patrzyła przed siebie mętnym, jakby nieprzytomnym wzrokiem. Chwilami zdawało jęj się, że idzie przez wodę, to znowu że ma nogi z drewna, to że jest noc czarna, to znowu żal jęj było, że nie zjadła choć z parę łyżek jagieł. Ot, mąciło jęj się w głowie poprostu.

Tymczasem niebogi Jasiak leżał na brzegu glinianki odęty i siny, w umazanej rudem błotem koszu-
linie, którą już słońce wysuszyć zdołało, i z przeraże-
niem w szklistych, wypukłych oczach, których śmierć
nie zdołała zamknąć. U jego cienkich nóg i rąk pła-
tało się wodne zielsko, na którym błyszczały jeszcze
gdzieniegdzie jasne krople wody. Nad wielką głową
jego zwijały się i rozwijały z błyskawiczną szybkością
czarne jaskółcze wianki, a konik polny ćwierkał mu
w samo ucho swoją jednostajną, usypiającą piosenkę.
Nie słyszał tego wszakże nędzny Jasiak, z wielkiem
jakiśmś zdumieniem patrzący się w samo słońce...

Tego ranka pozajmowano w szkodach mnóstwo
bydła, źrebiąt i gęsi bez liku, gdyż pasące je dzieciaki
zbiegły się wszystkie w jedną kupkę i przypatrywały
pilnie małemu topielcowi. Starszych widzów nie bra-
kło także. Kilka mieszczanek przypomniało sobie na-
wet, że już tego dzieciaka widziały, jak z nim matka
chodziła, o robotę prosząc.

— Ale ktoby tam, moja pani, robotę takięj da-
wał?...—mówiła jedna.

— To się wie... — przywodziła druga, wzru-
szyszy ramionami.

— Dzieciaczysko pokrakowate jakieś, a takie
znarowione, że się baby puścić nie chciało.

— Oj, pozbyła się go, pozbyła, moja pani!

— To ci matka!—dodała inna, kiwając głową.

— Suka, nie matka!...

— Że też to Bóg miłosierny na świętej ziemi
trzyma i nagłą śmiercią nie skarze!

Powzdychały jeszcze chwilę, potem ta i owa do
domu wracała. Ale w drodze pod samém miaste-

czkiem, pomiędzy pierwszym jego szynkiem a letnim
„barakiem,” przed którym żołnierze czyścili konie,
znów trafiły na zbiegowisko jakieś. Na ulicy, w ku-
rzawie, którą podnosiły jadące wozy, leżała młoda
dziewczyna. Jedni mówili, że pijana, inni—że ma „cho-
róbkę.” Ktoś widział ją świtem, jak się pod barakami
włóczyła, jak w szynku piła, jak potem wybiegła
z niego i, nagle się zakręciwszy w miejscu, padła, parę
razy podrzuciła ciałem, wyciągnęła się i zeszywniała
jak drewno.

Istotnie, leżąca dziewczyna twarz miała ciemno-
czerwoną, pianę na ustach i dziko zmrużone oczy.
Ktoś litościwy rzucił jej chustkę na twarz.

W téj chwili właśnie prowadzona do ratusza
Hanka nadeszła i w tył się cofnęła.

— Mańka — szepnęła, rzuciwszy okiem na bru-
dną, w szmaty potarganą różową suknię i sterczące
z pod niej stopy drobne.

Odwróciła głowę, żeby ją zobaczyć raz jeszcze,
ale strażnik „nie za tém dziełem” był wysłany, więc
dał jej zaraz w kark i poszli dalej.

W ratuszu, w głównej sali, pusto było i cicho.
Muchy tylko brzęczały po zakurzonych szybach, a za-
jakiłwy kancelista, rozparłszy się w burmistrzowskim
fotelu, émił lichego papierosa i marzył. Pora była
obiadowa, mógł więc to czynić tém swobodniej, że już
przed chwilą spożył dwa serdelki i trzy bułki, które,
w oczekiwaniu na prezydenturę i poledwicę, łykał tym-
czasem... bez zająknienia.

Przybycie strażnika i prowadzonej przez niego
dziewczyny spotęgowało jeszcze błogi nastrój duszy
kancelisty. Bądź-co-bądź, był on tu w téj chwili naj-

wyższą i jedyną władzą. Kiedy więc Fedorenko, wsadzwszy głowę do drugiego pokoju i przekonawszy się, że tam niema nikogo, mruknął półgłosem, że dziewczynę zamknąć chyba tymczasem będzie musiał: — Do ko... ko... ko...mórki z... z... z... nią! — wykrzyknął kandydat na burmistrza, nie chcąc stracić jedynej może sposobności wydania urzędowego rozkazu, a zarazem próbując powagi i głosu.

Próba wypadła świetnie.

„Ko... ko... ko...” i „z... z... z...” szeroko rozległo się po pustej sali, a Fedorenko pechnął dziewczynę przed sobą do sieni.

Kancelista pozostał w fotelu sam, z piersią wzdętą, brwią zmarszczoną, dyktatorskim gestem, którym tylko co rozrzucił po ziemi pudełko stojących na biurku burmistrza zapalek, i pałajacem nieograniczoną pychą, ku drzwiom zwróconém spojrzeniem.

W tej chwili wszakże drzwi się te otwały, a w progu stanął pan sekretarz. Kancelista zerwał się, schylił i zaczął zbierać po podłodze rozrzucone zapalki.

Pan sekretarz niewiele się odmienił.

Taż sama urzędowa maska obojętności na twarzy, taż sama żółta i niezdrowa cera, też same wydęte wargi i czerwone u powiek obrączki.

Wszedł, drzwiami trzasnął, i nie spojrzawszy nawet na kancelistę, stojącego właśnie na czworakach pod biurkiem zwierzechnika, do swego pokoju się zwrócił.

Strażnik wpuścił za nim Hankę i drzwi zamknął.

W jednej chwili oblicze młodego urzędnika zmieniło się do niepoznania. Płomień po nim przeleciał

potém chmura, potém znów płomień, a płaska twarz jego z grubym, zadartym nosem i wydatnemi szczękami zrobiła się podobna do czerwonego, dymiącego żuzla.

Przez chwilę milczał i czytał coś, stojąc ku oknu zwrócony. Widoczném było, że sili się, aby opanować właściwe sobie, nerwowe, targające ruchy. Usiłowania te wszakże były daremnemi.

Ręce jego z chrzęstem gniotły trzymany papier, mięśnie policzków i kąty ust drgały. Zwrócił się wreszcie do Hanki i objął ją długiem, jaskrawém spojrzeniem.

— Taki popadłaś się do mnie?... a?... — przemówił swoim skrzypiącym głosem, mrużąc pałające oczy.

Dziewczyna patrzyła ponuro w ziemię.

— Tak na nic, znaczy, było tobie uciekanie?... I do kogo ty uciekała?... a?... Do kochanka uciekała?...

Dziewczyna milczała.

— Tak cóż?... Gadać nie umiesz? Niemową się zostałaś?...

Przysunął się bardzo blisko i pochylił nad nią, owiewając ją gorącym oddechem.

— Tak gadaj zaraz! Do kochanka uciekała?... a?... — mówił przerywanym, świszczącym, podobnym do stłumionego chichotu głosem.

Dziewczyna krokiem w tył się cofnęła i plecami o drzwi wsparła.

Chwyił ją za ramię i zaklął wściekle:

— Stój ty taka!... Czort tu ciebie dał, kukło ty!... Czort ciebie... Na wolności nie chciała... Tak w kozie kochanka nie będzie... Ja będę!... ja!... ja!...

Cztery nowele.

Cisnął ją ku ziemi, gwał, łamał, palce jego wpiły się w jej ramię jak kleszcze. Aż nagle sam się zachwiał, pobił, a zduszony głos jego przeszedł w niewyraźne mruczenie.

— Matko przenajświętsza... Matko przenajświętsza... — szeptała dziewczyna, zacisnąwszy na piersiach ręce, a oczy jej dziko latały po kątach, jakby szukając ratunku. Nagle puścił jej ramię, otrząsnął się i wolnym krokiem ku oknu obrócił. Chwilę tak stał, odgarniając włosy i wodząc ręką po twarzy, jakby chciał z niej zetrzeć ślady niedawnego wzburzenia, splunął potem, przeszedł się po kancelaryi, i nie spojrzawszy na dziewczynę, znów pod oknem stanął. Hanka trzęsła się jak w febrze, oczy jej pociemniały jak dwa zgaszone węgle, ząb o ząb szczykał głośno.

— Fedorenko! — zawołał pan sekretarz zmienionym głosem.

Strażnik wszedł i stanął wyprostowany, czekając rozkazu.

— Zabrać ją i wsadzić! Do sprawy będzie potrzebna — rzekł pan sekretarz, nie odwracając się od okna.

Fedorenko dwa palce do czoła przyłożył i popchnął dziewczynę do wyjścia. Kiedy się drzwi za nimi zamknęły, rzucił się pan sekretarz na krzesło, przymknął oczy, i przechyliwszy się na poręcz, westchnął ciężko. Na twarz jego wybił wyraz wielkiego niesmaku i znużenia. W tej chwili był to prawdziwie godny pożalowania człowiek.

Hanka szła przed strażnikiem wolnym, chwiejącym się krokiem, z głową posępnie ku ziemi zwieszoną.

— Nu! Nu!... — wołał, następując na nią, Fedoren-

ko, ale zdawało się, że nie słyszy tego. Plecy jej i ramiona wzdrygały się chwilami, jakby ją przejmowało wielkie jakieś zimno. W kancelaryjnej sali nie było jeszcze pana prezydenta, ale już zgromadzać się zaczęli interesanci, między którymi porządek czynił Maczusi.

Naraz dziewczynie oczy zabłysły. Schyliła się i podniosła coś z ziemi, zanim strażnik, którego woźny tabaką częstował, ruch ten zauważył. Patrzyła teraz na ziemię pilnie, a po jej śniadłej twarzy przelatwały krwawe łuny. Nim doszli do proga, schyliła się po raz drugi. Fedorenko podnosił w tej chwili rękę do nosa i oczy mrużył, szykując się do dyskretnego kichnięcia.

Kiedy dziewczyna z ratuszowego gmachu wyszła i na świat boży spojrzała, wydało jej się, że wszystkie dachy są w ogniu i że wielka luna nad miasteczkiem stoi. Krzyknęła przeraźliwie i zatoczyła się na Fedorenkę, ale wnet, dostawszy od niego kułakiem w bok, oprzytomniała.

— Nu, nu, ty co?... — huknął strażnik. — Opila się?... pijana?...

Jęknęła głucho dziewczyna i szła dalej śpiesznie.

...Oj, opila się, opila piolunu, ziela gorzkiego..

Oj, opila się lez gorzkich i mętnej, wislanej wody...

Strażnik kłął „didkiem” i spluwał przez zęby. Był zły. Obiadu dotąd nie jadł przez tę „nawidzoną,” domyślał się przytém, że Pasecki, pisarek akcyzny, przy żonce jego, jak zwykle, siedzi a szepcze. Kiedy więc doszli do komórki, pchnął gwałtownie dziewczynę pięścią w plecy dla ulżenia sobie i hałaśliwie drzwi na kłódkę zamknął.

Hankę ogarnęła ciemność. Przeleciawszy, sama

nie wiedząc jak, przez próg wysoki, stała chwilę wpośrodku izby oszołomiona, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Po chwili dopiero zobaczyła trochę światła, wpadającego przez szczelinę deszczulek, któremi zabito okienko. Wtedy obejrzała się po kątach. Nie wiele się tu zmieniło. Deskę tylko nową dano w ścianie, stojąca pod nią beczka rozsypała się, a klepki i obręcze leżały na tém samym miejscu. Dziewczyna patrzyła na to wszystko jakimś dziwnie tępy, osłupiałym wzrokiem. Naraz uczuła wielkie zmęczenie, i rzuciwszy się na leżącą w kącie garsć słomy, twardo zasnęła.

Spała tak parę, może kilka godzin. Kiedy się obudziła, wszystkie kości ją bolały, w skroniach jej były tętna, a zeschły język nie pozwalał przełknąć śliny. Siadła na słomie i szeroko otwartemi oczyma patrzyła w ciemność. Ostatni, skośny promień zachodzącego słońca wpadł przez szczelinę u okienka i odbił się krwawo na przeciwległej ścianie. Wtedy dziewczyna, jakby przypomniawszy coś sobie, zerwała się nagle i zaczęła czegoś szukać za pazuchą. Przysiadła potem na ziemi, zgarnęła barłóg z pod siebie, i poniosłszy go w kąt, gdzie pod ścianą leżały klepki rozsypanej beczki, zaczęła je starannie nakrzyż układać, jak to czynią kobiety wiejskie, rozpalające ogień na kominie. Czerwony promień słońca ślizgał się po ścianie, przyswiecając robocie dziewczyny. Podniosła się teraz i poszła do drugiego kąta, gdzie leżały wióry od składanego tutaj dawniej drzewa. Zebrała je, podsypała pod ułożone na sobie klepki i zaczęła związać w pęczki słomę z barłogu. Chwilami przestawała, jakby zmęczona, i wypoczywała, dysząc ciężko. Nareszcie,

kiedy wszystko skończyła, sięgnęła na piersi za grubą koszulę i wydobyła dwie podniesione w kancelaryi magistrackiej zapalki. Pierwsza z nich zatliła się tylko modrym płomykiem i zgasła.

Hance zaczęło bić serce jak młotem.

— Jezu... Jezu... Jezu... — szeptała zbielełymi z przerażenia usty, zapalając drugą i podsuwając pod nią zwinięty pęczek słomy.

Ogień chwycił. Sine płomyki zaczęły pełgać po słomie. Dziewczyna odetchnęła głęboko. Poczém z najwyższą ostrożnością podłożywszy palący się wiecheć pod wióry, schyliła się i zaczęła dmuchać na nie. Twarz jej, oświecona wzmagającym się płomieniem, zapalała się, to znów gasła. Jakiś twardy, dziki, nieubłagany wyraz wybijał na nią z wolna.

Skośny promyczek słońca ześliznął się po ścianie i zagaśł.

Ognisko rozgorzało szybko, napelniając izdebkę lekkim, sinym dymem. Czerwony płomień biegł w górę, chwytając powiewające od szybszego ruchu powietrza pajęczyny, wielkie pajaki zaczęły biegać po ścianach, wiszące od pułapu długie żdźbła słomy, naładowanej na strychu komórki, pełgały sinemi iskry i gasły. Wkrótce zaskwierczały smolne deski ściany, pod którą paliło się ognisko, a roztopiona żywica zaczęła po nich spływać w bursztynowe sople.

Podniosła się wtedy Hanka w pół ciała, i na klęczkach przysiadłszy, patrzyła posępnie w ognisko. Potém zaczęła się kiwać w tył i na przód, jakby w żalostném rozpamiętywaniu, załamawszy ręce na kolanach.

Niepocieszone jej oczy patrzyły w jakąś prze-

szłość daleką, daleką... Widziała może ubogi warsttat rodzinny, ojca, matkę, brata, Piotra... Nagle pierś jęj się zatrzęsła pod grubą koszulą, usta zadrgały, opadły powieki, a z pod nich wybiegły dwie łzy wielkie, jasne, i potoczyły się po znędniałej twarzy.

Raptem podniosła się, chwyciła za piersi. Dym gęsty i żrący wypełniał komórkę całą. W głowie jęj się kręciło, pobiegła do okienka, i zasłoniwszy twarz rękami, na ziemię padła. W tęg chwili właśnie z trzaskiem zerwała się część przetłonego pułapu, czerwony płomień na dach się wyrzucił, a ognisko buchnęło gwałtownie, zasilone przypływem świeżego powietrza.

Napół zduszona i oślepiona dymem dziewczyna porwała się raz jeszcze z ziemi, jak obłąkana zaczęła biedz do drzwi, chciała wołać ratunku, ale głosu dobyć już nie mogła i runęła jak kłoda u proga.

Jednocześnie krzyk i gwałt dał się słyszeć z zewnątrz.

— Gore! Gore!...—krzyczano przeraźliwie.

— Pali się! Gore!... Ratujeie!...

Hanka słyszała jeszcze, jak się te krzyki zbliżały, jak wyważono drzwi komórki, poczem stała się nad nią wielka, wielka cisza.

IX.

Przed starym Arsenalem bzy cudownie zakwitły tęg wiosny. Wielkie ich, pięknie okrzesane i symetrycznie zasadzone krzaki osypane były jasno-liliowemi gronami kwiatów, których silna, upajająca woń rozcho-dziła się szeroko.

Pod niemi w gwiazdzistych i owalnych klombach bujały irysy błękitne, a wśród srebrnej zieloności traw włoskich wychylały się gęsto główki zroszonych stokroci i wielkie, aksamitne bratki. Powietrze pełne było świegotu i ożywczego chłodu. Na wysypane zwierem ścieżki młodociane kasztany i akacye rzucały drżące, lekkie cienie, a delikatne spireje zakrywały jasną zielenią swych drobnych liści i białością puszystego kwiecia pleśń wilgotną, której wielkie, rude plamy występowały na zewnątrz żółtych murów, jakby zdradzając ich wewnętrzną zgniliznę.

Na ulicy była cisza zupełna, godzina może czwarta rano, kiedy niska, sklepiona brama Arsenału, po której obu stronach rozciągał się ów wirydarz kwietny, zaskrzypiała na swoich rdzawych zawiasach i otworla się z głuchym łoskotem.

Strażnik, który ją odemknął, był to nizki, zeschły

starowina, z białemi jak mleko wąsami, po sapersku nad górną przyciętą wargą, w krótkim spencerku, drepczący na cienkich, obutych w miękkie pantofle nogach. Drżące jego ręce miały na sobie czerwone welniane mitynki, jakie niekiedy noszą stare kobiety, tak iż szalik okręcał jego wątłą szyję. Głowę miał siwą, obnażoną, trzęsącą się ustawicznie, a grzbiet mocno wypukły zgięty był trudami i wiekiem.

Otworzywszy z wysileniem oba wierzeje bramy, starowina stanął przed nią, nosem wiatru pociągnął, spojrzał w górę na rozbiegające się obłoczki białe i mruknął:

— Będą dziś mieli pogodę, kanalie...

W tej chwili wzmógł się szezebiot jaskółek, które nad samą bramą ulepiły gniazdo.

Odwrócił się stary, podniósł trzęsącą się głowę, i przysłoniwszy ręką czoło, patrzył na zwijające się ptaszęta.

— Kanalie!... — mruknął z uśmiechem zadowolenia. — Niedługo się już wywiodą...

Podreptał potem do sztachetków kwietnika, szeroko rozstawił cienkie, drżące nogi, ręce w tył założył na pochyłym grzbiecie i z wielkiem zajęciem przypatrywał się pełzającemu po żwirze ślimakowi, który z jakiegoś nocnego bałamuctwa na grządkach stokroci pod liście irysu powracał, wystawiając delikatne i ruchome różki na świeżość poranka.

— Kanalia!... — szepnął stary z cichym chichotem, od którego rozbiegły się wszystkie zmarszczki jego bezkrwistej twarzy.

Stał tak jeszcze, kiedy z wewnętrznego podwórza rozległo się echo miarowego pochodu, a z pod skle-

pionej bramy wyszło na ulicę kilkunastu żołnierzy z karabinami, którzy, rozstawiwszy się na lewo i na prawo, utworzyli gęsty szpaler. W chwilę potem sklepienie zadudniało zmieszonym odgłosem ciężkich, tłumnych kroków, a z bramy zaczęli się wysypywać aresztanci, najpierw mężczyźni, potem garstka kobiet. Za kobietami szło jeszcze kilku żołnierzy, a na ostatku oficer z obnażonym pałaszem w ręku. Była to partya pędzonych na Sybir skazańców.

Kiedy wyszli, stojące szpalerem wojsko otoczyło ich dokoła i zaczęło się szykować „w pochod.”

Nie było to łatwem. Aresztanci, jak dzieci, szturchali się, ociągali, popychali, przypatrując się to skaczącym po ulicy wróblom, to kwiatom, których woń wciągali nosami hałaśliwie, kichając przytém jakby na komendę.

Jeden z nich stroił żarciki z trzęsącego się starowiny, namawiając go na wspólną „fraidę,” inny śmiał się idyotycznym, przykrym śmiechem, nie mogąc, czy nie chcąc stanąć prosto w linii. Niektórzy, już ustawieni, odwracali się z conceptami do kobiet i znów psuli porządek, a jakiś dowcipniś zgarniał niby całą garścią łzy z poślódkiej twarzy i ciskał je z rozmachem o ziemię, szlochając na różne tony.

Kilku tylko zachowywało się spokojnie lub z apatyczną obojętnością. Oficer — szczupły, delikatny młodzieńczyk — kłął, czerwienił się, zgrzytał, przebiegał z jednej strony kolumny na drugą, usiłując zaprowadzić ład w tém zamięszaniu, ale mu się to jakoś długo nie udawało.

Tymczasem wschodzące słońce rzuciło na przewlegle mury pierwsze złote blaski. Jeden z milczą-

cych aresztantów odkrył głowę i przeżegnał się. Kilku innych uczyniło toż samo, reszta ucichła. Wtedy oficer zakomenderował i ruszono naprzód.

Przed Arsenalem został tylko podwórzowy kundel, na którego długo oglądał się jeden z pędzonych, i stary odźwierny, który chwilę stał, patrząc za nimi i trzęsąc głową siwą, aż kiedy w jednym z staromiejskich kościołów zabrzmiała sygnaturka, zawrócił się, i szepcząc pacierze, podreptał do swojej komórki.

Ulice były jeszcze puste. Gdzieś tam tylko otwierała się skrzypiąca brama, a w niej stawał stróż z miotłą w ręku i przypatrywał się pędzonej partyi; gdzieś tam wozy z pieczywem dudniały głucho, a śpieszące do miasta mleczarki szły po dwie, po trzy, z uwiązaniem na plecach koszami.

Niektórzy z więźniów spoglądali w okna kamienic, ale okna te były zamknięte i puste. W miarę pochodu coraz ciszej robiło się w gromadce skazańców; zrazu odezwał się ten i ów, potem jakaś zaduma ogarnęła ich wszystkich z wolna.

Wyszli na Zjazd. Przed nimi cała w złotych i różowych ogniach wschodu toczyła się Wisła—matka, marszcząc lekko wysokie, wiosenne swe wody; drobne mewki z szeroko rozpostartymi skrzydłami uderzały w nią białą piersią, nagle, błyskawicznie, jakby strzały srebrne, na przeciwnym brzegu śmiała się zielen majowa. Gdy weszli na most, który się rozciągał przed nimi długą, ciemną perspektywą swoich krat żelaznych, oficer skinął pałaszem, żołnierze otoczyli ściślej aresztantów, a ozłoczone słońcem bagnety błysnęły tuż nad nimi. Ten i ów spuścił głowę i szedł w milczeniu; kobiety oglądały się za siebie na silnie odcięte od błę-

kitu wieże kościelne i dachy miejskie, wzdychając i bijąc się w piersi. Kilka z nich szlochało zeicha. A wysoki brzeg wiślany od strony miasta powiewał za nimi białymi płachtami dymów, jakby ich żegnając, a nadwodne jaskółki śmigwały tuż, tuż, jakby licząc te głowy stracone...

Zaroilo się na „Punkcie zbornym” za przybyciem więźniów. Przedewszystkiem rozdzielono ich na dwie części: mężczyzn zabrano do kucia, a kobiety zapędzono do kancelaryi, gdzie miały być zapisane w „kontrolną” księgę.

Niewiele ich było. Ze sześć coś, czy ze siedem, wszystkie odziane w siwe więzienne kaftany i także spódnice.

Pierwszą, jaką z kolei zapisywano w księgę, była Blacharzówna. Ostatnie wypadki znacznie ją zmieniły. Było to jakby widmo tej dawniej, pięknej dziewczyny, do której się paliły oczy pana sekretarza. Wychudzona jej postać zdawała się wyższą i prostszą, zezerniałe wargi nie zakrywały już białych, błyskających wpośród śniadłej twarzy zębów, na poźółkłym czole zarysowała się bruzda głęboka, jakby od nagłego, wytężonego rozbudzenia myśli, a wielkie, nieruchome źrenice patrzyły przed siebie z przerażeniem i jakąś nieopisaną zgrozą.

Kiedy służbowy oficer głośno jej nazwisko przeczytał, a dziewczyna wystąpiła z gromadki na środek sali, pisarek, który, ćmiąc papierosa, stał w progu drugiej izby, obrócił się nagle i spojrzał jej w oczy.

Dziewczyna spojrzała także i targnęła się gwałtownie w tył, jakby do ucieczki. Nie uciekła wszakże, a dzięki jej oczom, zawieszonym z jakąś chciwością na twa-

rzy pisarka, przygasły i zaszły mgłą wilgotną. Mimo-
wolnym ruchem podniosła wychudłe ręce do ostrzyżo-
nych włosów, które przykrywał więzienny czepiec bia-
ły, a na jej twarz wybiły ciemne rumieńce z pod serca
gdzieś, z ostatka krwi żywiącej. Opuściła pociemniałe
powieki w jakimś zawstydzeniu głębokim i stała
tak,—widmo, wywleczone po trzykroć z więzienia i mo-
gące się jeszcze rumienić.

Tymczasem pisarek zadarł wysoko nosa, wydał
policzki i przeszedł tuż koło niej, skrzypiąc świecące-
mi butami i puszczając jej kłęb dymu w twarz samą.
Taką miał minę, jakby chciał pokazać, że się niczego
nie boi. Istotnie, czego się miał bać?...

Hanka stała ze schyloną głową, usta jej drżały,
a siwy kubrak aresztancki podnosił się i opadał szybko
na jej wyschlęj piersi. Nie śmiała teraz spojrzeć, gdy
przechodził tak blisko, że się prawie otarł o nią, ale
poznała go, tak jak i on ją poznał. Był to Piotr, pan
Piotr, eks-kochanek dziewczyny, piękny i słuszny ka-
waler w wiosennej zakietce i niedbale związanym kra-
wacie, pan Piotr, któremu nareszcie losy oddały spra-
wiedliwość i powróciły godność „urzędnika.” Tylko
że teraz nie urzędował, jak dawniej, w obskurnej ja-
kiejs gminie, ale w Warszawie, gdzie i widoki na przy-
szłość lepsze, i życie, bądź-co-bądź, weselsze. Wpra-
wdzie był on obecnie tylko „wolnonajomnym,” ale ufał
swojej gwiazdce, która, jak dotąd, wcale mu nieźle słu-
żyła.

Tuż przy Hance stała Mańka Czerkas, po osta-
tniej ucieczce z pobytu znowu u Bamblowej chwyciona.
Nie miała ona już na sobie swojej różowej sukni, ani
rozpiętego do połowy stanika, tylko ciężką, burą spó-

dnicę więzienną i wielki kaftan, pod którym ginęły jej
gibkie biodra i ledwo rozwinięta pierś drobna. Piękne
jej grube warkocze spadły pod nożyczkami w Arsenale,
a biały płócienny czepiec wchodził jej głęboko na
czoło, odkrywając z tyłu złote kosmyki wijących się po
karku włosów. Dziewczyna wsunęła ręce w rękawy
i przestępowała z nogi na nogę, jakby ustać nie mogąc
w grubym aresztanckim obuwiu. W zmizerowanej
jej twarzy nie było widać skruchy, ani żalu. Przestrach
tylko malował się chwilami w zamglonych, po izbie ca-
łej biegających oczach.

— Hanusia, siostrzyczko! — szepnęła do stojącej
obok siebie Blacharzówny. — Jak Bożę kocham, tak
wszystkiemu ta Walera winna. Żeby ona z piekła nie
wyjrzała... Jak ci się zjednała z łapaczami, tak nie
było nijakiego odporu. Po wszystkich dziurach ci
przewąchiwała, gdzie ino która. Żeby nie ona, piekiel-
nica, tobym do dziś dnia u Bamblowej siedziała. Ale
jak ci ten Calik, choroba, zaczął za mną latać, tak ci
się Walera rozżarła, że strach...

Hanka patrzyła przed siebie, jakby nie słysząc
Mańki.

W tej chwili właśnie powracał od progu pan
„wolnonajomny,” a dziewczynie zdawało się, że ziemia
się rozstępuje pod nią.

— A i Bamblowa szelma — szeptała dalej Mań-
ka. — To ci powiadam, siostrzyczko, głodziła mnie ba-
ba, zamykała, pókim jej rubla dziennie nie oddała.
A zkad mnie ruble zaraz brać? Albo mi to rublami
kto sypał?... A tu, żeby ci nie wiem jak, to ani się
gdzie posiegnąć bez meldunku. A o tym zegarku, Ha-
nusia, nieprawda!... Żeby tak zaraz trupem padła,

jak nie lże... Papierek mu ino wyciągnęłam z kieszeni, żeby babie gębę zatkać... A Walera zaraz ci się wysforowała... Jakem ci ją zobaczyła, fiul... Gęba taka... kołnierz u kaftana aksamitny, spódnica z falbaną... Ino szur, szur... ani do niej przystępu... Choroba!...

Umilkła na chwilę i zakaszła się mocno.

— A niech ta! Tyle ich tego, co mnie wzięli. Albo ich tam mało inszych zostało? Julka Mikusówna już blisko rok siedzi, ady siedzi.

Urwała, bo zapisywano ostatnią aresztantkę. Musiały jednak czekać dość długo, zanim zakuto i wyprowadzono mężczyzn.

Przez godzinę może albo i dłużej słyhać było miarowe uderzenia młotów, aż wreszcie skończono robotę, a w sieniach rozległy się brzęki wlezonego po podłodze żelaztwa. Parami szli teraz skazańcy — po dwóch wspólnym łańcuchem na ręce zakuci; prócz tego każdy miał na nogach osobne, na wyłączny swój użytek przeznaczone kajdany.

Byli to ci sami nędznicy, których czasem widzieć można prowadzonych przez ulice miasta w siwych więziennych kapotach, w szerokich, płóciennych, wokoło wychudzonych nóg wiewających spodniach, z pogolonymi głowami, w okrągłych bez daszków czapkach, które jednym sterczą na czubku nieregularnych, guzowatych czaszek, innym wpadają głęboko na wązkie, klinowate czoła, aż po latające, lub martwe, osłupiały oczy.

Były to te same twarze znędzniałe, obrzękłe lub przyschłe do kości, z surową, ziemistą cerą, na które patrzemy z ciekawością, wstrętem lub przestachem, gdy nam migną na jakimś zakręcie wpośród czterech

karabinów, idyotycznie tępe lub wykrzywione cynicznie. Tak, byli to ci sami nędznicy.

Tylko że teraz na tych twarzach odbił się szczególny wyraz. Idyotyczna tępość ustąpiła płacziwemu przestachowi, a cynizm — zaciętości ponuręj.

Paru zaledwie z zakutych miało spokój i powagę na twarzy. Wyszli oni pierwsi, krokiem pewnym, równym, bledsi tylko nieco, niż kiedy ich tu przypędzono.

Oficer wydał rozkaz i zaczęto aresztantów ustawiać w kolumnę.

Podniósł się wtedy płacz i lament wpośród tych, co tu przyszli, aby pędzonych pożegnać i opatrzyć czém kto mógł na drogę.

Najbliżej kobiet podszedł obdarty nędzarz z pijacką twarzą i zamglonym wzrokiem. Wyłysiała jego głowa, nad której uszami tylko sterczały kępki spłowiałych włosów, trzęsła się na długiej, cienkiej szyi; nogi pod nim drżały, a jakieś wewnętrzne łkania wstrząsały mu piersi, okryte brudną i porozrywaną koszulą. Trzymał on za ręce dwie wychudzone i bose dziewczynki, których jasne dziecięce oczy patrzyły dokoła z dziwem i ze strachem.

Przenikliwy krzyk wybiegł z gromadki kobiet na widok tych dzieci. Był to krzyk Michalakowej, która nawpół oszalała rzuciła się do nich, a kiedy ją żołnierz odepchnął, na ziemię padła i nieludzkim wybuchnęła rykiem.

— Mama... mama... — odezwały się cienkie głosy dziewczynek. — Czy mama znów odchodzi?

Nędzny pijak silniej jeszcze trząść się zaczął, a po jego nieogolonej twarzy toczyły się lzy grube i ginęły w szeciniastój brodzie.

Kolumnę formowano z pośpiechem. Ci, co przyszli, zaledwie mieli czas oddać zawiniątka z chlebem, z bielizną, przemówić dwa słowa, uśmiechnąć się, pożegnać.

Ci, których nikt nie żegnał, udawali obojętność, lub patrzyli ponuro w ziemię.

Jeden z młodych skazańców odwrócił się od matki, która go żegnać przyszła, i zacisnąwszy zęby, kłął przez nie. Inny sam do pośpiechu naglił. Największa część zachowywała się apatycznie, kobiety szlochały.

W otwartych oknach, we drzwiach kancelaryi cisnęli się ciekawi. Pomiedzy nimi stał z bezczelną twarzą i papierosem w zębach pan pisarek, robiąc głośne uwagi o stojących w kolumnie dziewczętach i zerkając ku Hance. Właśnie musiał coś dowcipnego powiedzieć, bo cała kupka jego słuchaczy wybuchnęła wesółym śmiechem, kiedy nagle Mańka Czerkas obejrzała się, i ujawnszy pod boki, pokazała im język jak długi.

Śmiech głośniejszy jeszcze przyjął to zuchwalstwo dziewczyny.

Wtém zaturkotały wozy, na których leżały zawiniątka i siedzieli chorzy więźniowie. Oficer wyszedł przed kolumnę, obejrzał ustawionych, dobył pałasza i zakomenderował.

Uderzono w bęben. Urwany, głuchy odgłos odbił się poępném echem.

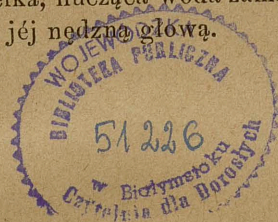
Jeden z więźniów odkrył głowę, inni poszli za jego przykładem.

Wtedy słońce rzuciło się złote całe na te pogolone głowy, rozjaśniając je jakąś tragiczną aureolą, a wśród głębokiej ciszy słychać było dzwoniącego w błękitach skowronka.

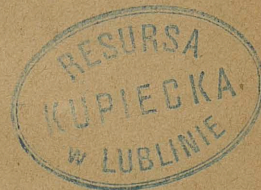
Ruszono.

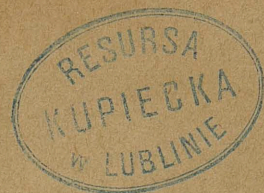
Hanka szła pierwsza z pośród garstki kobiet sporym, równym krokiem. Zaciśnięte jęj usta nie wydały żadnego jęku, ni westchnienia. Tylko jęj twarz męczeńską pokryła śmiertelna śniadość, a głęboko zapadłe oczy patrzyły przed siebie tępym i zagasłym wzrokiem.

Wielka, huczająca woda zamknęła się ostatnim kręgiem nad jęj niedźną głową.



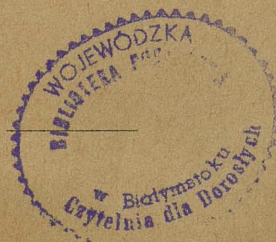
K O N I E C.

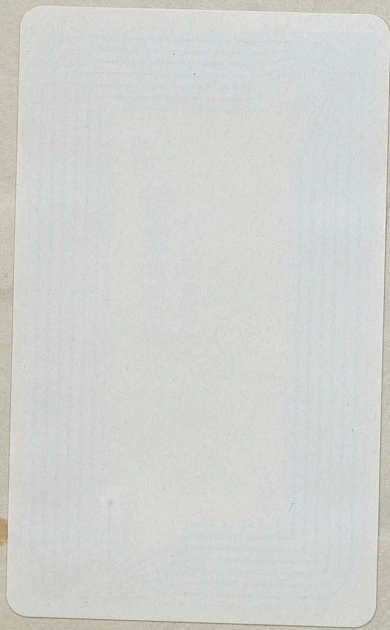




SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Michał Duniak	1
Wojciech Zapala	83
Ultimus	101
Pod prawem	145





821.162.1

Monopnicka
Cztery nowele

51226

XIX